LUBLIN

kultura i społeczeństwo

nr 3 (113) Rok XIX
maj–czerwiec 2022

Bez tytułu, kolaż, 60 x 130 cm, 1997

Był Raj

Zastanawiałem się kto
Kiedy jeszcze nie było
Ludzi
Modlił się
Do naszego Boga
Na Ziemi

Być może wystarczały mu
Krajobrazy lasy
Dinozaury pterodaktyle
I pewnie
Był dumny
Ze swojego dzieła
Chociaż na pewno rozmyślał
Jak je udoskonalić

Zdecydował się
Gdy lustrował swoje
Ziemskie włości

Były piękne
Bogate
Spróbował malin
Nazbierał grzybów
W rzece złowił
Szczupaka
I dwa sumy
Zmartwił się że nie ma
Ich komu podarować
Orły nie chciały
Nurkowały w przejrzystej wodzie
A złowione pstrągi i węgorze
Zanosiły do gniazda
Dla swoich młodych

Wkrótce w Raju
Pojawił się człowiek

Zastanawiałem się także
Czy dopuszcza do siebie myśli
Że popełnił błąd

Henryk J. Kozak

LUBLIN
KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO
Dwumiesięcznik
Środowisk Twórczych

Wydawca:
Lubelski Oddział
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
20-112 Lublin, Złota 3
FUNDACJA Willa Polonia
20-089 Lublin, Probostwo 26

Redakcja:
Zbigniew Włodzimierz Fronczek
(redaktor naczelny)
Jan Kondrak
Bernard Nowak
Wojciech Pestka
Henryk Radej
Stanisław Żurek
Stanisław Jan Królik
(sekretarz redakcji)
Krzysztof Wasilczyk
(fotoreporter)
Barbara Gruszka
(korekta)
Michał P. Wójcik
(redakcja techniczna)

Adres redakcji:
20-882 Lublin,
Organowa 1 m. 63
tel. +48 (81) 741-63-57
tel. kom. 607-222-193
e-mail: froncze@wp.pl

Skład, druk, oprawa:
Wydawnictwo Muzyczne
Polihymnia Sp. z o.o.
20-832 Lublin, Deszczowa 19
tel./fax +48 (81) 746-97-17

WWW.LUBLIN-CZASOPISMO.PL

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Nie odsyłamy nie zamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do redagowania i skrótów nadesłanych tekstów.

Na okładce I:
MAREK ANDAŁA, ***Bez tytułu,***
kolaż, 105 × 105 cm, 1997

W numerze:

Henryk J. Kozak – Był Raj 3
Drodzy Czytelnicy 5
Stanisław Moniuszko i teatr operowy – Stefan Kruk 6
Moja szkoła po latach – Ks. Edward Walewander 12
Aleksander Lednicki (1866–1934) zapomniany działacz, filantrop i polityk – Elżbieta Orzechowska 15
Sto dni wojny (ankieta) – Andrzej Małkiewicz. 24
Wojna i co dalej? (ankieta) – Stanisław Żurek 27
Sto dni wojny, sto dni obserwacji (ankieta) – Michał Podlaski 29
Haiku o wojnie w Ukrainie – Halina Ewa Olszewska 32
Apel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich do narodu rosyjskiego 33
Ukraina – fragmenty wspomnień – Stanisław Turski 34
Echo wileńskich świątyń i zaułków – Jerzy B. Sprawka. 45
Geniusz taktyczny hetmana Chodkiewicza. Bitwa pod Kircholmem, 27 września 1605 roku – Bartosz Staręgowski 51
Wołyń zapomniany. Słowo o książce – (red). 57
Tropami szlacheckich zaścianków – Marek. A. Koprowski 59
Ludzie z Polesia Wołyńskiego we wspomnieniach Janiny Szyczewskiej – Maria Józefacka 65
„Polacy na Łotwie" *redivivi* – Ks. Edward Walewander 77
Wiersze – Andrzej Samborski. 64
Prymas Stefan Wyszyński jakiego znałem (#2) – Zygmunt Zieliński 82
Wiersze – Wojciech Pestka 88
Na początku był mrok… Jubileusz 35-lecia. Marek Andała – malarstwo – (red) cytaty z recenzji 90
Wściekli sześćdziesięcioletni (autobiografia) odcinek trzeci – Jerzy Jacek Bojarski . . 95
O poezji ukraińskiej przed wojną – Danuta Szymonik. 103
Osiem tomów Franciszka – Klemens Podsiadło 106
Kula za kartofle – Zbigniew Włodzimierz Fronczek 108
Z węża lekarstwo – Zbigniew Włodzimierski. 110
Fraszki – Jan Jesion. 110

Projekt został zrealizowany dzięki wsparciu finansowemu Miasta Lublin i Województwa Lubelskiego

Drodzy Czytelnicy,

Za nami sto dni wojny na Ukrainie. Końca batalii nie widać, polską granicę przekraczają kolejni uchodźcy z Ukrainy. Polska, podobnie jak inne kraje, wspiera militarnie ukraińską armię. Protestują nieliczni i niezdecydowanie. Inaczej na Zachodzie, w liście otwartym do kanclerza Olafa Scholza niemieckie elity wzywają szefa federalnego rządu do zaprzestania dostaw broni na Ukrainę. Sygnatariusze listu wyrażają ubolewanie, że państwa NATO, dostarczając Ukrainie broń, stają się stronami wojny. Niemieccy intelektualiści apelują również do rządu, aby zachęcał władze w Kijowie do zaprzestania zbrojnego oporu wobec Rosji.

W liście znajdują się i takie refleksje:

„Mimo doniesień o sukcesach armii ukraińskiej, jest ona znacznie gorsza od rosyjskiej i ma niewielkie szanse na wygranie tej wojny. Ceną długotrwałego oporu militarnego, niezależnie od możliwego sukcesu, będzie więcej zniszczonych miast i wsi oraz więcej ofiar wśród ludności ukraińskiej. Dostawy broni i wsparcia wojskowego ze strony NATO przedłużają wojnę i sprawiają, że rozwiązanie dyplomatyczne jest odległe".

Reakcje na wybuch wojny bywają zaskakujące…

Andrij Stawnicer, ukraiński milioner, wyjechał z Ukrainy, gdy rozpoczęła się rosyjska inwazja i trafił do Lublina. W wywiadzie dla brytyjskich mediów opowiedział, jak kazał zbombardować własną posiadłość, gdy tylko się dowiedział, że stała się ona miejscem stacjonowania rosyjskich wojsk.

A w numerze, który trafia do rąk czytelników, dużo miejsca o Ukrainie, obecnej – ogarniętej wojną – i tej sprzed lat, jeszcze w sowieckich granicach. Profesor Andrzej Małkiewicz – politolog, specjalizujący się w historii doktryn polityczno-prawnych – jest jednym z uczestników redakcyjnej ankiety „Sto dni wojny na Ukrainie". Polecam wypowiedź profesora, jak też refleksje naszych redakcyjnych kolegów: Stanisława Żurka i Michała Podlaskiego. Stanisław Turski, niezrównany reporter, w latach minionych pracownik biur turystycznych, w Kijowie, Lwowie, na Pokuciu bywał już w latach 70. ubiegłego wieku. Szereg lat obserwował, jak pisze w swych wspomnieniach, odradzanie się tożsamości ukraińskiej. Podejmował ryzyko indywidualnych wypraw do miejsc niedostępnych dla turystów, rozmawiał z przedstawicielami wielu środowisk i zawodów, miał szczęście i przyjemność uczestniczenia – jeszcze w byłym ZSRR – w pierwszym ślubie udzielonym w języku ukraińskim młodej parze Ukraińców w zaporoskim Urzędzie Stanu Cywilnego. Najnowsza książka Marka Koprowskiego *Wołyń zapomniany* poświęcona jest losom Polaków pozostawionych przez II Rzeczypospolitą za kordonem, czyli za Zbruczem, Wilią i Horyniem – rzekami, na których w roku 1921 wyznaczono granicę polsko-sowiecką. Tragiczny los naszych rodaków z tych terenów długo pozostawał zapomniany, a pamięć o poniesionych ofiarach zaginęła w natłoku informacji o zbrodniach nacjonalistów w latach II wojny światowej. Praca Marka A. Koprowskiego, jak większość jego książek, oparta jest na relacjach ostatnich świadków. Zachęcam do lektury reportażu *Tropami szlacheckich zaścianków*, to jeden z rozdziałów tej ważnej i cennej publikacji.

Janina Szyczewska – urodzona w roku 1905 – wywodziła się z Polesia Wołyńskiego, jej ojciec Władysław Kopałło pracował w Żytyniu w powiecie rówieńskim, był dyrektorem cukrowni. Swe ostatnie lata spędziła w Nałęczowie, a jej opowieść o historii rodziny spisała Maria Józefacka – znakomita poetka, nieustająca w wysiłkach dokumentowania dziejów polskiej inteligencji. Losy Polaków poza krajem, ich praca, nauka, pielęgnowanie narodowej tradycji to tematy pasjonujące wielu polityków, naukowców, pisarzy. Ks. profesor Edward Walewander, współpracownik naszego pisma, w roku 1992 zorganizował konferencję naukową poświęconą Polakom na Wschodzie. Pokłosiem sesji był tom wykładów *Polacy na Łotwie* zredagowany przez ks. profesora. Książka nie minęła bez echa, zachwyciła choćby papieża Jana Pawła II, któremu publikację wręczył redaktor na prywatnej audiencji. Kilka lat temu zrodziło się przekonanie o konieczności drugiej edycji. Do działań prowadzących do wznowienia tomu zachęcała redaktora również ambasador RP w Tallinie pani dr Monika Michaliszyn w trakcie spotkania 10 stycznia 2022 roku.

Ogromne zainteresowanie wzbudziły – publikowane na naszych łamach – wspomnienia ks. profesora Zygmunta Zielińskiego, wybitnego historyka i publicysty, *Prymas Stefan Wyszyński jakiego znałem*. Prezentujemy drugi odcinek wspomnień, tekst napisany ze swadą rasowego prozaika, zachwycają błyskotliwe obserwacje autora, specyficzny humor i znakomicie nakreślone sylwetki osób z otoczenia prymasa, pasjonująca lektura! A ponadto w numerze, piękne, erudycyjne eseje prof. Stefana Kruka o Moniuszce i prof. Elżbiety Orzechowskiej o Aleksandrze Lednickim, zapomnianym polityku i filantropie. Polecam szkic Bartosza Staręgowskiego o bitwie pod Kircholmem, relację Jerzego B. Sprawki z wyprawy do Wilna i kolejny odcinek wspomnień Jerzego Jacka Bojarskiego, wreszcie piękne wiersze Haliny Olszewskiej, Henryka Kozaka, Wojciecha Pestki i Andrzeja Samborskiego.

I do spotkania za dwa miesiące – redaktor

Marek Andała, *Zapomniane*, pastel olejny, 95×30 cm, 2019

Stefan Kruk

STANISŁAW MONIUSZKO i teatr operowy

Stanisław Moniuszko [...] *Stanislas Moniuszko* [...], 1850, litogr. dwybarw.; 44,5 × 39 cm, Jan Kazimierz Wilczyński (1806–1885), wyd. Joseph Lemercier (1803–1887). zbiory POLONA

Wiek XIX był złotym okresem rozwoju opery. Pierwotna postać tego rodzaju sztuki – dramma per musica (dramat muzyczny) narodziła się pod koniec XVI w. we Florencji. Jacopo Peri, kapelmistrz Medyceuszów, skomponował operę „Dafne" w 1594 r. Zatem twórcami dramatu muzycznego byli Włosi. Nic dziwnego, wszak ten wszechstronnie uzdolniony naród słynie z zamiłowania do śpiewu. Toteż hegemonia włoskiej opery trwała właściwie do końca XIX w. Wprawdzie Niemcy usiłowali rywalizować z kompozytorami z Półwyspu Apenińskiego i wykazywali dużą innowacyjność w tym zakresie, wystarczy wymienić „Orfeusza i Eurydykę" Willibalda Glücka (1762) oraz „Tristana i Izoldę" Ryszarda Wagnera (1859), to jednak prymat Włochów był bezsporny. A ten szlak triumfalny włoskiego belcanta wyznaczają tak wielkie nazwiska, jak Gioacchino Rossini (1792–1868), Giuseppe Verdi (1813–1901), Giacomo Puccini (1854–1924), by ograniczyć długą listę wybitnych przedstawicieli włoskiej opery do tych trzech nazwisk.

Naturalnie kompozytorzy innych krajów nie próżnowali. Francuzi kontynuowali wielce popularną operę buffa, stworzoną jednak w Neapolu („Służąca panią" J. B. Pergolesiego – 1733), dali też arcydzieło w gatunku opera seria: „Carmen" G. Bizeta (3 III 1875). Wcześniej Austriak W. A. Mozart skomponował m.in. dwa arcydzieła: „Don Juana" (1787 r.) oraz „Czarodziejski flet" (1791). Ale dla naszego tematu ważne jest inne nazwisko – Niemca Karola Marii Webera oraz jego „Wolny strzelec" (1819 r.), pierwsza opera romantyczna o wyraźnie zaakcentowanym kolorycie lokalnym.

Opera polska przed Moniuszką

Bijący rekordy powodzenia „Wolny strzelec" trafił też na deski Teatru Wielkiego w Warszawie (1824), gdzie nad wykonaniem tej opery czuwał Karol Kurpiński, dyrygent i kompozytor. Zostawmy jednak w spokoju dzieła obcych twórców, zajmijmy się rodzimymi kompozytorami: Elsnerem i Kurpińskim.

Józef Elsner w latach 1799–1824 był głównym dyrygentem opery warszawskiej, równocześnie tworzył muzykę religijną, ponadto skomponował ok. 20 oper osnutych na motywach zaczerpniętych z historii Polski. Najbardziej znaną jest „Król Łokietek, czyli Wiśliczanki" do libretta Ludwika Adama Dmuszewskiego (premiera w 1818 r.).

Następcą Elsnera był Karol Kurpiński, który już od 1810 r. współpracował z zespołem Wojciecha Bogusławskiego; on również poza dyrygenturą prezentował na scenie twórczość własną. Był to okres preromantyzmu, w którym istniało zapotrzebowanie na tematykę rodzimą, zwłaszcza historyczną. Kurpiński skomponował 24 opery, z których największym powodzeniem cieszył się „Zabobon, czyli Krakowiacy i górale" do libretta Jana Nepomucena Kamińskiego (była to kontynuacja śpiewogry W. Bogusławskiego). Jednak trwałą

Ostatnie przedstawienie w kursie letnim.

Abonamentu jedynastego numer trzeci.

W ces. król. uprzywil. teatrze hr. Skarbka.

W piątek dnia 27. czerwca 1862

KRÓL ŁOKIETEK

czyli:

WIŚLICZANKI

Opera w trzech aktach oryginalnie wierszem przez L. A. Dmuszewskiego napisana, z muzyką Józefa Elsnera.

OSOBY:

Władysław, zwany Łokietek — — — — — P. Nowakowski, sp.
Elżbieta, żona jego — — — — — P. Hubert.
Hersza | ochmistrzyni — — — — — P. Wilczewski.
Olga | ochmistrzyni — — — — — P. Zawiłowski.
Stefan, mieszczanin z Wiślicy — — — — — P. Golanowicz.

Zenia | Sybilla | dziewczęta z Wiślicy — — — — — Pan. Wyrzykowska.
Zenia — — — — — Pan. Wasilewna.
Wola dziewczynka — — — — — Pan. Kwiecińska.
Jasiek, mieszczanin Zeni — — — — — Pan. Hubertówna.
— — — — — P. Wolniakowski.

Grono wieśniaków różnej płci i wieku. — Żołnierze. — Rycerstwo wiślickie. Chorągwi. — Scena w Wiślicy. — Rzecz dzieje się w roku 1306.

Ceny miejsc w znaczeniu następującej:

Loża parterowa i pierwszego piętra 5 reń. — Loża drugiego piętra 4 reń. — Loża trzeciego piętra 3 reń. 60 kr. — Krzesło na pierwszem piętrze 1 reń. 25 kr. — Krzesło parterowe 1 reń. 5 kr. — Krzesło na drugiem piętrze 90 kr. — Krzesło na trzeciem piętrze 70 kr. — Miejsce na parter 42 kr. — Wstęp na trzecie piętro 30 kr. — Galerja 21 kr.

Początek o godzinie p[illegible] o 8, koniec o 10.

U kasjera kawiarni teatralnej moż[illegible]né lornety na każde przedstawienie.

wartość wykazała inna opera Kurpińskiego, mianowicie „Zamek na Czorsztynie" do libretta Józefa Wawrzyńca Krasińskiego (1819 r.). Józef Kański twierdzi, że Kurpiński zafascynowany był twórczością kompozytorów włoskich, zwłaszcza Rossiniego. Równie wysoko cenił arcydzieła Mozarta, a to wskazuje na rokokowy gust naszego maestra. Warto dodać, że właśnie Kurpiński skomponował muzykę słynnej pieśni „Warszawianka" do słów francuskiego poety Casimira Delavigne'a.

Fenomen Moniuszki

Już samo przyjście na świat wielkiego kompozytora było wydarzeniem niezwykłym, bowiem pani Elżbieta Moniuszko przez cztery doby zmagała się z wyjątkowo ciężkim porodem, by wreszcie 5 V 1819 r. urodzić przyszłego twórcę „Halki". Elżbieta Moniuszko, posiadająca pewne wykształcenie muzyczne, była pierwszą nauczycielką swego utalentowanego syna. Matka nie tylko grała na fortepianie, ale też śpiewała popularne w owym czasie „Śpiewy historyczne" Juliana Ursyna Niemcewicza, zwłaszcza te, do których muzykę skomponował Karol Kurpiński. Gdy Staś miał 8 lat rodzice opuścili rodzinną wieś Ubiel pod Mińskiem i udali się do Warszawy, gdzie zamieszkali. Przyszły kompozytor uczęszczał do szkoły księży pijarów, natomiast muzyki uczył się w kościele ewangelickim u organisty Augusta Freyera. Tu zapoznał się z muzyką J. S. Bacha oraz G. F. Haendla. Po trzech latach pobytu w Warszawie państwo Moniuszkowie przenieśli się do Mińska. Tu młodzieniec uczęszczał do gimnazjum, zaś prywatnie pobierał lekcje muzyki u Dominika Stefanowicza. Dzięki opiece stryja Aleksandra 16-letni Stanisław Moniuszko wyjechał do Wilna, dokąd akurat w tym czasie ściągnął niemiecki zespół operowy. W repertuarze Niemcy mieli oczywiście „Wolnego strzelca" Webera, ale także „Normę" Belliniego i „Cyrulika sewilskiego" Rossiniego. W Wilnie Moniuszko poznał swoją przyszłą żonę Aleksandrę Müllerównę. Strzała Amora była celna, ale młody muzyk nie mógł jeszcze podjąć stanowczej decyzji. Dziewczyna rozumiała, że jej ukochany musi dokończyć studia. Moniuszko jesienią 1837 r. podjął studia →

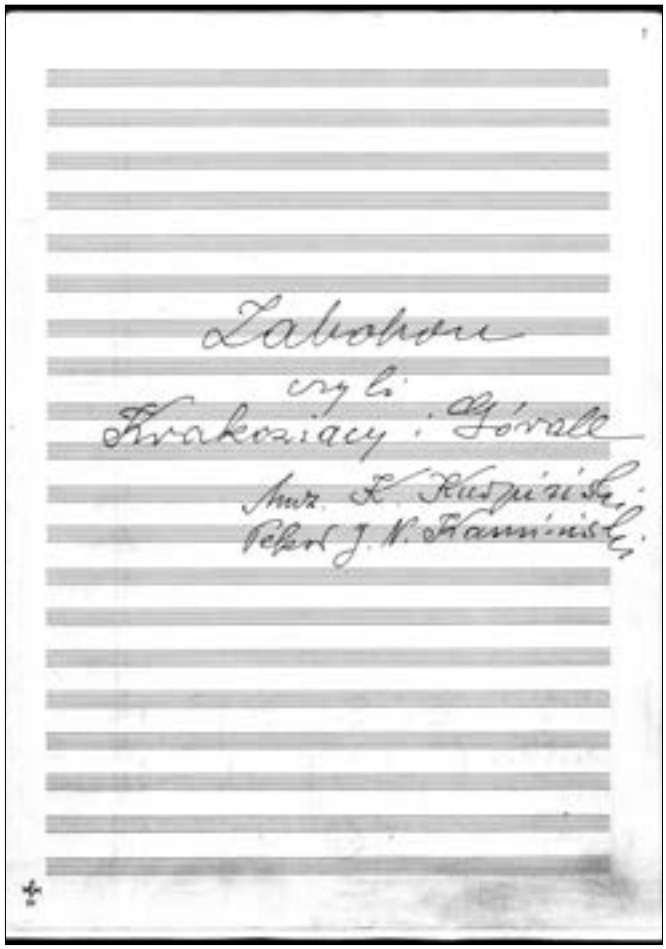

w Berlinie w Akademii Śpiewu (Singakademie) pod kierunkiem K. F. Rungenhagena. Tu poznawał kunszt dyrygowania chórem i orkiestrą. Nad Sprewą poza nauką Moniuszko komponował pieśni oraz muzykę instrumentalną. Wakacje młody kompozytor spędzał w Wilnie naturalnie podtrzymując serdeczne spotkania z wybranką swego serca. Nie zapominał też o kontaktach z miejscowym teatrem, któremu anonimowo powierzył operetkę „Nocleg w Apeninach" do libretta A. Fredry. Po zakończeniu studiów berlińskich Moniuszko latem 1840 r. powrócił do Wilna i zawarł związek małżeński z damą swego serca. Młoda para zamieszkała w mieście nad Wilią. Troszcząc się o budżet domowy Stanisław Moniuszko kontynuował współpracę z teatrem komponując dalsze operetki, m.in. „Nowego Don Kiszota" do tekstu A. Fredry. A co ważniejsze, podjął obowiązki organisty w kościele św. Jana. Nadal komponował pieśni; za życia kompozytora ukazały się cztery zeszyty „Śpiewników domowych", po śmierci kompozytora wydrukowano jeszcze osiem.

W 1846 r. podczas pobytu w Warszawie Moniuszko nawiązał współpracę z Włodzimierzem Wolskim. Poeta-„cygan" korzystając z materiałów ludoznawczych K. W. Wojcickiego, napisał 2-aktowe libretto „Halki" – pierwszej opery serio, jaką skomponował Stanisław Moniuszko. I tak się zaczęła wielka kariera tego muzyka w teatrze operowym.

„Halka" mała i duża

Tę małą, bo 2-aktową, „Halkę" wystawiono 1 I 1848 r. w Wilnie w wersji estradowej – bez kostiumów i stosownej oprawy malarskiej. W międzyczasie kompozytor tworzył oratoria, m.in. „Widma" do tekstu II części „Dziadów" A. Mickiewicza. Latem 1857 r. Moniuszko po rozmowie z Wolskim podjął decyzję rozszerzenia libretta „Halki" do 4 aktów. Decyzja okazała się szczęśliwa, premiera opery w tej nowej wersji (1 I 1858 r.) była wielkim sukcesem Moniuszki. Nie bez znaczenia był też fakt wystawienia dzieła w Teatrze Wielkim w Warszawie. To umożliwiło kresowemu artyście objąć stanowisko dyrygenta opery w stolicy, co nastąpiło latem tegoż roku.

Na inaugurację warszawskiego okresu działalności Moniuszko wystawił swą jednoaktową operę „F l i s" do libretta Stanisława Bogusławskiego. Premiera odniosła pełny sukces. Akcja utworu rozgrywa się nad Wisłą

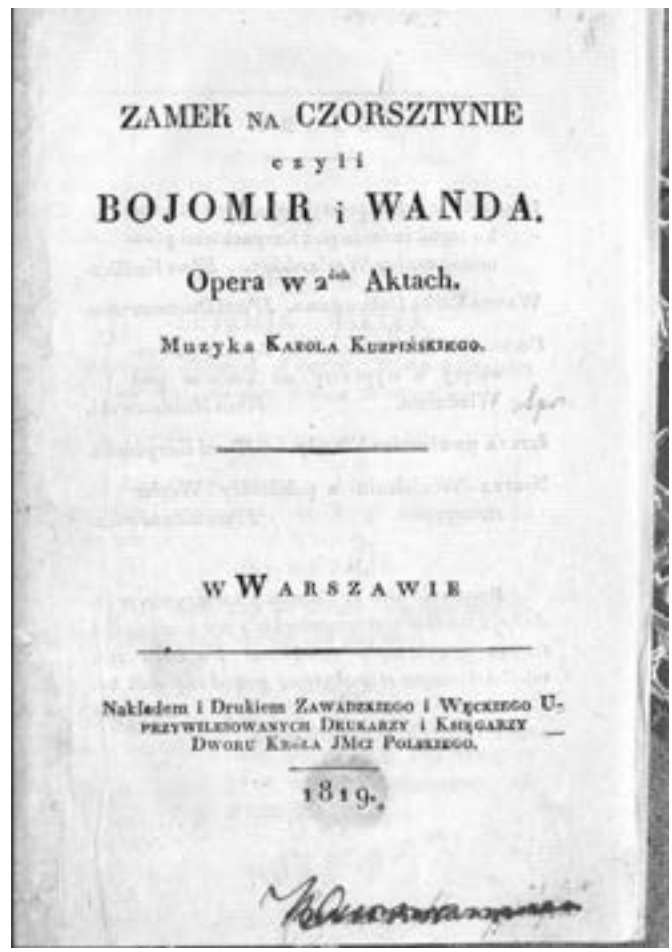
ZAMEK NA CZORSZTYNIE
czyli
BOJOMIR i WANDA,
Opera w 2ch Aktach.
Muzyka Karola Kurpińskiego.
W Warszawie
Nakładem i Drukiem Zawadzkiego i Węckiego U. przywilejowanych Drukarzy i Księgarzy Dworu Króla JMci Polskiego.
1819.

nieopodal Warszawy. Bohaterami są ludzie prości – flisacy, rybacy, rzemieślnicy. Intryga jest nieskomplikowana, zasadza się na motywie zaginionego brata. I rozwiązuje się bez trudu, bo dwaj rywale, Franek oraz Jakub, zabiegający o rękę Zosi, córki zamożnego rolnika, okazują się braćmi, zaś fryzjer – mocno faworyzowany przez ojca panny – wielkodusznie rezygnuje z konkurów na rzecz flisaka, który posiadł serce Zosi.

Sarmacji czar

W Warszawie, do której Moniuszko przeniósł się z Wilna latem 1858 r. po 18-letnim pobycie nad Wilją, przeżył triumf „Halki" oraz sukces „Flisa", a wznowiona współpraca z Włodzimierzem Wolskim odsłoniła przed nim urok minionego czasu. Tak narodziła się „H r a b i n a", której akcja rozgrywa się podczas pruskiej okupacji Warszawy, kiedy w byłej stolicy Rzeczypospolitej królował książę Pepi – Józef Poniatowski. Librecista powrócił do konfrontacji mody na francuszczyznę z tradycją szlacheckiego dworku.

Pierwsze dwa akty opery rozgrywają się w warszawskim domu hrabiny – owdowiałej młodej kobiety. Salon tytułowej bohaterki gromadzi modną, wyfraczoną młodzież, w gronie której rej wodzi Dzidzi, najgorliwiej nadskakuje on urodziwej gospodyni. O jej względy zabiega też Kazimierz, młody szlachcic występujący w żołnierskim mundurze, który zdołał oczarować Bronię, daleką krewną pani domu. Akt środkowy ukazuje bal, w czasie którego hrabina prezentuje nową suknię. Przy powitaniu pani de Vauban, metresy księcia Pepi, Kazimierz ostrogą rozdarł suknię hrabiny, co wywołało jej gniew. W tej sytuacji na „placu boju" pozostaje tylko Dzidzi.

Akt III jest apoteozą szlacheckiego dworku. Jego właścicielem jest Chorąży. Bronia, wnuczka pana domu, źle się czuła w warszawskim salonie, w którym brylowało modne towarzystwo. Wieś jest naturalnym jej środowiskiem. Kazimierz, odtrącony przez hrabinę, zwraca teraz swoje serce w stronę Broni – uroczej dziewczyny posiadającej szczeropolskie przymioty. Finał jest więc przesądzony.

Krytycy ganili błahość akcji opery, natomiast publiczność z aplauzem przyjęła moralne zwycięstwo ubogiej szlachcianki nad modnie wystrojoną hrabiną.

Po „Hrabinie" przyszła kolej na „V e r b u m n o b i l e". Teraz autorem libretta był Jan Chęciński, reżyser w Teatrze Rozmaitości. Premiera tej „szlacheckiej krotochwili" – jak ją określił Lucjan Kydryński – miała miejsce w warszawskim Teatrze Wielkim 1 I 1861 r. Akcja utworu jest niezwykle prosta: dwaj ziemianie, Marcin i Serwacy, dają sobie szlacheckie słowo, że ich dzieci pobiorą się, gdy dorosną. Zuzia oraz Michał poznali się przygodnie

IV. Ty nie wiesz, co miłość panicza
Z biedną góralką, nie wiesz ty!
„Halka" St. Moniuszki.

(pielęgnacja młodzieńca po wypadku w podróży) i pokochali. Kłopotu dostarcza młodzieniec, który przedstawił się jako Stanisław. Naturalnie Serwacy – ojciec Zuzi – pamiętny układu z Marcinem, nie może się zgodzić na te konkury. Lecz gdy prawda wyjdzie na jaw i ów „Stanisław" okaże się Michałem, zawarcie małżeństwa staje się realne.

Straszny dwór

„Verbum nobile" było zaledwie preludium do kolejnej opery Moniuszki – „S t r a s z n e g o d w o r u", do którego libretto napisał również Chęciński (premiera: 28 IX 1865 r.). Sam pomysł tego utworu narodził się jeszcze w 1861 r., ale realizacja tego przedsięwzięcia przeciągnęła się do momentu klęski Powstania Styczniowego. Moniuszko i Chęciński idąc za przykładem autora „Pana Tadeusza" pragnęli pokrzepić ducha narodowego wizją dawnej Polski. Librecista przeniósł akcję opery do pierwszej połowy XVIII w., co było kamuflażem mającym na celu uśpienie carskiej cenzury. Ale ten zabieg się nie udał, →

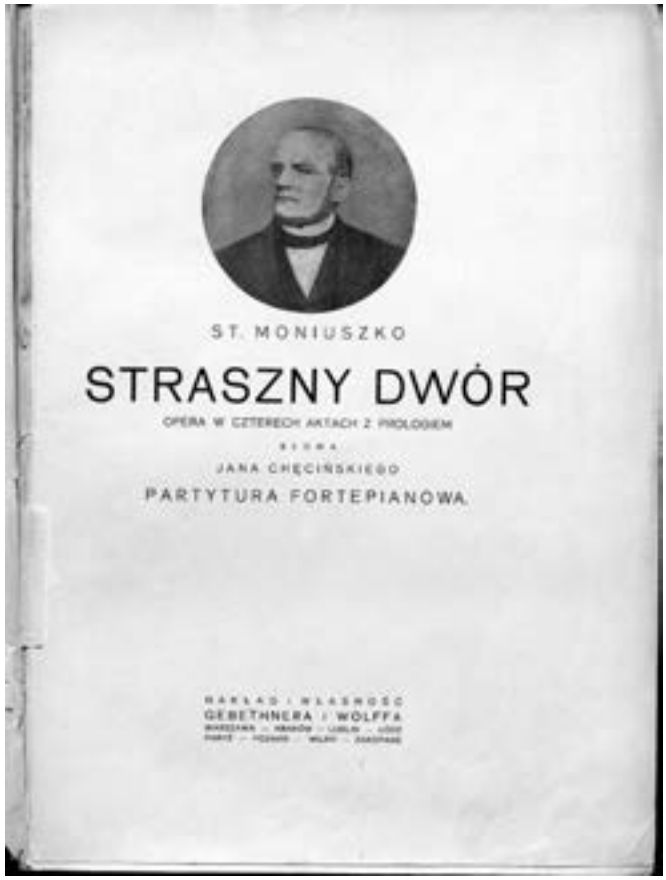

Około 1925, zbiory POLONA

gdyż Rosjanie po trzech spektaklach zakazali dalszych przedstawień. Po prostu aplauz publiczności był tak niezwykły, że wzbudziło to czujność urzędników. Po uważnym przebadaniu libretta zrozumieli, że mają tu do czynienia z kultem polskiego żołnierza, a niedawno zmarła matka obydwu rycerzy wracających z wojny to Polska.

Lucjan Kydryński w swoim dwutomowym kompendium „Opera na cały rok" przytoczył fragment listu Moniuszki do przyjaciela, w którym kompozytor opisał reakcję publiczności na inscenizację „Strasznego dworu": „Już [jest] po trzecim przedstawieniu i zwycięstwo stanowcze (…) Dobrski był zachwycający! Pieśń z kurantami starego zegara i prolog najwięcej się podobały. Orkiestra serdecznie mi służyła. Koehler (w partii Macieja) na trzeci raz zachrypł, że ledwo mógł mówić. Nowy mazur, rodzony Halkowego braciszek, ożywia czwarty akt (…) Na wety zachowałem jak derwisz z tysiąca i jednej nocy krem z pieprzem. «Straszny dwór» zawieszony przez matkę naszą cenzurę. Nikt zgadnąć nie może, z jakiego powodu. Możesz sobie wyobrazić, jak mnie to niemiło"[1]. Kompozytor z pewnością znał przyczyny zakazu dalszych spektakli opery, ale nie było mu obce i to, że ta „matka cenzura" czyta też korespondencję osób podejrzewanych o „nieprawomyślność".

Józef Kański tak oceniał kunszt muzyczny Moniuszki wykazany w partyturze tej opery: „Od strony muzycznej jest «Straszny dwór» z pewnością najdoskonalszym dziełem operowym Moniuszki, a tym samym wysuwa się na czoło całej polskiej twórczości operowej XIX w. Główne jego walory to pomysłowość harmoniczna, świetna konstrukcja scen zespołowych, subtelna i zarazem barwna instrumentacja, przede wszystkim zaś inwencja melodyczna o wyjątkowej szlachetności i wreszcie urzekająca atmosfera polskości, osiągnięta nie tylko przez taneczne rytmy i intonacje zbliżone do rodzimego folkloru. Prawdziwy klejnot stanowi aria Stefana z kurantami z III aktu, godna stanąć w jednym szeregu obok najsłynniejszych tenorowych arii włoskich i francuskich"[2].

Na koniec warto zwrócić uwagę na scenografię „Strasznego dworu"; kto wie, czy nie tutaj tkwiła najtkliwsza nuta polskości. W XIX w. teatry wyręczały się malowanymi, kompletowymi dekoracjami; w tym wypadku nie na wiele by się zdały. Zabudowa sceny przedstawia dwór w Kalinowie, naturalnie modrzewiowy, z portretami przodków. Szczególną rolę odegra „ten zegar stary" z kurantami przywołującymi minioną świetność Rzeczypospolitej. Aria Macieja maluje urok dawnych czasów. „Ruchome" portrety prababek grają, bo ukryte za nimi córki Miecznika sprawdzają odwagę młodych gości. Nic więc dziwnego, że akcja opery zakończy się podwójnym małżeństwem.

Po „Strasznym dworze" Moniuszko skomponował jeszcze jedną operę do libretta Jana Chęcińskiego, była to „P a r i a" (Parias), osnuta na motywie kastowości w społeczeństwie hinduskim (premiera w Teatrze Wielkim 11 XII 1869 r.), ale inscenizacja sukcesu nie odniosła. Trudno powiedzieć, co skłoniło obydwu artystów do podjęcia egzotycznej tematyki (może sukces „Aidy" G. Verdiego), wszak Polacy żyli innymi problemami.

Próba syntezy

Choć finał twórczości operowej Moniuszki okazał się nieporozumieniem (z publicznością), to jednak cały dorobek kompozytorski autora „Strasznego dworu" był osiągnięciem epokowym. Wywołał falę naśladownictwa, o czym za chwilę, a przede wszystkim wykazał, że nawet w warunkach niewoli narodowej można, i trzeba!, pomnażać dorobek kulturalny Polaków. A w tym zakresie talent Moniuszki wniósł cenne zdobycze nie tylko tematyczne, lecz także czysto muzyczne. Witold Rudziński, monografista twórczości kompozytora, ujął to w następujący sposób: Moniuszko „uznawał w operze prymat dramatu

1 Lucjan Kydryński, *Opera na cały rok. Kalendarium*, PWM, Kraków 1989, t.II, s.180.

2 Józef Kański, *Przewodnik operowy*, PWM, Kraków 1964, s.212.

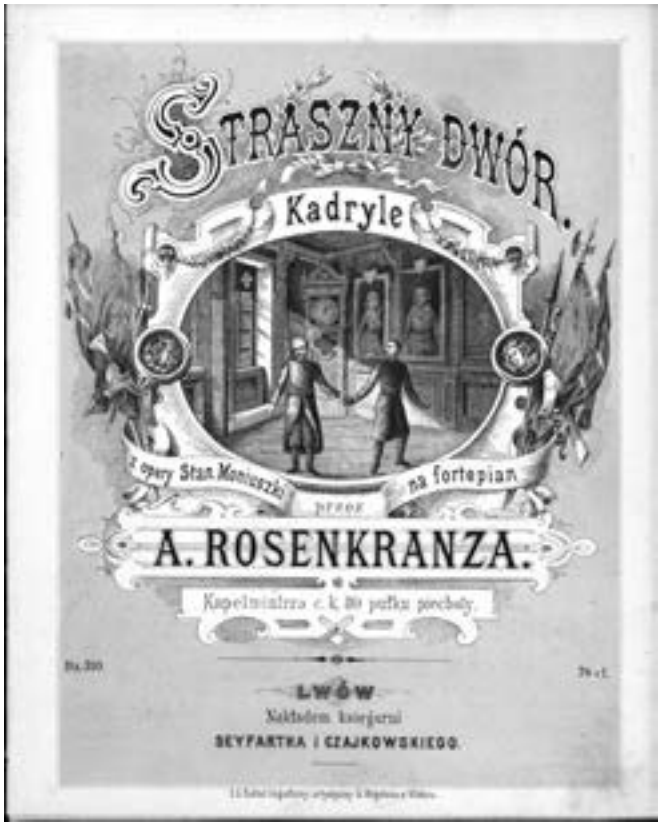

Około 1870, zbiory POLONA

– przedstawienie głównej myśli i podporządkowanie jej wszystkich środków bez względu na przyjęte konwencje muzyczne (…) Nie odrzucał, jak Wagner, zdobyczy poprzednich epok: arii, pieśni, scen tanecznych czy zespołowych, lecz włączał je do swoich oper w ten sposób, że służyły pogłębieniu uczuć, wynikały z akcji i były podporządkowane rozwojowi nurtu dramatycznego"[3].

Za Warszawą inne miasta sięgnęły po dzieła Moniuszki. I tak, teatr krakowski wystawił „Halkę" 30 XI 1866 r. Następnie „Verbum nobile". W roku następnym teatr lwowski zaprezentował swej publiczności „Halkę". Widownia teatru lubelskiego ujrzała tę operę dwa lata później. Jak więc widzimy największym powodzeniem cieszyła się ta opera, osnuta na motywach ludowych. Tak było również na scenach obcych: wystawiono ją w Pradze, Moskwie, Petersburgu, Kijowie. Zaś „Straszny dwór", uznany za najwybitniejsze osiągnięcie operowe Moniuszki, krzepił serca polskie, choć cenzura carska nie ułatwiała artystom pracy.

Następcy Moniuszki

Za najwybitniejszego kontynuatora Moniuszki uznano Władysława Żeleńskiego (1873–1921), komponującego swoje dzieła do tekstów czołowych poetów i pisarzy polskich, same tytuły na to wskazują: „Konrad Wallenrod" (1885), „Goplana" (1896), „Stara baśń" (1907). Tym samym tropem kroczył wielki pianista Ignacy Jan Paderewski (1860–1941), twórca opery „Manru", osnutej na motywach „Chaty za wsią" J. I. Kraszewskiego (1901) oraz kantaty „Quo vadis" opartej na głośnej powieści Henryka Sienkiewicza. Natomiast Ludomir Różycki (1884–1963) sięgnął po tekst współczesny, dramat modernistyczny „Eros i Psyche" Jerzego Żuławskiego (1917). Na koniec wymieńmy nazwisko Feliksa Nowowiejskiego (1877–1946), twórcy „Legendy Bałtyku" (1924), opery popularnej w II Rzeczypospolitej.

STEFAN KRUK

Bibliografia:

1. Witold Rudziński, *Moniuszko i jego muzyka*, PZWS, Warszawa 1970.
2. Henryk Swolkień, *Spotkanie z operą*, PZWS, Warszawa 1971.
3. Henryk Swolkień, *Dzieje muzyki polskiej w zarysie*, Interpress, Warszawa 1977.
4. Lucjan Kydryński, *Opera na cały rok. Kalendarium*, t. I i II, PWM, Kraków 1989.
5. Józef Kański, *Przewodnik operowy*, PWM, Kraków 1964.

Stanisław Sienkiewicz w operze „Straszny Dwór", 1897, Zakład Fotograficzny „Sigismond" (Warszawa), zbiory POLONA

3 Witold Rudziński, *Moniuszko i jego muzyka*, PZWS, Warszawa 1970, s.137.

Ks. Edward Walewander

Moja szkoła po latach[1]

Święty Łukasz w swojej Ewangelii informuje nas, że któregoś dnia Jezus „przyszedł również do Nazaretu, gdzie się wychował. W dzień szabatu udał się swoim zwyczajem do synagogi i powstał, aby czytać" (Łk 4, 16), a po przeczytaniu urywka z księgi proroka Jeremiasza: „Duch Pański spoczywa na Mnie, ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę, więźniom głosił wolność, a niewidomym przejrzenie; abym uciśnionych odsyłał wolnymi, abym obwoływał rok łaski Pana" (Łk 4, 18–19), zaczął przemawiać do zebranych w świątyni. Nawiązał przy tym do swojej misji, podkreślając, że w Nim spełniają się przeczytane słowa Pisma, co niestety wśród jego słuchaczy zrodziło ostrą reakcję: „Porwawszy się z miejsc, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili aż na urwisko góry, na której zbudowane było ich miasto, aby Go strącić. On jednak przeszedłszy pośród nich, oddalił się" (Łk 4, 29–30). My wszelako jesteśmy tu, w tej szkole – XXI Liceum Ogólnokształcącym im. św. Stanisława Kostki w Lublinie, potocznie zwanym też Biskupiakiem, bo w latach 1923–1949 znane było jako Wyższe Gimnazjum Biskupie Męskie, biskupa lubelskiego mając za protektora – aby jeszcze bardziej zbliżyć się do Jezusa, a przez Niego do siebie nawzajem.

Przyznam na własnym przykładzie, że im bardziej postępujemy w latach, by użyć tego starożytnego wyrażenia, tym chętniej wracamy do szkoły, którą opuściliśmy kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu. Dziwne to, bo przecież niejednokrotnie dowiadujemy się, że na szkołę zazwyczaj się psioczyło i bodaj dalej się psioczy. Tyle w niej obowiązków spada na biednego ucznia, tyle ograniczeń, tak wiele wymagań, zdawać by się mogło, że ponad siły. Pamiętam, ileż to było wzdychań do upragnionej chwili, kiedy ze świadectwem ukończenia wręcz wyfrunie się ostatni raz przez tak dobrze znaną bramę z silnym postanowieniem, że tego obmierzłego przybytku już nigdy się nie nawiedzi. Nic, jak się miało okazać, bardziej mylnego. Dopiero bowiem kiedy się tej swojej szkoły tak naprawdę posmakuje, acz już zazwyczaj z dala od niej, zaczyna wracać oskoma na tamte lata. Bądźmy oględni w słowach, niech więc będą wymagające, może niekiedy nawet trochę budzące strach przed skutkami własnego lenistwa, dopiero teraz, po latach w pełni uświadomionego. Szkoła wspominana po latach staje się jakby bliższa sercu. Kiedy dzisiaj przechodzę obok murów mojej szkoły, nagle wydaje się, że to było jakby wczoraj, kiedy je żegnałem. Ta niegdyś tak nudna brama zdaje się teraz zapraszać jak do jakiegoś wykwintnego lokalu. Może bym i wstąpił, ale kogo zastanę? Co powiedzą, widząc intruza, czy zrozumieją, że wracam trochę jak syn marnotrawny i czekam na wylewne przyjęcie? Pokolenie, które, tak jak i ja niegdyś, patrzy na szkołę jako na zło konieczne, kiedyś, może już nawet za lat kilka, także nieśmiało będzie obchodzić te nagle tak bliskie i drogie mury, zaglądać do bramy, którą kiedyś przekraczało się może z ciężkim westchnieniem katorżnika.

Tak jednak musi być. Pokolenia dojrzewają nie w szkole, ale wtedy, kiedy przychodzi zbierać plon jej zasiewu. To niekoniecznie bywa plon, jakiego można by oczekiwać po każdej szkole. Dzisiaj, owszem, mamy oczy otwarte i widzimy, kto i co wysiewa. Iluzje w tym względzie są czymś najgorszym, gdyż nie pozwalają widzieć szkoły w jej właściwym kształcie. Tymczasem jest on ważny, gdyż od niego zależy plon, jaki szkoła i nauka w szkole po latach przynosi.

Szkoła zatem to temat ciągle ważny i aktualny. O szkole od dawna wiele się mówi i pisze. W kronice szkolnej w bawarskiej miejscowości Obergangkofen znalazłem niecodzienny, może nieco ironiczny zapis nauczyciela z połowy XIX stulecia: „Szkoła była zła, jest zła i taką zawsze pozostanie"[2].

Całkiem odmienny obraz szkoły przedstawił znany polski pisarz Melchior Wańkowicz w swej książce *Na tropach Smętka*, wydanej w 1936 r. Zacytuję większy fragment, ponieważ Wańkowicz dobrze przedstawia szkołę

1 Kazanie – wygłoszone w kaplicy szkolnej XXI Liceum Ogólnokształcącego im. św. Stanisława Kostki w Lublinie (Biskupiaka) 17 czerwca 2022 r. – do nauczycieli i absolwentów Technikum Przemysłowo-Pedagogicznego.

2 *Schulchronik* (Kronika szkolna), Archiwum parafialne Obergangkofen (archidiec. monachijska), bez sygn.

z naszych uczniowskich lat i przekazane nam dziedzictwo. Słusznie stwierdza:

„Jeśli dla życia politycznego narodu jego zewnętrznym symbolem i jego warunkiem najistotniejszym jest niezawisłość, to dla życia duchowego i kulturalnego – szkoła.

Można powiedzieć, że jest ona ważniejsza niż wszystko – niż prasa, bo tę zastąpi «wieść gminna», niż nabożeństwo w języku ojczystym, bo to zawsze potrafi się schronić pod jakową figurę przy drodze, pod dach prywatnego domu.

Szkoła – to dopiero uchwytne wiązadło, które kłosy myśli, źdźbła uczuć bierze w powrósło organizacji i sprawia, że już się żółci nowy snop dojrzały, uchwytny [...].

W szkole krystalizują się uczucia w rozumowania i rozumowanie prześwietla się uczuciem. W szkole z chaosu wyłania się twardy duchowy ląd. To szkoła daje swoją tradycję, to szkoła stwarza świat, któremu pozostajemy wierni.

Dlatego wszędzie, gdzie jest zagrożona narodowość, rozżarza się najstraszliwsza, najzajadlejsza walka o szkołę”[3].

Jaki kapitał może dać dobra szkoła? Wiem, że przed II wojną światową do pracy przy budowie obiektów wielce obiecującego, ale niestety nigdy nieukończonego, z powodu właśnie II wojny światowej, Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP) przyjmowano do pracy bez jakichkolwiek referencji, można powiedzieć: z otwartymi ramionami, absolwentów szkół zawodowych prowadzonych przez księży salezjanów, zwłaszcza oświęcimskich. Przyczyną aż takiego wzięcia owych adeptów były nie tylko ich niepodważalne kwalifikacje zawodowe, ale także etos, wartości moralne, jakie im wpojono w prowadzonej przez zakonników szkole. Każdy rzemieślnik chciał się wtedy legitymować przede wszystkim uczciwością.

Absolwenci pewnej szkoły zawodowej, kiedy ich pytano, komu z wychowawców i nauczycieli zawdzięczają najwięcej, odpowiadali bez wahania: nauczycielom zawodu. To byli bowiem prawdziwi rzemieślnicy, dziś powiedzielibyśmy raczej, że fachowcy. Poniechanie szkół zawodowych po 1989 r. było wielkim błędem, gdyż nie tylko przerzedziło szeregi wielu zawodów, ale pozbawiło społeczeństwo wartościowego, godnego zaufania pracownika, bez którego w wielu wypadkach naprawdę trudno się obejść.

O mojej szkole średniej, lubelskim Technikum Przemysłowo-Pedagogicznym, można także powiedzieć wiele dobrego. Dużo też już na jej temat napisano, w ten sposób też niejako uwieczniają poszczególnych profesorów. Niektórzy z nich doczekali się nawet osobnych publikacji, nawet książkowych. Pani prof. Alicja Omiotek wydała książkę, która jest zbiorem jej i naszych, uczniowskich

wspomnień. Nadała jej wymowny tytuł: *Inna. Szkoła, jakich już nie ma*[4].

Słowo „duma” jest tu jak najbardziej na miejscu. Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że nic innego jak rękodzieło jest najważniejszym elementem budującego się świata. Stwórca powiedział wszak: *czyńcie sobie ziemię poddaną* (por. Rdz 1, 28). Któż bardziej idzie za tym wezwaniem, jeśli nie człowiek pracujący dosłownie w pocie czoła? Szkoła, którą wspomniałem, tego właśnie uczyła, dlatego jest cenniejsza niż jakakolwiek akademia, która może i dostarcza dobrze zaprogramowane mózgi, ale dopiero zręczne dłonie urzeczywistniają pomysły w tychże mózgach zrodzone.

Za każdym razem, kiedy wracamy w mury swojej szkoły – a z biegiem lat owa gromadka chętnych na to, niejako siłą rzeczy, coraz bardziej, niestety, maleje – mamy świadomość, że czas tu przebyty umościł drogę naszego życia. Szkoła, to oczywiście nie tylko budynek, mury, nawet nie klasy, pomoce naukowe. Szkoła to przede wszystkim ludzie. Ci młodzi w ławkach także. Szkoła jednak stoi, by tak powiedzieć, nauczycielem. Bywały niekiedy szkoły,

3 M. Wańkowicz, *Na tropach Smętka*, Warszawa 1958, s. 192.

4 Wydawnictwo POLIHYMNIA, Lublin 2016.

zwłaszcza w czasach historycznych, nawet gdzieś w zapadłej wioszczynie, prowincjonalnym miasteczku, które przyciągały tłumnie uczniów. Magnesem było nazwisko sławnego nauczyciela, uczącego w takiej szkole. Wtedy najważniejszym tytułem był – uwaga – magister. Magister w podstawowym znaczeniu to – już od średniowiecza (*magister artium*) – nauczyciel, ale można to słowo rozumieć też jako mistrz. Każdy nauczyciel, który wkłada w swój zawód umysł i serce, jest takim magistrem-mistrzem. Obojętne przy tym, czy ma tytuł profesora zwyczajnego na wyższej uczelni, czy uczy pierwsze klasy szkoły podstawowej w jakiejś małej wsi. I tam, i tu jest mistrzem niejako wykuwającym wchodzące na scenę pokolenia. Dlatego tym naszym magistrom albo, jak mówiliśmy za naszych czasów – belfrom, niech będzie chwała i niech pamięć o nich nie zaginie. Może nawet ta pamięć pełna humoru, bo ona jest potrzebna. W *Pierwszym Liście do Koryntian* św. Paweł Apostoł wyznał: „Ja siałem, Apollos podlewał, lecz Bóg dał wzrost" (1 Kor 3, 6).

Trzeba sobie uzmysłowić, że wobec szkoły mamy też pewne zobowiązania. Musimy dbać o to, by szkoła nie stała się żerowiskiem ludzi, dla których nie człowiek jest ważny, ale jakaś idea, niekiedy tak groźna jak dziś covid 19. Obrona szkoły to nasza zapłata za to, co ona nam dała. Niech to będzie zobowiązanie zakotwiczone w naszej pamięci.

Z pewnością zachowaliśmy we wdzięcznej pamięci wiele wyjątkowych przykładów budującej postawy naszych pedagogów. Dlatego chcę w tym miejscu przytoczyć kilka słów Pisma Świętego o ludziach dobrych i uczonych. Taki człowiek „wykłada swą naukę o umiejętności postępowania […]. Wielu chwalić będzie jego rozum i na wieki nie będzie zapomniany, nie zatrze się pamięć o nim, a imię jego żyć będzie z pokolenia na pokolenie. Mądrość jego opowiadać będą narody, a zgromadzenie wychwalać go będzie. Za życia zostawi imię większe niż tysiąc innych, które po śmierci jeszcze wzrośnie" (Syr 39, 8 – 11).

Takich ludzi, mądrych i dobrych, naszych profesorów i wychowawców, wspominamy dzisiaj. Modlimy się za nich. Kontynuujmy też ich dziedzictwo w różnych środowiskach naszej życiowej misji.

***

Na koniec ciśnie mi się na pamięć pewien oryginalny wiersz Juliana Tuwima, na poły melancholiczne wspomnienie szkoły, w którym rodzaj refrenu stanowią łacińskie cytaty z *De bello Gallico*, czyli *O wojnie galijskiej* Gajusza Juliusza Cezara, książki stanowiącej przez lata podstawową lekturę uczących się łaciny, jednego z podstawowych przedmiotów w tak zwanych gimnazjach klasycznych (w Biskupiaku uczy się nadal łaciny), stanowiącego przy tym, wedle wspomnień (także literackich), istną zmorę, ale pozostawiającego, jak widać, trwały i twórczy ślad w pamięci ucznia:

Szkoło! Szkoło!
Gdy cię wspominam,
Tęsknota w serce się wgryza,
Oczy mam pełne łez!
...Galia est omnis divisa
in partes tres...

Książko podarta!
Niejedną tobie rzuciłem obelgę,
A dzisiaj każda twa karta
Słodkim wspomnieniem rani!
...Quarum unam incolunt Belgae,
Aliam Aquitani...

Ileż to z serca
Płynęło nad tobą skarg!
Czy mają cel te
Przekłady z rzymskich awantur?
...Tertiam,
Qui ipsorum lingua Celtae,
Nostra Galli appellantur...

Dzisiaj
Z burzami się mozolę
Na wielkim morzu, dokąd los mnie zagnał,
A w szkole, w szkole
Palus erat non magna...

Nigdy nie zgłębię gruntu
Ani do portu nigdy nie zawinę!
Cezarze!
Dum haec geruntur
Magnis itineribus ku śmierci płynę...[5].

Ks. Edward Walewander

5 J. Tuwim, *Nad Cezarem*. Tekst wiersza Tuwima został wzięty z pierwszego miejsca w Internecie. Był to akurat blog Biblioteki I LO w Parczewie http://bibliotekaloparczew.blogspot.com/2015/09/szkoo-szkoo-gdy-cie-wspominam.html.
Dla *Latine ignorantibus*, czyli „nieumiejących po łacinie", przekład łacińskich cytatów z *De bello Gallico*, czyli *O wojnie galijskiej* Gajusza Juliusza Cezara. Jest to najpierw słynne inicjalne zdanie z tego dzieła (I,1,1):
Galia est omnis divisa in partes tres – Galia jako całość dzieli się na trzy części
quarum unam incolunt Belgae, aliam Aquitani – z których jedną zamieszkują Belgowie, inną Akwitanowie
tertiam, qui ipsorum lingua Celtae, nostra Galli appellantur – trzecią ci, którzy w ich języku zwą się Celtami, w naszym Galami
potem jest cytat z księgi II,9,1):
Palus erat non magna [*inter nostrum atque hostium exercitum*] – bagnisko było nieduże [pomiędzy naszym a wrogów wojskiem]
z księgi IV,34,3:
Dum haec geruntur – gdy to się dzieje
i wreszcie z księgi V,48,1:
[*Venit*] *magnis itineribus* [*in Nerviorum fines*] – [Przybył] pośpiesznym marszem [w granice Nerwiów].

Elżbieta Orzechowska

Aleksander Lednicki (1866–1934)
zapomniany działacz, filantrop i polityk

W tym roku (dokładnie 15 lipca) minie właśnie osiemdziesiąta ósma rocznica śmierci Aleksandra Lednickiego, wybitnego działacza, filantropa, społecznika i polityka, a jednocześnie zdolnego i cenionego prawnika. Na przełomie XIX i XX wieku był postacią znaną i poważaną, tyle że bardziej w imperium rosyjskim, gdzie przyszło mu spędzić większą część swojego pracowitego życia (używał też oczywiście rosyjskiej wersji imienia i nazwiska: Александр Робертович Ледницкий), niż po 1918 r. w już niepodległej Polsce. W jego bogatym *curriculum vitae* można wyróżnić trzy dziedziny, które bezgranicznie go absorbowały, przy czym dwie z nich, a mianowicie adwokatura i praca na rzecz emigracji polskiej w Rosji, ustępowały zazwyczaj miejsca nieprzepartemu zamiłowaniu do aktywności politycznej.

Historia jego życia bardzo mocno wpisała się także w losy Polaków w państwie carów. Aleksander Lednicki jako społecznik i filantrop pomagał wszystkim, bez względu na wyznanie, narodowość i przynależność partyjną. Wspierał potrzebujących nie tylko materialnie, m.in. aktywnie działając w wielu organizacjach dobroczynnych, ale też jako znany prawnik występował w rozlicznych procesach politycznych, broniąc więźniów i zesłańców. Rozgłos, jaki zdobył w Rosji i poza jej granicami, zawdzięczał wszelako działalności politycznej, której szczególne nasilenie przypadło na okres przed i w trakcie pierwszej wojny światowej. Jako czynnego polityka cechowała go niezwykła energia w działaniu oraz umiejętność dostosowania się do potrzeb danej chwili.

Aleksander Lednicki (fot. polskipetersburg.pl) (wikipedia.pl)

1. Początki działalności społeczno-politycznej

Aleksander Lednicki urodził się 15 lipca 1866 r. w rodzinnym majątku Szejbicze koło Mińska Litewskiego na Białorusi. Jego rodzice, Robert i Rozalia z d. Zawadzka Lednicy, za udział w Powstaniu Styczniowym zostali skazani na rok więzienia. Po przedwczesnej śmierci ojca Aleksandrem zajął się jego dziadek, Franciszek Lednicki, wychowując go w duchu patriotycznym. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczył się w latach 1878–1885 w rosyjskim gimnazjum w Mińsku. Zaszczepiony mu przez dziadka duch polskości raz po raz dawał o sobie znać, tak że Aleksander w szkole był kilkakrotnie karany za posługiwanie się językiem polskim. Przeżywał też wtedy okres fascynacji mistycyzmem i myślał o obraniu stanu duchownego.

W 1885 r. rozpoczął studia na Wydziale Przyrodniczym Uniwersytetu Moskiewskiego. W Moskwie wstąpił do polskiego kółka studenckiego i rozpoczął samokształcenie w zakresie historii, literatury oraz języka polskiego, poznając jednocześnie życie społeczno-polityczne polskiej społeczności w Rosji. Nauki przyrodnicze mało go jednak najwidoczniej interesowały, skoro wkrótce zmienił kierunek studiów i rok później został studentem →

Wydziału Prawa tegoż uniwersytetu. W 1887 r. wydalony z Moskwy za udział w demonstracji studenckiej, w której wyniku także uniwersytet został zamknięty na cały semestr, przeniósł się do Demidowskiego Liceum Prawnego w Jarosławiu nad Wołgą i tam w 1889 r. ukończył studia, uzyskując stopień kandydata nauk prawniczych. Jego wybitne zdolności doceniły władze uczelni, proponując mu pracę naukową. Lednicki ofertę tę jednak odrzucił i zajął się do cna adwokaturą. Wrócił w 1889 r. do Moskwy i w 1891 r. rozpoczął aplikanturę u znanego cywilisty moskiewskiego Nikołaja S. Trostianskiego, awansując wkrótce na jego pomocnika, potem szefa kancelarii, aby w 1896 r. przejąć ją na własność. Niebawem stała się ona, dzięki zdolnościom prawniczym Lednickiego, jedną z najpoważniejszych kancelarii adwokackich w Rosji, prowadzącą obok spraw cywilnych także karne i polityczne.

Po powrocie do Moskwy w 1889 r. Aleksander Lednicki ożenił się z Marią Poczobutt-Odlanicką Kriwonosow, pochodzącą z polsko-rosyjskiej rodziny. Jej ojcem był Włodzimierz Kriwonosow, Rosjanin, matką zaś Polka, Zofia Poczobutt-Odlanicka. Z tego małżeństwa miał z żoną dwoje dzieci: syna Wacława (1891–1967), profesora slawistyki i uznanego krytyka literackiego, i córkę Marylę (1893–1947), rzeźbiarkę.

Na początku XX wieku Aleksander Lednicki był już autentyczną znakomitością w palestrze adwokackiej i sądownictwie rosyjskim. W latach 1903–1917 był członkiem Moskiewskiej Rady Adwokackiej i jednym z nielicznych cywilistów upoważnionych do prowadzenia lekcji pokazowych na Wydziale Prawa Uniwersytetu Moskiewskiego (1900–1906). Od 1910 r. pełnił poza tym urząd prezesa Zjednoczonego Banku w Moskwie. Sama kancelaria zapewniała mu takie dochody, że przed rewolucją bolszewicką należał do najbogatszych przedstawicieli moskiewskiej Polonii, której wkrótce został niekwestionowanym liderem. Jego majątek szacowany był na kilka milionów rubli. Składały się nań posiadłości ziemskie o powierzchni około 6 tys. hektarów oraz nieruchomości w Moskwie, w Mińsku i w Warszawie. Pod koniec XIX wieku Lednicki kupił majątek i dwór w Katyniu, gdzie rodzina spędzała letnie miesiące. Jesienią 1911 r. jego syn Wacław brał udział w polowaniu w lesie katyńskim – dokładnie w miejscu, gdzie dziś znajduje się cmentarz polskich oficerów pomordowanych w 1940 r. przez NKWD (A. Mieszczanek, *Przedwojenni. Zawsze był jakiś dwór. Historia ziemian*, Warszawa 2020, s. 180).

Rozległą działalność adwokacką Lednicki łączył akuratnie z aktywnością dziennikarską i publicystyczną oraz z pracą społeczno-polityczną zarówno w kolonii polskiej w Moskwie i Petersburgu, jak też w polskich i rosyjskich sferach liberalnych. W 1891 r. został członkiem Macierzy Polskiej w Cieszynie oraz sekretarzem Rzymskokatolickiego Towarzystwa Dobroczynności w Moskwie, a w latach 1896–1917 jego prezesem. Pod auspicjami Lednickiego po 1905 r. powstały i działały także m.in. takie polskie organizacje, jak: Klub Polski „Lutnia", Towarzystwo Kultury Słowiańskiej, Związek Sokołów Polskich, Związek Kobiet Polskich (przewodniczącą była Maria Lednicka, żona Aleksandra), Biblioteka Polska. Jego dom w Moskwie na początku XX wieku był centrum polskiego życia kulturalnego i wielkim salonem politycznym. Podobno we wrześniu 1899 r. Lednicki przez kilka dni ukrywał w swoim mieszkaniu Feliksa Dzierżyńskiego po jego pierwszej ucieczce z Syberii. Syn Lednickiego, Wacław, wspominał, że jego ojciec mógł nie znać tożsamości uciekiniera, gdyż pomagał wtedy wielu rodakom (W. Lednicki, *Pamiętniki*, Londyn 1967, t. 2, s. 452).

Suponuje się, że Dzierżyński był wdzięczny Lednickiemu za okazaną mu wtedy pomoc. Po przejęciu władzy w Rosji przez bolszewików dzięki jego poparciu mogło przez jakiś czas istnieć i funkcjonować w Moskwie dyplomatyczne Przedstawicielstwo Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego (wcześniej Komisja Likwidacyjna do spraw Królestwa Polskiego), którym kierował nie kto inny, jak właśnie Aleksander Lednicki.

Trzeba zaznaczyć, że działalność społeczna Aleksandra Lednickiego nie ograniczała się tylko do państwa carów, ale docierała też na ziemie polskie. Czynnie włączył się do organizacji polskich obchodów narodowych, m.in. z jego inicjatywy w latach 1898–1899 świętowano stulecie urodzin Adama Mickiewicza, a w 1900 r. jubileusz Henryka Sienkiewicza. Eliza Orzeszkowa natomiast w liście z 29 kwietnia 1902 r. zwróciła się doń z prośbą o zorganizowanie zbiórki pieniędzy na zabezpieczenie starości Marii Konopnickiej, liczącej wówczas 60 lat, a w następnym roku mającej obchodzić 25-lecie pracy pisarskiej. Wacław Lednicki, syn Aleksandra, wspominał, że „już w roku 1900 ojciec posiadał, albo w każdym razie nawiązywał kontakty z rosyjskim światem literackim i liberalnymi kołami rosyjskimi" (W. Lednicki, *Pamiętniki*, s. 474). Była to doprawdy elita kulturalna i polityczna ówczesnej Rosji carskiej, która w późniejszym czasie odegrała ważną rolę w wyzwoleńczym ruchu rosyjskim. Potwierdzeniem tych związków z rosyjskimi liberałami był odczyt Aleksandra Lednickiego o Marii Konopnickiej i artykuł o niej zamieszczony w 1903 r. w miesięczniku *Ruskaja Mysl*.

Aleksander Lednicki w 1904 r. był, obok Aleksandra Świętochowskiego, jednym z założycieli burżuazyjno-liberalnej Polskiej Partii Postępowo-Demokratycznej, zwanej pedecją, której przez wiele lat był wiceprezesem. W 1905 r. współorganizował Zjazd Konstytucyjny

Związku Adwokatury Polskiej w Warszawie oraz był członkiem Rady Głównej Towarzystwa Kółek Rolniczych im. Stanisława Staszica. W 1906 r. zaś prezesował Towarzystwu Kultury Polskiej w Warszawie.

Politycznym, by tak rzec, kanonem Aleksandra Lednickiego było w tym czasie przekonywanie strony rosyjskiej o konieczności nadania autonomii Królestwu Polskiemu. Jego praca w tym zakresie wiązała się z przygotowaniem rosyjsko-polskiego zjazdu, który odbył się w kwietniu 1905 r. w jego domu w Moskwie. Zjazd poprzedziło szereg narad i konferencji politycznych w Krakowie, w Warszawie i w Moskwie, a przede wszystkim popularyzacja sprawy autonomii w prasie polskiej i rosyjskiej. Ponieważ projekt Lednickiego w 1903 r. nie spotkał się z poparciem Ligi Narodowej i Romana Dmowskiego, toteż nawiązał on współpracę z Włodzimierzem Spasowiczem (1829–1906) i Erazmem Piltzem (1851–1929), redaktorami polskiego konserwatywnego tygodnika *Kraj*, wychodzącego w Petersburgu. Na zjeździe kwietniowym przyjęto postulat „autonomii dla Królestwa Polskiego przy zachowaniu państwowej jedności przy wspólnym udziale w parlamencie rosyjskim, lecz z osobnym Sejmem, obranym na mocy powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania" (W. Lednicki, *Rosyjsko-polska Entente Cordiale. Jej początki i fundamenty 1903–1905*, w: *Zeszyty Historyczne*, Paryż 1966, z. 10, s. 85–87). To, co dla Polaków stanowiło wówczas minimum możliwe do przyjęcia, dla Rosjan było maksimum niemożliwe do zaakceptowania w zaraniu rozpoczynającej się walki politycznej.

W październiku 1905 r. Aleksander Lednicki był współzałożycielem Partii Konstytucyjnych Demokratów (kadetów), reprezentacji liberalnej burżuazji rosyjskiej. Z listy tej partii w kwietniu 1906 r. wybrano go do Pierwszej Dumy Państwowej jako posła ziemi mińskiej. Był jednocześnie członkiem koła posłów polskich z Białorusi, Litwy, Podola i Ukrainy oraz Grupy Parlamentarnej Terytoriów Zachodnich. W czasie wyborów w Mińsku stał na stanowisku ponadnarodowościowym, za co był krytykowany przez Narodowych Demokratów, zarzucających mu brak lojalności wobec sprawy polskiej. W Pierwszej Dumie przewodniczył Związkowi Autonomistów i Federalistów, frakcji na rzecz równouprawnienia mniejszości narodowych.

Żywot Pierwszej Dumy był niestety krótki, trwał zaledwie 71 dni. Po jej rozwiązaniu 10 lipca 1906 r. przez cara Mikołaja II (1868 –1918) Lednicki z grupą posłów podpisał w Wyborgu tzw. manifest wyborski, czyli odezwę, w której protestowano przeciw rozwiązaniu Dumy, wzywano do biernego oporu wobec władz, niepłacenia podatków i bojkotu służby wojskowej. Sygnatariuszom manifestu niebawem wytoczono proces. Aleksander

Rosyjski podpis Aleksandra Lednickiego jako posła Pierwszej Dumy Państwowej

Lednicki został skazany na trzy miesiące więzienia i pozbawiony prawa wyborczego. Karę odbywał w 1908 r. w więzieniu na Tagance w Moskwie. Wbrew żądaniom ministra sprawiedliwości nie pozbawiono go jednak prawa obrońcy sądowego.

Po wyjściu z więzienia cała aktywność polityczna Aleksandra Lednickiego została, siłą rzeczy, na jakiś czas przerwana. Oddał się wtedy na powrót pracy adwokackiej, która w latach 1907–1914 nabrała znacznego rozmachu. Karierę prawniczą łączył z działalnością dziennikarską i publicystyczną. Dużo czasu poświęcał pracy społecznej w kręgach kolonii polskiej w Rosji, brał też czynny udział w życiu kulturalnym i artystycznym Moskwy. Wielkie zasługi Lednickiego w aktywności społecznej i politycznej wobec Polaków w Rosji zostały dostrzeżone nawet przez jego zagorzałych przeciwników politycznych, do których zaliczał się znany endecki dziennikarz Zygmunt Wasilewski. W związku z 25-leciem działalności prawniczej Lednickiego *Dziennik Petersburski* pisał m.in., że był najwybitniejszym pośrednikiem między inteligencją polską i rosyjską, a jego zdolności i wiedza niebawem znajdą szersze zastosowanie. Przewidywania te sprawdziły się po wybuchu pierwszej wojny światowej.

2. Praca na rzecz odzyskania niepodległości Polski

Wybuch pierwszej wojny światowej w 1914 r. sprawił, że udział w niej Rosji stał się ostatnim aktem działalności caratu. Po raz pierwszy zaczęto też oficjalnie mówić o Polsce. Sprawa polska wymagała wtedy szczególnej uwagi ze względu na masową ewakuację do Rosji ogromnej rzeszy uchodźców z Królestwa Polskiego, objętego działaniami wojennymi i odwrotem w 1915 r. wojsk rosyjskich. W obliczu katastrofy humanitarnej na obszarze całego imperium rosyjskiego, a nawet dalekiej Syberii, powstawały z inicjatywy Polonii komitety ratunkowe i organizacje charytatywne. Zabezpieczeniem losów uchodźców energicznie zajął się też Aleksander Lednicki. W sierpniu 1914 r. utworzył Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny w Moskwie, którego został prezesem, współtworzył także Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny w Petersburgu (31 sierpnia 1914 r. niemiecko brzmiącą nazwę miasta zamieniono ze względów patriotycznych na rosyjską i odtąd →

List otwarty p. Aleksandra Lednickiego.

Przeszło od roku trwa bez przerwy przeciwko mnie zaciekła, napastliwa, w środkach nie przebierająca kampanja. Powrót mój do kraju stał się dla pism, zbliżonych do wrogiej mi odłamu narodowej demokracji, jakby umówionym sygnałem do rozpętania istnej burzy przeciwko mojemu nazwisku politycznemu, burzy terroru, kalumnji i szantażu.

Gdyby tu tylko chodziło o moją osobę, poprzestałbym nadal na milczącej wzgardzie. Atoli widzę, że należy wziąć pod uwagę także wzgląd na zgorszenie publiczne, jakie szerzyć się może przez zbytnie lekceważenie podobnych, zatruwających nasze życie publiczne, metod walki politycznej. Dlatego postanowiłem zabrać głos. Przytem nie idzie mi tutaj o przygodnego mego adwersarza ze szranków rozprawy «honorowej», bo ten, w sposób najmniej honorowy, postawiwszy zarzuty, uchylił się zarówno od sądu, jako też od dalszych konsekwencji, mających zarzuty te zlikwidować.

Zaczynam od przedstawienia mojej orjentacji politycznej.

Uważałem przedewszystkiem, że Polska powinna prowadzić politykę nie tej lub innej grupy mocarstw, lecz politykę własną, samodzielną. Dlatego np. poczytuję politykom emigracyjnym narodowo-demokratycznym za wielki błąd, że dopuścili do uzależnienia finansowego od Francji i Anglji dawnego Komitetu Narodowego i uważam, że jednem z pierwszych zadań naszego Sejmu powinno być uznanie sum, udzielonych przez Anglję i Francję Komitetowi Narodowemu, za dług Rzeczypospolitej. Jako polityk uważałem, że w działaniu oraz polemice politycznej powinno chodzić o zadania, dostosowane do konkretnych warunków i możliwości, nie zaś o pragnienia i ideały, które zresztą nas nie różniły: od najradykalniejszego niepodległościowca do najbardziej krańcowego pasywisty nie spotkałem Polaka, któryby był nie pragnął porażki wszystkich trzech państw zaborczych, jedynego warunku pełnego zrealizowania naszych dążeń narodowych.

Znając dokładnie środowisko rosyjskie, oraz uświadamiając sobie znaczenie dziejowe wybuchłej wojny światowej — uważałem za możliwe i konieczne, aby społeczeństwo polskie w pewnych warunkach wystawiło od początku wojny hasło niepodległości; autonomiczny program narodowych-demokratów, podtrzymywany jeszcze w 1916 r., uważałem za fatalny błąd polityczny; jednego ze szkodliwych następstw tego błędu dla sprawy polskiej dotknę w dalszym ciągu. Poza tem ogólnem zasadniczem hasłem programowem inne wytyczne naszej polityki, o ile ta miała być samodzielną polityką polską, a przytem polityką trzeźwości, a nie hazardu, powinny być, mniemałem, ściśle dostosowywane do faktycznego stanu rzeczy oraz realnych możliwości wojny, z uwzględnieniem zasady «ignotus belli eventus». Dlatego, uważając z początku, że Rosja wygra wojnę, byłem zdania, aby wystawiając hasło niepodległości Polski, iść razem z Rosją, czem się różniłem od t. zw. niepodległościowców z kraju, którzy wraz z legjonami wystąpili przeciwko Rosji. Atoli nie podzielałem krańcowego stanowiska narodowej demokracji, jej usiłowań zalania całego społeczeństwa serwilizmem wobec urzędowej carskiej Rosji, które niezawodnie przyczyniło się do trudności, na jakie Polska natrafia ze strony tych mocarstwowych czynników, dla których Rosja jest antagonistką.

Gdy w ciągu I-go roku wojny stało się dla mnie oczywistem, że Rosja wojny nie wygra, uważałem za niewskazane zbytnie łączenie naszych nadziei z przeżytą państwa carów. Zbliżyłem się i pod tym względem do stanowiska niepodległościowców krajowych, a to tembardziej, że w akcie 5 listopada 1916 r., jako stawiającym sprawę polską na polu wybitnie międzynarodowem, widziałem krok naprzód ku należytemu rozwiązaniu sprawy polskiej, ubolewając, że koalicja dała się obiec państwom centralnym. Atoli upadek caratu, republikańskie rządy w Rosji, uznanie przez Rząd Tymczas. ks. Lwowa i Kierenskiego niepodległości Polski — odkryły nowe horoskopy dla sprawy polskiej w stosunku do Rosji. Pod wpływem tych faktów znowu w pewnej mierze wróciłem do pierwotnego mego poglądu na możliwość współdziałania z Rosją. Uważałem jednak równocześnie, że dobrze czynią patrjoci tutejsi z Radą Regencyjną na czele, iż podtrzymują walory aktu 5 listopada, kładą zręby pod samodzielną państwowość polską, i że zwłaszcza po Brześciu Litewskim usiłują osłabić dalsze ciosy na naród polski ze strony strasznego zwycięzcy.

Mieszkając od dawna w Moskwie, do połowy wojny należałem do stronnictwa kadetów, i, jako członek tego stronnictwa, zostałem wybrany wszystkimi głosami polskiej oraz innych narodowości do pierwszej dumy z ziemi Mińskiej. Aczkolwiek następnie zerwałem z ich stronnictwem, pochlebiam sobie, że udział mój nie był całkiem zbyteczny. Wwiodło mię w jego szeregi wspólne umiłowanie wolności, wiara w potrzebę walki o ideał społeczny i ogólnoludzki na każdym terenie, wypróbowana wiara demokracji polskiej, która, w myśl wskazań Mickiewicza, każde pole starcia z tyranją uważała za pole walki o Polskę. Nie mam powodu do żałowania moich stosunków z najlepszymi ludźmi w Rosji, ani też tego, że szukałem dróg do porozumienia pomiędzy dwoma narodami: polskim i rosyjskim. A przydały się te moje stosunki choćby na to, aby w obozie kadetów, w ich komitecie centralnym t. j. u źródła — sprostować opinję Miljukowa, gdy w czerwcu r. 1916 wystąpił on z twierdzeniem, że dążeniem Polaków nie jest niepodległość państwowa, ale autonomja ziem polskich, połączonych pod berłem Rosji. Miljukow, na poparcie swego twierdzenia, miał w ręku list, pisany doń przez jednego z wybitnych przywódców Polskiego Komitetu Narodowego. Choć nie piastowałem wtenczas żadnego narodowego mandatu, oświadczyłem, że list, czytany przez Miljukowa, jest kalumnją, rzuconą na naród polski: że program niepodległości w narodzie ujarzmionym istnieje póty, dopóki ostatni z jego wyznawców trwa na stanowisku i że każde żywe serce polskie, bijące goręcej na wspomnienie niepodległości swego kraju, jest dostatecznem obaleniem najuroczystszych manifestów jakiegokolwiek komitetu. Zarzucają mi, że popełniłem błąd, wstępując do partji kadetów, ale w każdym razie ustrzegłem się winy kroczenia po śliskiej drodze zapierania się niepodległości własnej ojczyzny. Że list, na który powoływał się Miljukow, nie był apokryfem, świadczy to, że został odnotowany w prasie i nie spotkał się ze sprostowaniem. Rozumie się, po tem ustąpiłem natychmiast z partji kadetów, gdy ci w sprawie polskiej podzielili i aż do rewolucji marcowej utrzymali opłakaną tezę narodowej demokracji. Jasną również było rzeczą, że tylko odmownie odpowiedzieć mogłem na uczynioną mi w sierpniu tegoż 1916 r. przez p. Władysława S…ckiego, działającego w imieniu Komitetu Narodowego, listowną propozycję wejścia do składu tego komitetu. Do decyzji tej skłoniło mnie także przekonanie, że Demokracja Narodowa skłonną była do zrezygnowania z Galicji Wschodniej i nawet Chełmszczyzny w razie zwycięstwa carskiej Rosji.

Po wybuchu rewolucji w Rosji i manifeście w sprawie polskiej rosyjskiego rządu tymczasowego, rządu Kierenskiego, z mojej inicjatywy powstała w Rosji komisja likwidacyjna dla spraw polskich, na której czele stanąłem. Czem była ta instytucja i jak pełniła swe zadanie, niech opowiedzą żywi świadkowie, — wielotysięczne rzesze jeńców i uchodźców, których praw, jako też praw państwa polskiego, potencjonalnie dopiero istniejącego, strzegła i broniła. Jako prezesowi tej komisji udało mi się osiągnąć wobec rządu tymczasowego w Petersburgu usunięcie i wyrównanie jednej z najdotkliwszych krzywd, zadanych Polsce przez rządy dawnej Rosji: zwrot ziemi Chełmskiej, oderwanej tak brutalnie od macierzy uchwałą trzeciej dumy, w której, jak i we wszystkich prócz pierwszej, udziału nie brałem. Że nie był to tryumf czczy, miały niebawem okazać rokowania brzeskie, w których nad Chełmszczyzną ponownie zawisła groźba podziału. Jednocześnie udało mi się wtenczas, jako prezesowi komisji likwidacyjnej, spełnić moje votum poselskie i doprowadzić do wznowienia naszych starych katedr biskupich w Mińsku i Kamieńcu Podolskim.

Gdy padła komisja likwidacyjna, nie przeraziły mnie represje czerwonego terroru. Nie porzuciłem tragedji polskich wysiedleńców, acz nie należałem do tego obozu politycznego z narodową demokracją na czele, który wzywał rzesze do uchodźtwa z ojczystego kraju, by krzyżami mogił drogę swoją znaczyły. Mogąc wyjechać do Francji lub Anglji, gdzie czekało mnie bezpieczeństwo, postanowiłem zostać i, z miljonami wygnanych współbraci, dzielić los. Nie dla zaszczytów na gruncie bolszewickim, ale kierowany powinnością służby wobec rodaków, a zarazem posłuszny zleceniom polskich organizacji, które się dokoła mnie skupiły, przyjąłem mandat od Rady Regencyjnej, który dawał mi możność bronienia moich rodaków zarówno od zagłady moralnej jako też od śmierci. Sprawowanie tego mandatu było nieprzerwanem pasmem udręki, niebezpieczeństw, szykan ze strony sowietów i przeszkód ze strony niemieckiego poselstwa. Nie uchybiłem jednak sztandarowi niepodległości, broniąc go silnie w najtrudniejszych warunkach. Dość przytoczyć moje noty do rządu sowietów, bądź choćby zapoznać się z mojemi, acz niestety, bezowocnymi zabiegami o uwolnienie s. p. braci Lutosławskich. Nie zszedłem z powierzonego mi posterunku nawet wtenczas, gdy po zabójstwie hr. Mirbacha inne poselstwa, w obliczu groźnego położenia, pospiesznie opuszczały Moskwę. W atmosferze krwi i terroru oraz ciągłego niebezpieczeństwa dla życia pracowałem wespół z garstką towarzyszy aż do chwili, w której wola rządu polskiego odwołała mnie do Warszawy.

Gdy zwinąłem dom mój w Moskwie, a czem on był dla polskiej kultury i życia polskiego w Rosji, niech powiedzą ci, którzy nietylko w latach wojny, ale wogóle od lat 30 bywali w Moskwie — i wróciłem wreszcie do ojczyzny wraz z żoną i dziećmi, nad których wychowaniem narodowem zasadami religji katolickiej ich matka czuwała, zaś szczepiąc od kolebki te same tradycje powstańcze, które z rodziny swej wyniosła, — wróciłem do ojczyzny, aby jej oddać na usługi swą wiedzę, doświadczenie i siły, niczego od niej nie żądając, ani potrzebując. Nie można powiedzieć, żeby mi zgotowano przyjęcie zachęcające. Zaledwie przekroczyłem progi ojczyzny, rozmaite objawy dały mi poznać odrazu, że mam przeciw sobie niechętną i nieprzejednaną intrygę. Ci, którzy sięgali i sięgają po wszystkie mandaty zaszczytów, postanowili mnie sądzić za podjęcie mandatu pracy i wytrwania. Ci, którzy wobec obcych zapierali się niepodległości polskiej, postanowili oskarżyć mnie o «topienie» sprawy polskiej w pośredniczeniu między Niemcami a Rosją. Nie zatrzymuje ich w tym oszczerczym ataku to, że cała działalność moja jest zaprzeczeniem ich zarzutów.

Kolportują wieści o «wielkiej armji polskiej w Rosji, której chciał Kierenski, a przeciwdziałał Lednicki». Ale czy przytoczył ktokolwiek choć jeden fakt na potwierdzenie tej niedorzeczności... Z czego mogła powstać 800—700, nawet 500 tysięczna armja polska, skoro w armji rosyjskiej w czerwcu 1917 roku, według informacji sztabu, było Polaków wszystkiego, t. j. łącznie z niefrontowymi 314,000 rozrzuconych po całym terytorjum Rosji. Część ich była w dezercji, śród 2,000,000 ogólnej liczby dezerterów rosyjskich, część chorych i wreszcie znaczna część uległa rozkładowi propagandy rewolucyjnej i bolszewizmu. Rząd rosyjski był zasadniczo nieprzychylny tworzeniu na tyłach swojej armji — armji polskiej; godził się jedynie na utworzenie dwuch — trzech korpusów, aby je w ofensywie Brusiłowa na Galicję zużytkować, jako przykładne formacje «pionierskie», udarnyje korpusa», mające galwanizować do boju całe rozkładające się wojsko ro-

syjskie, to znaczy około 100.000 żołnierzy polskich zostałoby rzucone w pierwszy ogień, aby po ich trupach zbolszewizowane hordy zdemoralizowanej armji rosyjskiej sprowadziły potop na Polskę. Zaś na wypadek nieudania się ofensywy wobec wątpliwego zapału wojennego wogóle wszystkich żołnierzy z armji rosyjskiej, niezależnie od ich narodowości, i wobec tembardziej wątpliwego zapału oddziałów polskich do zniszczenia polskiej ziemi, całe odium niepowodzenia i »zdrady« rzuconeby było na polski naród. Do tego dodać należy, że w maju 1917 roku delegaci polskich organizacji demokratycznych przywieźli ze Sztokholmu protokularne stwierdzenie informacji, iż opinja kraju jest przeciw tworzeniu polskich formacji wojskowych w Rosji, będących przeciwstawieniem legjonom Piłsudskiego i mogących wywołać bratobójczą wojnę między Polakami. Cała polska opinja polityczna na emigracji w Rosji podzieliła się w sprawie wojska na dwa zawzięte zwalczające się obozy. Jako prezes komisji likwidacyjnej, nie należąc do żadnego stronnictwa, wyjednałem na swoją odpowiedzialność zezwolenie na odbycie w maju 1917 r. zjazdu wojskowych Polaków w Petersburgu, z największą troską popierałem wszystkie ich potrzeby, o ile do mnie doszły, uznałem i popierałem wobec rządu tymczasowego, wyłoniony na tym zjeździe Naczelny Komitet Wojskowy Polski, jako legalną reprezentację polskiej siły zbrojnej, pomimo rozłamu, jaki na tym zjeździe miał miejsce, i nieraz robiłem kroki, aby doprowadzić do zgody. Prowadzenie atoli akcji wojskowej pozostawiłem wyłącznie tym polskim organizacjom wojskowym, nie chcąc brać udziału w toczących się walkach partyjnych. Kiedy w czasie ofensywy też dwie kompanje polskie, opuszczając Rosję, przeszły na stronę przeciwną i Kiereński składał na mnie odpowiedzialność za tę »zdradę«, zgłosiłem natychmiast dymisję ze stanowiska prezesa komisji, zastrzegając się przeciw jakimkolwiek inkryminacjom w tym przedmiocie i nie cofając się przed otwartym konfliktem z rządem Kiereńskiego, właśnie na tle postulatów, związanych z godnością i honorem żołnierza polskiego.

Takim był mój stosunek do wojska i sprawy wojskowej, który przeciwnicy moi usiłowali przedstawić w najczarniejszych barwach, uciekając się nawet do powoływania się na wykradzione z mojej kancelarji, a odrzucane przezemnie projekty memorjałów do rządu.

Podobnie rzecz się ma i z niecnymi zarzutami o mojem na szkodę Polski współdziałaniu z Niemcami. Kolportują plotki o liście, rzekomo wysłanym do hr. Lerchenfelda, o jakimś liście Tereszczenki, wreszcie o jakiemś tajemniczym moim liście. Nic nie obchodzi oszczerców, że z hr. Lerchenfeldem żadnej osobistej korespondencji nie prowadziłem, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Warszawie komunikatem swoim dwukrotnie obaliło krążącą w tym przedmiocie plotkę, że zrabowany z archiwum przedstawicielstwa polskiego, przez bolszewików w ich »Trybunie«, ogłoszony dokument, przedrukowany następnie z tego źródła w narodowo-demokratycznej »Gazecie Warszawskiej« był odpisem projektu, skierowanego do rządu polskiego w liczbie innych projektów, zmierzających do obrony zakwestjonowanego przez Niemców przedstawicielstwa polskiego w Moskwie i wogóle do Lerchenfelda wysłany nie został, oraz, że projekt ów nie zawierał w sobie nic ponad rzeczy światu całemu znane i nie stanowił bynajmniej mego wyznania wiary. Oszczerców moich nie obchodzi wcale to, że Tereszczenko zarówno jak i cała Rosja nie mógł mieć żadnych co do mego niepodległościowego w sprawie polskiej stanowiska wątpliwości. Jakże mógłby o niem wątpić, gdy w październiku 1917 r. w parę tygodni po mym powrocie ze Sztokholmu był obok mnie jednym z czynnych inicjatorów uroczystości Kościuszkowskiej, na której w obecności ambasadorów całej Zachodniej Europy wystąpiłem z mową na cześć nieprzedawnionych praw narodu naszego do Polski wolnej, całej i niepodległej. Jakże mógłby o tem wątpić, wiedząc, że jeszcze w roku 1916, t. j. pod rządami Mikołaja, protestując przeciw memorjałowi departamentu policji rosyjskiej, w którym posądzano o austro i germanofilstwo całe społeczeństwo polskie nie wyłączając p. Romana Dmowskiego, obok ks. Witolda Czartoryskiego, wystąpiłem do rządu rosyjskiego z oświadczeniem, że istotnem dążeniem Polaków jest dążenie do wolności i że mądrość polityczna kierowników rządów sprzymierzonych koalicji anty-niemieckiej, nakazuje udzielić Polsce tych samych gwarancji, oraz zapewnień, jakie dano na początku wojny Serbom i Belgom. I tylko bezwstydnem narwał należy twierdzenie, że mogłem być — na szkodę Polski — pośrednikiem między Niemcami a Rosją.

W jesieni 1917 r. udałem się do Sztokholmu z gronem wybitnych rodaków. Będąc bliskim polskiemu obozowi demokratycznemu w Rosji, temu obozowi, który od początku wojny i publicznie propagował w Rosji hasło niepodległej Polski, — wtedy gdy zwalczająca mnie grupa polityczna autonomistów, składała szable złote generałom rosyjskim za odrywanie od ciała Polski części odwiecznie polskich, — pragnąłem osobiście zetknąć się z rodakami z Warszawy. Było to po upadku carata za republikańskiego rządu Kiereńskiego, który uznaniem naszego hasła niepodległości polskiej, oraz integralności granic Kongresówki, zjednał polski obóz demokratyczny w Rosji.

Do Sztokholmu przywiozłem dla polityków warszawskich autorytatywne informacje z miarodajnych sfer rosyjskich: że Rząd Tymczasowy Ros. absolutnie nie porzuci koalicji i nie zawrze z Niemcami oddzielnego pokoju, jak tego wówczas z polskiej strony obawiano się. Na moich rodaków z kraju patrzyłem, niezależnie od ich orjentacji, jako na patrjotów polskich, zmierzających do jednego celu, a nie jak na sługi lub agentów tej lub innej wojującej strony. W czasie mego pobytu w Sztokholmie konferowałem, między innymi, z członkiem ówczesnej tymczasowej Rady Stanu z Warszawy, hr. W. Rostworowskim, działaczem jednej z bardziej naówczas czynnych warszawskich grup politycznych. Hr. Rostworowski występował indywidualnie, acz nabrałem przekonania, że działa w porozumieniu ze swą grupą polityczną. Hr. Rostworowski zakomunikował mi, że według informacji i obserwacji warszawskich, rząd niemiecki będzie czynił zabiegi o pokój odrębny z Rosją, na bardzo wygodnych dla niej warunkach, okazując zupełne desinteressement co do indemnizacji i co do losów ziem na wschód od przedwojennej granicy niemiecko-rosyjskiej położonych, t. j. z tem, że w myśl manifestu rosyjskiego, powstanie z ziem Kongresówki niepodległe Państwo Polskie. Powyższe informacje hr. Rostworowskiego, o ile z jednej strony nie miały żadnego realnego znaczenia, wobec absolutnej pewności, że Rząd Tymczasowy Rosyjski nie opuści koalicji, o tyle były interesujące jako charakterystyka stanu samopoczucia wojennego Niemiec, które, choć dla wszystkich obserwatorów było oczywiste, że rewolucja marcowa była wejściem Rosji na równię pochyłą, na której ostatniej siła militarna rosyjska musiała spaść do zera, nie czuły się na siłach iść na podbój Zachodu i Wschodu. Z tych dwuch względów uważałem za możliwe oraz wskazane, aby informacje, podane przez hr. Rostworowskiego zostały zakomunikowane rządom koalicji. Gdy o tem nadmieniłem ówczesnemu posłowi rosyjskiemu w Sztokholmie, p. K. Gulkiewiczowi, i wyraziłem chęć skomunikowania się w tej sprawie z posłem francuskim p. Thiebaud, p. Gulkiewicz oświadczył mi, że lepiejby było, aby rządy koalicji dowiedziały się o tem od rządu rosyjskiego. Oczywiście nie miałem żadnego powodu do tego, aby przed rządem, z którym, jako prezes komisji likwidacyjnej z prawami ministra, pozostawałem w ciągłym kontakcie, zataić zarówno ową otrzymaną od hr. Rostworowskiego informację, jako też odmienne przezemnie hr. Rostworowskiemu zapewnienie o stanowisku Rosji w sprawie odrębnego pokoju, dające społeczeństwu polskiemu krzepiącą podstawę dla polityki narodowej. Dlatego też natychmiast po przyjeździe zakomunikowałem o rozmowie mojej z hr. Rostworowskim zarówno Tereszczence, jako też i Kiereńskiemu.

Wróciwszy do Petersburga wkrótce na zjeździe demokracji polskiej, odpowiadając moim przeciwnikom politycznym, powiedziałem, że szczęśliwym dniem mojego życia będzie dzień, w którym by twierdza reakcji europejskiej — Prusy, padły, i na zamku cesarskim w Berlinie zawisł sztandar wolności, który niósł tryumfalnie ongiś po ulicach stolicy Niemiec — nasz Mierosławski, lecz to oczywiście, moich oszczerców nie obchodzi. Pamięć obowiązuje ich nie więcej, jak logika. Nie wiem, dlaczego mają mi za złe to, że na oczach całej Warszawy złożyłem Sienkiewiczowi, w imieniu polskiej kolonji w Moskwie, wespół z dwoma innymi polskimi delegatami — adres hołdowniczy; nie uchyliłem się przytem od misji odwiezienia adresu od obcych, od redakcji »Ruskiej Myśli«, która sprawy polskiej zawsze broniła. Zarzucają mi »zbrodnię« w sprawie sztandarów, która polegała tylko na tem, że uzyskałem od rządu rosyjskiego zezwolenie na odebranie wszystkich polskich sztandarów z Kremla, do których Polska miała prawa, zamiast odebrania pięciu, o których odebranie ubiegali się moi przeciwnicy, że potem jednak się okazało, iż sztandary te nie były relikwią narodową, albowiem rzucone były przez nasze wojska w listopadowem powstaniu Mikołajowi I pod nogi, jako, że nie chciały mieć z rąk carskich godeł bojowych.

Gdy jesienią r. 1917 zaofiarowano mi mandat reprezentowania Polaków ziemi Mohylowskiej w konstytuancie rosyjskiej nie widziałem możności przyjęcia tego, tak wysoce zaszczytnego zadania, było to bowiem w sprzeczności z mojem niepodległościowem stanowiskiem polityczno-narodowem wobec Rosji.

Tyle prawdy w zarzutach przez wrogą mi grupę stawianych.

Tyle słów mojej odpowiedzi.

Czy do powstania i budowy niepodległego państwa polskiego przyczyniłem się czemkolwiek i w jakiej przyczyniłem się mierze — nie do mnie o tem sąd należy. Kiedyś historja wypowie o naszych czasach swoje władne słowo. Nim jednak wyrok wyda ten Trybunał ostateczny — stale mi towarzyszy przeświadczenie, że przed najsurowszym sądem nie miałbym w moich politycznych działaniach ani jednej myśli do zatajenia, ani jednej decyzji do cofnięcia, ani jednego zamiaru lub ambicji próżnej do zdobycia.

Gdy piszę te słowa — stają przed mymi oczyma ś. p. Lubomir Dymsza, którego testament bieżący znamy, oraz ś. p. Henryk Święcicki i Władysław Żukowski, którym te same i z tej samej strony stosowane niecne metody walki zatruwały życie.

Zdrowy rdzeń odradzającego się narodu polskiego jednak niezadługo zrzuci z siebie wstrętny nalot tego pasorzytnictwa moralnego i doprowadzi wreszcie do podniesienia naszych stosunków wewnętrznych tak, aby antagonizmy partyjne nie przejawiały się w sposób, budzący odrazę moralną u ludzi kulturalnych, nie wnosiły rozkładu w społeczeństwo, nie utrudniały pracy państwowej i zatruwały jadem nienawiści współżycia obywateli.

Aleksander Lednicki.

Dnia 22 stycznia 1920 roku.

1920 r. zbiory POLONA

miasto nosiło nazwę Piotrogród). Z inicjatywy Lednickiego 20 sierpnia 1915 r. doszło do zjednoczenia wszystkich organizacji pomocowych i utworzenia Rady Zjazdów Polskich Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny, której Lednicki został prezesem (1915–1917). Od 1915 r. działał też w Centralnym Komitecie Obywatelskim Królestwa Polskiego. Komitet utrzymywał kilkaset szkół i ochronek, prowadził kursy dla analfabetów, świadczył pomoc dziesiątkom szpitali, ambulatoriów, schronisk dla osób wymagających opieki i wsparcia.

Jak już wspomniano, Aleksander Lednicki nie ograniczał się tylko do pomocy charytatywnej uchodźcom, jeńcom wojennym czy więźniom politycznym wywiezionym z Królestwa Polskiego. Zorganizował dla nich także adwokacką grupę obrońców, którzy bronili ich spraw w moskiewskiej Izbie Sądowej oraz w sądach wojennych w Smoleńsku i Witebsku. Szerokiej akcji pomocowej i sprawie niepodległości Polski miało też służyć wydawane oraz finansowane przez niego pismo – *Echo Polskie*. Lednicki pisał: „Idąc wraz z duchem Narodu, z duchem ofiar okupionych, umęczonych polskich rzesz wysiedleńczych, które wierzą w Zmartwychwstanie rozpoczynamy wydawać pismo poświęcone całkowicie i niepodzielnie troskom, niedolom, wysiłkom i pragnieniom, mrokom i światłom polskiego wychodźstwa w Rosji” (A. Lednicki, *Z lat wojny. Artykuły, listy przemówienia (1915–1918)*, Warszawa 1921, s. 6).

W rozlicznych przemówieniach i artykułach podkreślał, że z wybuchem wojny sprawa polska nabrała międzynarodowego znaczenia. Przestała być wyłącznie sporem domowym, wyszła daleko poza granice decyzji Berlina i Wiednia. W pierwszym roku wojny podtrzymywał tezę o polsko-rosyjskim zbliżeniu i popierał program zjednoczenia oraz autonomii ziem polskich w ramach imperium rosyjskiego. W tej sprawie współpracował z przywódcami Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego (endecją) i Stronnictwa Polityki Realnej (realistami). Po klęsce jednak wojsk carskich w 1915 r. w Królestwie Polskim, a zwłaszcza po gołosłownych obietnicach rosyjskich sfer rządowych jego poglądy na możliwość rozwiązania kwestii polskiej przez Rosję uległy stopniowej ewolucji, dostosowując się do realiów wojny. Pod koniec 1916 r. państwa ententy, w dużej mierze z inicjatywy Ignacego Jana Paderewskiego, pianisty o światowej sławie, zaczęły deklarować potrzebę odbudowania Polski. Lednicki opowiedział się wtedy za jej całkowitą niezależnością polityczną i żądał międzynarodowych gwarancji dla Polski.

Propagowany przez Lednickiego postulat całkowitego przywrócenia niepodległości Polski nie znalazł niestety uznania wśród rosyjskich liberałów i dlatego w październiku 1916 r. Lednicki formalnie odszedł z Partii Konstytucyjnych Demokratów (kadetów). Nie zerwał jednak kontaktów z jej głównymi politykami – Gieorgijem J. Lwowem (1861–1925), późniejszym premierem Rządu Tymczasowego, i ministrem Pawłem N. Milukowem (1859–1943). Krytyczne stanowisko wobec odejścia Lednickiego od kadetów zajął wspomniany już jego przeciwnik polityczny z Narodowej Demokracji – Zygmunt Wasilewski, pisząc: „[…] Oficjalnie zawsze mógł się wystąpienia swego wyprzeć, a w razie potrzeby przed Polakami nim pochwalić". (Z. Wasilewski, *Proces Aleksandra Lednickiego. Fragmenty z odbudowy państwa polskiego*, Warszawa 1924, s. 16).

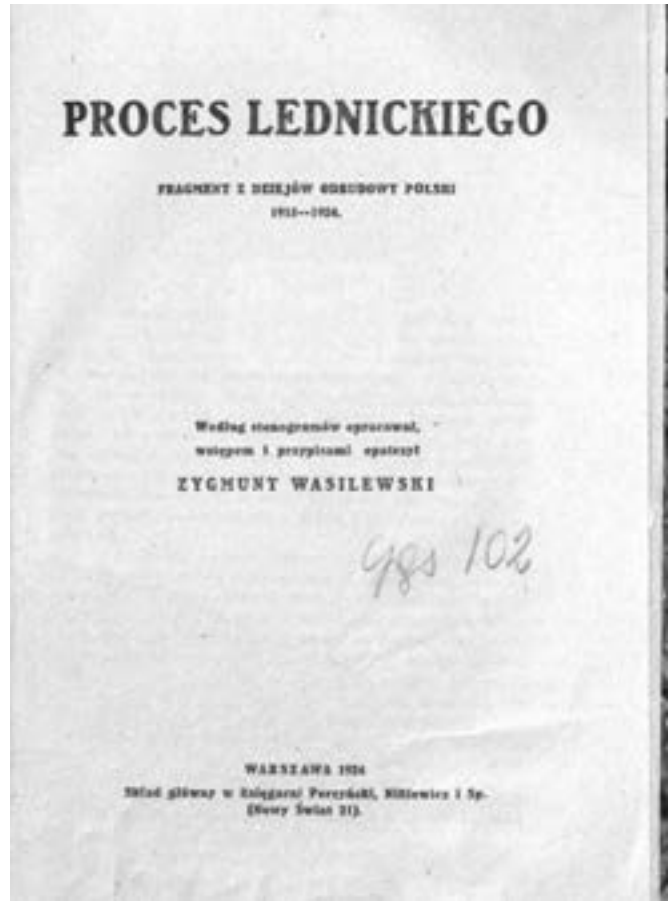
PROCES LEDNICKIEGO

FRAGMENT Z DZIEJÓW ODBUDOWY POLSKI
1915—1924.

Według stenogramów sprawozdań,
wstępem i przypisami opatrzył
ZYGMUNT WASILEWSKI

98s 102

WARSZAWA 1924
Skład główny w Księgarni Perzyńskiego, Nitkiewicza i Sp.
(Nowy Świat 21).

3. Aktywność polityczna w okresie rewolucji w Rosji

Kiedy nadszedł sławetny rok 1917, na dworze nieudolnego cara Mikołaja II nawet nie przypuszczano, że panujący system polityczny przetrwa zaledwie jeszcze kilka tygodni. Klęski wojenne i kryzys ekonomiczny doprowadziły do obaleniu caratu w wyniku tzw. rewolucji lutowej w 1917 r. Osobliwością nowego ładu politycznego stała się dwuwładza – podział władzy między burżuazyjny Rząd Tymczasowy i rady delegatów, głównie Piotrogrodzką Radę Delegatów Robotniczych i Żołnierskich (dalej RDRiŻ). Poniekąd pod wpływem orędzia Piotrogrodzkiej RDRiŻ z 27 marca 1917 r., które opowiedziało się za prawem Polaków do całkowitej niepodległości, Rząd Tymczasowy 30 marca tegoż roku wydał manifest, w którym przyznawał Polakom prawo do niezawisłości politycznej z zastrzeżeniem, że dopiero rosyjska Konstytuanta ustali granice państwa polskiego i ramy „wolnego sojuszu wojskowego" Polski z Rosją.

Dla Lednickiego zaczął się wtedy czas wzmożonej działalności politycznej. 15 marca 1917 r. stanął na czele powołanej przez Rząd Tymczasowy Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego (dalej KL), działającej na prawach ministerstwa i mającą swoją siedzibę w Piotrogrodzie, gdzie przeniósł się też Lednicki. Jako prezes KL współpracował w przygotowaniu statutu, określającego jej ogólne zadania: ustalenie stanu majątku instytucji państwowych i społecznych Królestwa Polskiego ewakuowanych w głąb Rosji, sposobu jego przechowywania i zarządzania, zanim zostanie przekazany Polsce, opracowanie typu likwidacji instytucji państwowych w Królestwie i przepisów określających sytuację prawną Polaków mających obywatelstwo rosyjskie oraz jeńców wojennych, poddanych mocarstw centralnych, ale narodowości polskiej. Dzięki Lednickiemu wielu Polaków mogło zdobyć dokumenty konieczne do opuszczenia ogarniętej rewolucją Rosji. Wśród nich znalazł się m.in. książę Janusz Radziwiłł z rodziną.

Manifest Rządu Tymczasowego, orędzie Piotrogrodzkiej RDRiŻ oraz ustawa o KL stwarzały przesłanki nie tylko pomyślnego rozwoju sprawy polskiej w Rosji, ale także realizacji idei utworzenia wojska polskiego. Liczba Polaków, którzy wiosną 1917 r. pozostawali w szeregach armii rosyjskiej, była szacowana różnie – od 500 do 600 tys. Znacznie niższe liczby podawał sam Lednicki, twierdząc, że w armii rosyjskiej w czerwcu 1917 r. było zaledwie 314 tys. Polaków, rozrzuconych po całym terytorium Rosji. Rzecznicy formowania polskich korpusów brali też jednak pod uwagę możliwość werbowania ochotników z ludności polskiej osiadłej w Rosji, a także spośród Polaków-jeńców z armii pozostałych państw zaborczych. Plany te były jednak mało realne, ponieważ dopiero za sprawą Lednickiego, prezesa KL, Rząd Tymczasowy 27 czerwca 1917 r. wydał zarządzenie o poprawie warunków losowych jeńców polskich, nie dając im jednak żadnych gwarancji zwolnienia z obozów.

Należy przypuszczać, że Lednicki celowo zaniżył liczbę Polaków w wojsku rosyjskim, z przekonaniem przeciwstawiając się zamiarowi tworzenia armii polskiej w Rosji, która byłaby potem wykorzystywana do walki z Niemcami. Jego stanowisko było zgodne z ówczesną polityką Rządu Tymczasowego. Wywołało jednak agresywną krytykę polityków Narodowej Demokracji. Wacław Lednicki, syn Aleksandra, pisał, że było to tym bardziej nieprzyjemne, że wielu czołowych endeków, takich jak Władysław Grabski, książę Seweryn Czetwertyński czy Jerzy Zdziechowski, bywało u nich w domu na obiadach, przyjęciach i zebraniach politycznych. Sprawę formowania wojska polskiego w Rosji rozwiązano ostatecznie 21 czerwca 1917 r. na Zjeździe Wojskowych Polaków w Piotrogrodzie, tworząc Naczelny Polski Komitet Wojskowy (Naczpol). Rząd Tymczasowy zdecydował o sformowaniu trzech polskich korpusów, złożonych z Polaków służących w armii rosyjskiej. Naczelny dowódca wojsk rosyjskich, gen. Ławr Korniłow, 6 sierpnia 1917 r. zgodził się na sformowanie I Korpusu z gen. Józefem Dowbór-Muśnickim jako głównym dowódcą. Tworzenie pozostałych korpusów przerwało przejęcie władzy przez bolszewików. We Francji natomiast z inicjatywy Komitetu Narodowego Polskiego (dalej KNP) i na mocy dekretu prezydenta Raymonda Poincarégo 4 czerwca 1917 r. rozpoczęto formowanie Armii Polskiej, od koloru mundurów nazywanej Błękitną, którą od października następnego roku dowodził gen. Józef Haller.

Republikańska Rosja nadal prowadziła wojnę. Niemcy w kwietniu 1917 r., aby sprowokować wybuch kolejnej rewolucji rosyjskiej, a potem zawrzeć pokój z Rosją, ułatwili Włodzimierzowi Iljiczowi Leninowi, przywódcy bolszewików, powrót ze Szwajcarii do Piotrogrodu. Bolszewicy po raz pierwszy próbowali siłą zdobyć władzę już w lipcu 1917 r., jednak bez powodzenia. Partię bolszewicką wówczas zdelegalizowano, a Lenin zbiegł do Finlandii.

W lipcu 1917 r. w Rosji skończył się więc okres dwuwładzy. Nowym premierem Rządu Tymczasowego w miejsce Gieorgija J. Lwowa został Aleksander Kiereński, a większość w rządzie uzyskali socjaliści. Wszelako groźba przewrotu wojskowego gen. Ławra Korniłowa skłoniła premiera Kiereńskiego do zwrócenia się o pomoc do wszystkich sił politycznych w państwie, w tym także do bolszewików. Spisek gen. Korniłowa został zlikwidowany, jego samego zaś we wrześniu 1917 r. zdymisjonowano. Broni wszakże nie złożyli komuniści. Zmiany ustrojowe w Rosji umożliwiły legalną działalność wszystkim partiom politycznym, w tym także partii bolszewickiej. Jej zwolennicy 7 listopada (czyli 25 października według kalendarza juliańskiego) 1917 r. rozpoczęli rewolucję zwaną październikową, szturmem zdobywając Pałac Zimowy – siedzibę Rządu Tymczasowego – i utworzyli własny rewolucyjny rząd – Radę Komisarzy Ludowych z Włodzimierzem Leninem na czele. Lenin, aby uzyskać czas na umocnienie swojej władzy, 3 marca 1918 r. w Brześciu nad Bugiem podpisał traktat pokojowy z państwami centralnymi.

Jeszcze przed wybuchem rewolucji październikowej Aleksander Lednicki podjął próbę konsolidacji polskich ugrupowań politycznych w Rosji, zwłaszcza współpracujących z Komitetem Demokratycznym. Impulsem do działania był telegram z września 1917 r. od przywódcy organizacji polskich w Ameryce Północnej Ignacego Jana Paderewskiego, wzywający do zjednoczenia się i utworzenia tzw. Polskiej Narodowej Komisji Wykonawczej, rzecznika interesów całego narodu. Lednickiemu jednak nie udało się osiągnąć porozumienia. Prawica bowiem zadecydowała, że organizacją reprezentującą interesy narodu jest Rada Polskiego Zjednoczenia Międzypartyjnego, współpracująca za pośrednictwem Romana Dmowskiego, Erazma Piltza i Maurycego Zamoyskiego z Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu oraz Radą Narodową w Chicago. Już 15 sierpniu 1917 r. Roman Dmowski założył w Lozannie w Szwajcarii Komitet Narodowy Polski z siedzibą w Paryżu, który miesiąc później został oficjalnie uznany przez Francję i inne państwa ententy. Był on kontynuacją innego KNP, działającego w latach 1914–1917 w Warszawie i Piotrogrodzie. Nowy KNP zdążył już wcześniej nie tylko nawiązać kontakt z Paderewskim, ale nawet przekonać go do skierowaniu pod złym adresem podjętej przez siebie inicjatywy (W. Lednicki, *Pamiętniki*, s. 644). W konsekwencji Aleksander Lednicki odmówił uznania KNP, wobec czego członkowie Narodowej Demokracji w proteście opuścili zawiadywaną przez niego Komisję Likwidacyjną.

Sama zaś Komisja Likwidacyjna została z kolei 10 grudnia 1917 r. przejęta przez Komisariat do Spraw Polskich, wchodzący w skład Ludowego Komisariatu do spraw Narodowości, kierowanego przez Józefa Stalina. 23 grudnia tegoż roku Rada Komisarzy Ludowych na mocy dekretu zniosła stanowisko prezesa Komisji Likwidacyjnej, powierzając kierowanie jej pracami Julianowi Leszczyńskiemu, komisarzowi do spraw polskich, i przeniosła siedzibę Komisji z Piotrogrodu do Moskwy. Definitywnie Komisję Likwidacyjną rozwiązano 24 sierpnia 1920 r.

Na łamach prasy działacze obozu endeckiego, zwłaszcza Zygmunt Wasilewski, wystąpili przeciw Lednickiemu z pretensjami, bezpodstawnymi zarzutami, a nawet oskarżeniami o zdradę narodowych interesów. Akcja ta przybrała na sile, gdy Gabinet Cywilny Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego mianował go w styczniu 1918 r. swoim przedstawicielem przy rządzie sowieckim. Przedstawicielstwo Rady Regencyjnej z siedzibą w Moskwie miało za zadanie obronę interesów obywateli Królestwa Polskiego niezależnie od narodowości, repatriację uchodźców polskich z Rosji Sowieckiej i opiekę nad nimi, a nieoficjalnie także transfer polskich kapitałów zagrożonych konfiskatą. Już w listopadzie 1918 r. władze sowieckie zlikwidowały Przedstawicielstwo Rady Regencyjnej, wycofawszy się pierwej z uznania traktatu brzeskiego. Pracowników Przedstawicielstwa, z wyjątkiem Lednickiego, którego w październiku 1918 r. wezwała na konsultacje do Warszawy Rada Regencyjna, aresztowała Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją, Spekulacją i Nadużyciami Władzy, znana bardziej pod nazwą Czeka (CzK, WCzK), z Feliksem Dzierżyńskim na czele.

4. Udział w życiu politycznym Polski po 1918 r.

Po powrocie na stałe do Polski Aleksandrowi Lednickiemu nie udało się już wrócić do aktywnej polityki, przede wszystkim z uwagi na to, że był postrzegany jako zbyt „rosyjski", oraz nieustanne ataki nań ze strony endecji. Pisał wtedy z goryczą, że w sumieniu poddał rewizji całe swoje życie, gdyż „istna orgia oskarżeń i napaści utrudnień i przeszkód towarzyszyła mej pracy, a rozszalała się ona w burzę namiętności w chwili mego powrotu do Polski" (A. Lednicki, *Z lat wojny*, s. 4.). W latach 1919–1923 wydawał w Warszawie, wspólnie z publicystą Leonem Kozłowskim, pismo społeczno-polityczne i literackie *Tydzień Polski*, propagujące m.in. paneuropeizm. W 1919 r. wszedł do zarządu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Białoruskiej. Politycznie był związany ze Zjednoczeniem Postępowym, wchodzącym w skład Zjednoczenia Stronnictw Demokratycznych.

20 stycznia 1920 r. w *Gazecie Warszawskiej* ukazał się artykuł Zygmunta Wasilewskiego, oskarżający Aleksandra Lednickiego o zdradę państwa polskiego, współpracę z Niemcami oraz usiłowanie ucieczki z kraju przed grożącą odpowiedzialnością karną. 10 lutego 1920 r. Lednicki wystąpił do Prokuratury przy Sądzie Okręgowym w Warszawie z wnioskiem o pociągnięcie autora artykułu do odpowiedzialności karnej z art. 531 i 533 k.k., gdyż informacje zawarte w artykule były, według skarżącego, tendencyjne, niezgodne z prawdą, hańbiły jego cześć i dobre imię. Ze względu na popularność mecenasa Lednickiego sprawa nabrała rozgłosu, znalazła szeroki odzew w prasie i kręgach towarzyskich.

Proces odbył się jednak dopiero w latach 1924–1926. Postępowanie w sądzie drugiej instancji oraz w Sądzie Najwyższym w lutym 1926 r. ostatecznie wygrał Aleksander Lednicki. Wytworzona jednak przez Narodową Demokrację nieżyczliwa atmosfera spowodowała, że całkiem wycofał się z działalności politycznej. Sam proces stał się ważnym wydarzeniem, gdyż autorzy wielu publikacji prasowych dostrzegali w nim nie tylko osobiste i partyjne porachunki dwóch przedstawicieli różnych obozów politycznych. Pisarz Aleksander Świętochowski napisał w „Gazecie Warszawskiej" (nr 47 z 17 lutego 1924 r.), że proces ukazał nieznany obraz skrytych i jawnych działań związanych z losem Polski, obejmujących szeroką przestrzeń od Atlantyku po Ural.

Po przegranych wyborach do Sejmu II RP w 1922 r. Aleksander Lednicki poświęcił się już tylko pracy zawodowej. Czynny był jako radca prawny, a jego klientelę stanowili głównie przedsiębiorcy zagraniczni, m.in. Francuz Marcel Boussac i Szwed Ivar Kreuger, prowadzący działalność gospodarczą w Polsce. W wielu instytucjach sprawował wówczas stanowisko prezesa, m.in. w Banku Polsko-Amerykańskim, w Towarzystwie Przyjaciół Elektryfikacji Polski im. Gabriela Narutowicza, w Polskiej Spółce Akcyjnej Telefonicznej, w Towarzystwie Ubezpieczeń „Przyszłość". Był członkiem zarządu Spółki Akcyjnej do Eksploatacji Państwowego Monopolu Zapałczanego w Polsce. W 1929 r. wszedł w skład Trybunału Stanu, rozpatrującego sprawę ministra finansów Gabriela Czechowicza, oskarżonego o tzw. przekroczenia budżetowe, sięgające 500 mln zł. Był założycielem i prezesem Polskiego Związku Paneuropejskiego. Uczestniczył w międzynarodowych kongresach, działał też w organizacjach adwokackich. W 1934 r. został prezesem Polskiego Związku Prawników Kresowych.

Jako radca prawny przemysłowca Marcela Boussaca w lipcu 1934 r. doprowadził do podpisania niekorzystnej, jak się potem okazało, umowy dla Polski, która przeszła do historii pod nazwą „afery żyrardowskiej".

Grób Aleksandra Lednickiego na warszawskim cmentarzu Powązkowskim (fot. polskipetersburg.pl) źródłoWikipedia

Na sprzedaży zakładów włókienniczych w Żyrardowie firmie prywatnej Boussaca Skarb państwa stracił ponad 2 mln. franków szwajcarskich. Atak prasy rządowej skierowany przeciw Lednickiemu odbił się tragicznie na jego dalszym życiu. Rankiem 11 sierpnia 1934 r. dozorca domu, w którym Lednicki mieszkał, znalazł jego ciało leżące na podwórku w kałuży krwi. Czy wypadnięcie z okna pierwszego piętra kamienicy było samobójstwem w następstwie nagonki politycznej czy tylko tragicznym wypadkiem – dziś trudno wyrokować. Został pochowany w rodzinnym grobie na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie (kw. 191, rz. I, m. 27/28).

Trzy lata później Sąd Obywatelski wydał orzeczenie oczyszczające Aleksandra Lednickiego z zarzutów stawianych mu w związku ze sprawą żyrardowską.

Życie Aleksandra Lednickiego przypadło na burzliwe czasy i wydarzenia o dużej wadze dziejowej. Odzwierciedlało ono niezwykłe losy Polaków na początku XX wieku. Wydarzenia z jego życia rzucają z pewnością światło na niełatwe stosunki polsko-rosyjskie oraz sytuację polityczną odradzającej się po 1918 r. Polski. Szczególne zdolności, doskonała pamięć, pracowitość, empatia, bezinteresowność, wielka erudycja, nieposzlakowana uczciwość, lojalność oraz wysoka kultura osobista sprawiły, że na początku XX wieku Lednicki miał wyjątkowe wpływy polityczne w społeczeństwie rosyjskim i wśród emigracji polskiej w Rosji. Był jednym z nielicznych Polaków, którzy szukali rozwiązania sprawy polskiej w Rosji carskiej poprzez współpracę z liberalną opozycją. Jego poglądy w kwestii polskiej ulegały wyraźnej ewolucji – od postulowanej wpierw autonomii do usilnych starań o budowę w pełni niepodległej i demokratycznej Polski.

Marian Niedzielski, dawny aplikant zmarłego, w dwudziestoleciu międzywojennym jeden z bardziej znanych adwokatów warszawskich, wspominał, że Aleksander Lednicki był wcieleniem szczytnie pojmowanych ideałów palestry. Głosił, że sądy powinny posiadać absolutną niezależność, co jest koniecznym i zasadniczym warunkiem wymiaru sprawiedliwości. Dzisiaj, w pokomplikowanej sytuacji sądownictwa w Polsce, brakuje z pewnością pryncypialnego i odpowiedzialnego prawnika, który podobnie jak Aleksander Lednicki stałby na straży przestrzegania prawa i praworządności.

Elżbieta Orzechowska

Andrzej
Małkiewicz

Ankieta

Sto dni wojny

Co poruszyło mnie szczególnie w pierwszych stu dniach wojny?

Zaskoczeń i emocji, chyba dla każdego w Polsce, było wiele. Ponieważ jednak śledzę scenę międzynarodową i problemy wojskowości, spróbuję pokazać, co zaskoczyło polityków i analityków wojskowych. Pominę sprawy polskie.

Przede wszystkim sam wybuch wojny zaskoczył społeczeństwa i dziennikarzy, ale nie analityków i dyplomatów. Pracownicy ambasady USA rozpoczęli ewakuację z Kijowa niemal dwa tygodnie przed agresją. Od 12 listopada 2021 r. amerykański Instytut Badań nad Wojną publikował w Internecie codzienne raporty dotyczące rosyjskiej aktywności wokół Ukrainy i Białorusi, a od 18 lutego 2022 r. skupił się na omawianiu przygotowań do ataku przeciw Ukrainie. W oparciu o wiadomości pozyskane przez wywiad, które uznano za możliwe do ujawnienia, dokonywano wnikliwych analiz sytuacji bieżącej i przewidywanych działań w przyszłości. Te ostatnie okazywały się na ogół trafne (ukazują się do dziś, warto do nich zaglądać, wiadomości dziennikarskie są na ogół ich skrótem, często niestety grubo uproszczonym).

18 lutego prezydent USA Joe Biden publicznie powiedział, że jest przekonany, iż prezydent Putin zdecydował się na inwazję na Ukrainę w najbliższych dniach. Rozmawiał z przywódcami wielu państw NATO, zapewniał, że nie wyśle wojsk do walki w Ukrainie, ale udzieli jej wsparcia w formie sankcji. O wojnie mówiono w tych dniach na spotkaniu ministrów obrony NATO w Brukseli i konferencji bezpieczeństwa w Monachium, na której, także 18 lutego, niemiecka minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock oświadczyła, że Niemcy są gotowe zapłacić wysoką cenę ekonomiczną, jeśli Rosja zaatakuje Ukrainę – zwłaszcza nie zostanie uruchomiony gazociąg Nord Stream 2. 18–19 lutego sekretarz obrony USA Lloyd Austin odwiedził Polskę i Litwę, uzgadniając współdziałanie na wypadek rosyjskiej agresji. 19 lutego NATO przeniosło swój personel z Kijowa do biur we Lwowie i Brukseli. Niemieckie linie lotnicze Lufthansa od 21 lutego zawiesiły loty do Kijowa.

Polityczni liderzy Ukrainy wieczorem w przeddzień agresji uzgodnili projekty aktów prawnych, które następnego dnia z rana pospiesznie uchwalił parlament. A w chwili ataku prezydent Zełenski był już w swoim gabinecie, naradzał się właśnie z ministrem spraw wewnętrznych, a na tę informację powiedział krótko: „Cóż, walczymy!". A była to godzina 4 rano, o której na ogół nie urzędował. Jak widać – dla wojskowych i polityków niespodzianki nie było. Fatalnie to świadczy o rosyjskich przygotowaniach. Zaskoczenie jest na ogół ważnym czynnikiem walki. Dlatego rosyjscy politycy do ostatniej chwili zaprzeczali, jakoby przygotowywali tę akcję. Ale nie udało im się ukryć zamiaru, a sytuacja napadniętego, jeśli zostanie ostrzeżony, jest dzięki temu zdecydowanie lepsza.

Wojna zaskoczyła dziennikarzy – tak nawykłych do powielania newsów dotyczących drobiazgów (co powiedział znany zawodnik po meczu?), że nie zauważyli wiadomości naprawdę ważnych.

Chyba najbardziej zaskoczony był prezydent Putin. Oczywiście nie samym atakiem, przecież to on wydał rozkaz, ale jego następstwami. Dotyczyło to kilku zakresów – postawy armii i społeczeństwa Ukrainy, zachowania armii rosyjskiej, reakcji państw Zachodu, a także postawy prezydenta Zełenskiego.

Zacznę od tej ostatniej kwestii, pozornie najmniej ważnej. Putin postrzegał swego antagonistę jako komika, który objął urząd przypadkiem. Sądził, że ucieknie na wieść o ataku, a gdyby tego nie uczynił, przygotowano grupy komandosów, którzy mieli zdobyć dzielnicę rządową w Kijowie i zabić go. Nie sprawdziło się jedno ani drugie. Zełenski nie uciekł, a komandosów odparto. Wyobrażenia Putina były błędne. Zełenski z wykształcenia jest prawnikiem, rzeczywiście, był w przeszłości satyrykiem, występował w „tańcu z gwiazdami" i grał w kilku filmach. Ale potem kierował dużymi firmami medialnymi, od 2011 r. był producentem telewizyjnym. Od dziesięciu lat zajmował się nie satyrą, ale zarządzaniem ludźmi i polityką.

Ale z czasów, gdy pisał teksty dla aktorów, wyniósł umiejętność formułowania wypowiedzi w sposób trafiający do słuchaczy. To się teraz przydało. W codziennych przemówieniach do narodu, transmitowanych przez Internet, tłumaczył, przekonywał, podtrzymywał ducha walki.: „Nie wybaczymy setek i setek ofiar. Tysięcy i tysięcy cierpień. I Bóg nie wybaczy" – powiedział 6 marca. Już wcześniej był popularny w mediach społecznościowych, teraz jego oglądalność ogromnie wzrosła, kilka tygodni po rozpoczęciu wojny miał 5 mln obserwujących na Twitterze. Doświadczenie biznesowe pomogło mu w praktycznym rządzeniu państwem, a doświadczenie medialne okazało się podczas wojny bezcenne w podnoszeniu na duchu Ukraińców i reprezentowaniu kraju w świecie. Już Cyceron w antycznym Rzymie wskazywał, że „większa jest trwałość dowcipu niż siły". Zełenski osiągnął mistrzostwo w inteligentnym wykorzystywaniu dowcipu i zgryźliwej satyry dla wzmocnienia sił kraju. Porównywano go w tym zakresie z Winstonem Churchillem, który też był mistrzem słowa, choć posługiwał się nie ironią, lecz patosem.

Putin był przeświadczony, że armia Ukrainy załamie się po dwóch-trzech dniach, a społeczeństwo, zniewolone przez gnębiących je faszystów, z radością przyjmie rosyjskich wyzwolicieli. Takie treści serwowała rosyjska propaganda, a prezydent najwyraźniej w to wierzył, o czym świadczy przygotowanie własnej armii do zaledwie kilku dni walk. Na tyle miało starczyć jej zaopatrzenie!

Dlaczego dowódcy uwierzyli w twierdzenia propagandy? Odpowiedzi mogą dostarczyć przemyślenia Hannah Arendt, odnoszące się do zupełnie innej wojny – toczonej przez USA w Wietnamie. Choć była to kampania nieco inna, można znaleźć pewne analogie między ówczesnymi działaniami w Wietnamie i dzisiejszymi w Ukrainie. Ta wybitna intelektualistka wskazała na istnienie u polityków „wzajemnego związku między oszukiwaniem a samooszukiwaniem się" (Hannah Arendt, Kryzys republiki, tł. Piotr Nowak, Warszawa 2022, s. 156). Jeszcze nie było Internetu, ale istniały już rozbudowane instytucje i procedury służące dezinformacji. Arendt wnikliwie pokazała, jak politycy dają się zwieść własnej propagandzie, w natłoku napływających do nich informacji wybierają te, które sami wytworzyli, pomijając te, które są niewygodne dla nich. Czy tak właśnie działo się z Putinem i ludźmi z jego otoczenia? Kiedyś się może dowiemy? W każdym razie ich nieracjonalne decyzje mogły wynikać z zawierzenia kłamstwom, do których upowszechniania sami się przyczynili. Propagandowe zapewnienia, że Ukraińcy nie będą bronić ojczyzny okazały się dla Rosjan takim właśnie samooszukiwaniem się.

Fałszywe okazało się wyobrażenie o potędze armii rosyjskiej, „drugiej armii świata" (po amerykańskiej). Okazało się, że jej broń jest przestarzała, np. supernowoczesne

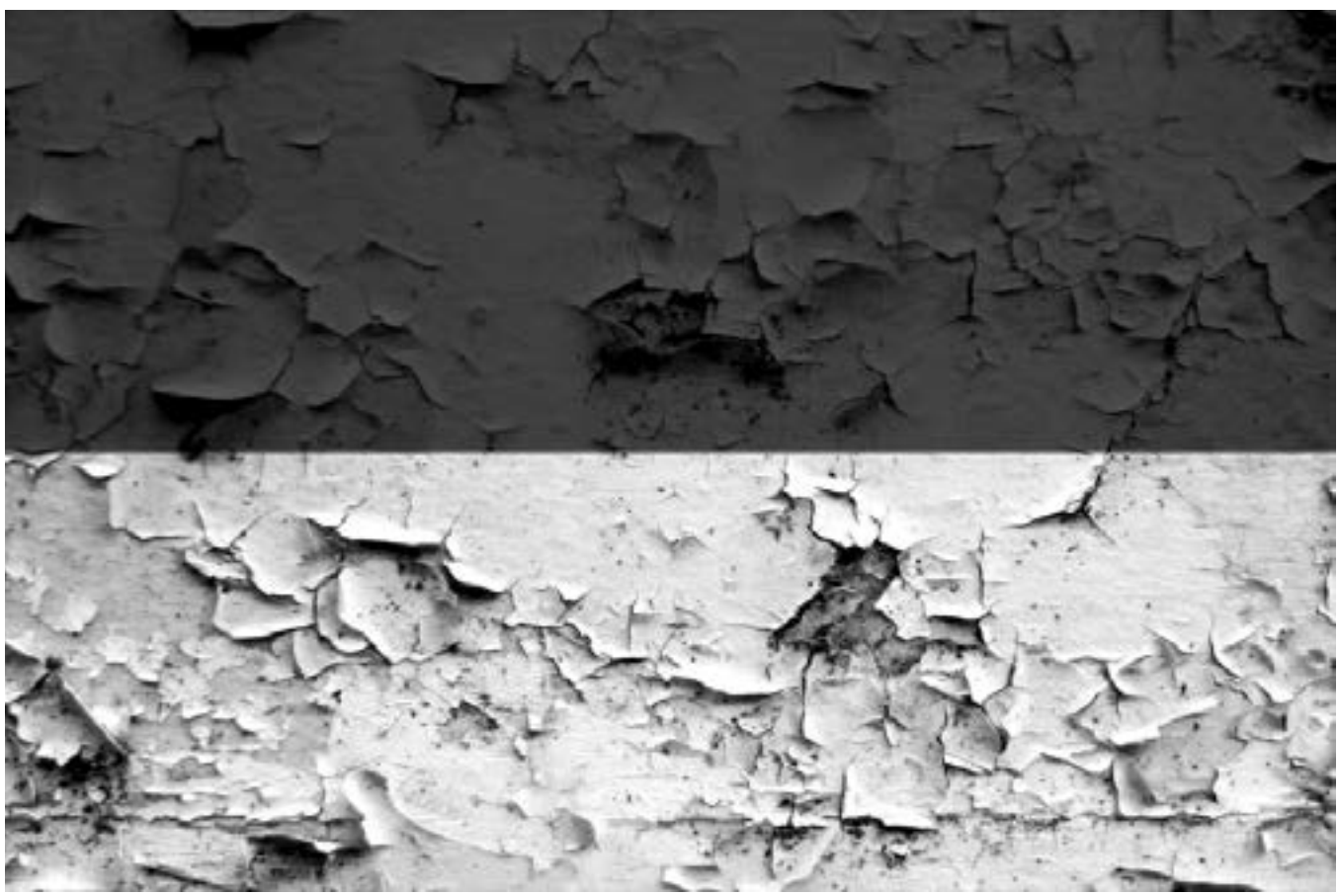

czołgi, które pokazywano na defiladach, zostały wyprodukowane w ilości kilkudziesięciu sztuk, a dominował sprzęt jeszcze z czasów radzieckich, łatwy do zniszczenia. Ukraińcy żartowali: „próba wystrzelenia w kosmos rosyjskich czołgistów nie powiodła się. Rosyjski pojazd został obrócony w proch. Próbujemy dalej".

Natomiast armia Ukrainy, która w 2014 r, w czasie rosyjskiej agresji na Krym i wschodnią część kraju rzeczywiście nie popisała się, została od tego czasu zreorganizowana, wyszkolona i zaopatrzona w nowoczesny sprzęt. Putin najwyraźniej tego nie zauważył.

Zilustruję to tylko jednym, najbardziej charakterystycznym przykładem. Szczęśliwą decyzją był zakup dronów Bayraktar – tureckiej firmy Baykar Makina. Okazały się wyjątkowo skuteczne zarówno w rozpoznaniu przeciwnika, jak i w zwalczaniu celów. Kontrakt podpisano w styczniu 2019 r., od marca zaczęły się dostawy. Większość analityków wątpiła w ich udane użycie, sądząc, że szybko zestrzeli je rosyjska obrona. Praktyka wykazała jednak, że Rosjanie mają problemy z ich niszczeniem, a jednocześnie wysoką skuteczność Bayraktarów. Rosja co prawda informowała o zniszczeniu licznych dronów (podawano ilości większe, niż Ukraina miała w swym arsenale), ale Ukraina potwierdziła utracenie do końca marca tylko jednego.

Na początku kwietnia 2022 r. Kreml złożył skargę do władz tureckich na użycie Bayraktarów przez ukraińskie wojsko. Przedstawiciel Turcji odpowiedział, że Baykar Makina jest firmą prywatną, a Ukraina zakupiła drony przed wojną – co niezupełnie było prawdą, bo dostawy wciąż trwały.

Prawdopodobnie to Bayraktar odwrócił uwagę obrony powietrznej krążownika Moskwa, co pozwoliło zatopić go ukraińskimi pociskami Neptun.

Drugiego maja 2022 r. ukraiński Bayraktar w pobliżu Wyspy Węży zniszczył dwie łodzie Raptor, a w kolejnych dniach trafiono tam także rosyjski okręt desantowy typu „Serna" oraz dwa przeciwlotnicze systemy rakietowe „Thor", co ostatecznie skłoniło Rosjan do opuszczenia wyspy – jej obrona pociągała zbyt duże straty.

14 sierpnia Baykar Makina poinformowała o zwiększeniu mocy produkcyjnych do 20 dronów miesięcznie. A już 8 sierpnia oficjalnie poinformowano, że firma Baykar Makina będzie wytwarzać te maszyny również w Ukrainie. Powołano w tym celu spółkę-córkę, która będzie też produkować myśliwce Kizilelma. Zapewniono, że firma nigdy nie dostarczała i nie będzie dostarczać dronów Rosji.

Rosjanie nie zadbali o wyposażenie swej armii w drony. Dopiero dziś prowadzą negocjacje w sprawie kupienia ich w Iranie.

Zaskoczenie Putina dotyczyło też reakcji innych państw na agresję. Przewidział protesty Zachodu, liczył się z sankcjami, ale sądził, że będą symboliczne, podobnie jak w 2008 r. po ataku na Gruzję i w 2014 r., po zagarnięciu Krymu. Był przekonany że Europa i Stany Zjednoczone nie zdecydują się na zrezygnowanie z tanich rosyjskich surowców. Rozmiary sankcji, choć niewystarczające dla załamania rosyjskiej gospodarki, okazały się jednak dla niej bolesne. Jeszcze większym zaskoczeniem było potraktowanie uciekinierów. Rosyjska propaganda, wspierana przez uzupełniających jej działania „pożytecznych idiotów", od dawna straszyła społeczeństwa państw Zachodu migrantami. Mimo to przyjęto ich w całej Europie życzliwie.

A chyba największym zaskoczeniem są rozmiary konfliktu. Kto mógł przypuszczać, że w XXI w. toczyć się będzie w Europie pełnoskalowa wojna, przypominająca w wielu aspektach działania wojen światowych? Kto mógł się spodziewać, że będzie tak długa, krwawa i niszcząca?

ANDRZEJ MAŁKIEWICZ

Stanisław Żurek

Ankieta

Wojna i co dalej?

Już ponad trzy miesiące trwa bohaterska walka narodu ukraińskiego z rosyjskim agresorem. Można jednak zauważyć, że Rosja wysłała na nią „drugą i trzecią ligę" swojego potencjału wojskowego, zapewne oceniając, że siły te wystarczą do pokonania armii ukraińskiej. I tutaj Putin srogo się przeliczył. Agresja nie tylko nie spowodowała rozbicia wojsk ukraińskich, ale doprowadziła do konsolidacji narodu ukraińskiego. Nie można także zgodzić się, że powodem agresji było zlikwidowanie „ukraińskiego reżimu faszystowsko-banderowskiego", gdyż zaatakowane zostały tereny wschodnie Ukrainy, w dużej mierze rosyjskojęzyczne i odrzucające ideologię banderyzmu, natomiast zachodnia część Ukrainy zdecydowanie probanderowska, atakowana jest rakietami wybiórczo, są to głównie cele strategiczne, wojskowe. Ta najbardziej przyjazna część wschodnia Ukrainy jest atakowana z całą brutalnością i obracana w ruinę z licznymi ofiarami ludności cywilnej. Zapewne Rosja utraciła tutaj nawet resztki swoich sympatyków i trudno jej będzie znaleźć chętnych do kolaboracji przy próbie tworzenia nowych i jej podległych władz ukraińskich.

Cel Putina jet jasny, chodzi mu o odbudowanie rosyjskiej hegemonii w Europie na wzór Związku Sowieckiego. Ukraina ma być pierwszym etapem realizacji tego planu. Trudno przewidzieć, czy następnym będzie agresja skierowana na Polskę i kraje bałtyckie, czy wcześniej taki los spotka Gruzję i Mołdawię. Putin nie chce silnej armii ukraińskiej na granicy z Rosją, Donbasem, Ługańskiem i Krymem, sam natomiast z Kaliningradu graniczącego z Polską i Litwą uczynił bastion uzbrojony w najnowocześniejszą broń.

Brak sukcesów militarnych i zdecydowany opór armii ukraińskiej zmusił Putina do sięgania po broń „z wyższej ligi", jak rakiety manewrujące wystrzelone z łodzi podwodnej na Morzu Czarnym trafiające w cel pod Lwowem, czy bomby termobaryczne. W dalszej perspektywie Ukraina nie jest w stanie samodzielnie obronić się przed rosyjską inwazją, ale i Rosja nie będzie w stanie poradzić sobie z okupacją Ukrainy. Daje to pewne nadzieje na negocjacje i zakończenie wojny. Ważne są jednak warunki jej zakończenia. Putin dąży do rozbrojenia Ukrainy, złamania jej potencjału militarnego. Jeżeli to osiągnie zagrożona zostanie bezpośrednio Polska, gdyż państwa bałtyckie nie są traktowane przez Putina jako poważnie mu zagrażające. Jak wówczas zachowa się NATO, w tym USA? Nie ma absolutnie pewności, zwłaszcza jeśli chodzi o partnerów europejskich. Czy w imię interesów ropo-gazowych w ofierze nie złożą Polski? Przyjmą część uchodźców, a reszta wróci do swoich domów w zniewolonej Ukrainie, bo jaki będą mieć inny wybór?

Tymczasem gościnność Polski powinna budzić podziw i wręcz zachwycać. Pomoc państwa, ofiarność zwykłych ludzi i różnych organizacji społecznych jest ogromna. W niepamięć poszły wszelkie zaszłości historyczne i polityczne. Ba, pojawiły się głosy, aby zamilczeć sprawę ludobójstwa dokonanego na ludności polskiej na Kresach, nie ma żadnej wzmianki o wciąż obowiązującym zakazie ekshumacji polskich ofiar i przepisach oświatowych uderzających w polską mniejszość narodową, a co na Węgrzech jest do tej pory punktem zadrażniającym ich relacje z Ukrainą. Nie pojawia się nawet refleksja o tym, że zupełnie inaczej wyglądała ucieczka ludności polskiej z Wołynia, spod Tarnopola i Lwowa w latach 1943–1945. Ani o tym, ilu wśród uciekinierów znajduje się potomków ukraińskich zbrodniarzy, jak też o skutkach ich wieloletniego nasączania ideologią banderyzmu. Pojawiają się natomiast głosy osób nieodpowiedzialnych, że w obecnej sytuacji wojny mówić o tym nie wolno. Tylko kiedy można było swobodnie o tym mówić? Ich zdaniem nigdy odpowiedniego czasu nie było i nie będzie. Koszty przyjęcia milionów ukraińskich uchodźców sięgają kilku milionów złotych dziennie i nie wiadomo, jak długo wytrzyma to budżet Polski i biedniejące polskie społeczeństwo. Już wcześniej w Polsce znajdowało się około 2 milionów obywateli Ukrainy, w większości znajdując tutaj pracę. Unia Europejska wciąż pozostaje na poziomie obietnic, ale jeszcze nie przekazała Polsce ani jednego euro. O jakimkolwiek wsparciu oligarchów ukraińskich, którzy z dorobkiem miliardów dolarów pouciekali prywatnymi samolotami głównie do Izraela nikt nie wspomina jednym słowem, a przecież oni dorobili się tych fortun kosztem obecnych uciekinierów. Dla prezydenta Zełeńskiego są to tematy tak drażliwe, że o nich nie mówi, nigdy nie wymienił też swojego promotora Kołomojskiego. Czy ten, jak pozostali oligarchowie, zaszył się bezpiecznie za granicą i czeka na rozwój sytuacji, aby powrócić na swoje →

latyfundium niezależnie od tego, czy w niepodległej czy zniewolonej Ukrainie?

Poznikały też takie osoby jak Wiatrowycz, Drobowycz, Szeremeta, Klimkin, Sadowy. Walczą bohatersko w szeregach armii ukraińskiej? Czy ewakuowali swoje rodziny do Polski? Nie słychać także, aby bardzo liczna diaspora ukraińska w Kanadzie, USA, Australii oraz w zachodniej Europie tworzyła jakąś „pomarańczową armię" do walki z rosyjskim agresorem, na wzór polskiej „błękitnej armii Hallera". Wielką odwagą wykazał się Zełeński, z komika stał się prawdziwym „Sługą Narodu" jednocząc Ukraińców do walki o niepodległość. Przeszedł odwrotną drogę niż chociażby Donald Tusk, czy Radosław Sikorski, którzy z roli polityków przeszli do roli komików. Tylko co stanie się z Zełeńskim, gdy zacznie on przeszkadzać w negocjacjach pokojowych, których celem będzie demilitaryzacja Ukrainy i podporządkowanie jej Rosji?

A co wówczas robił ambasador Ukrainy w Polsce? „Ambasador Ukrainy Andrij Deszczyca oświadczył na wspólnej konferencji z minister rodziny Marleną Maląg, że wraz z polskim rządem stara się wypracować system zapewniający młodzieży z Ukrainy możliwość m.in. podejścia w Polsce do matury czy studiowania na polskich uczelniach. «Tu też będą potrzebne jakieś zmiany, może nawet ustawodawcze, w polskim systemie edukacji» – powiedział. Podkreślił, że ukraińscy uczniowie i studenci będą chcieli kontynuować naukę «w swoim języku i według ukraińskiego systemu nauczania». Podkreślił, że «trwają jakieś rozmowy, żeby tworzyć klasy czy nawet całe szkoły ukraińskie. Pracujemy nad tym, będzie też zespół do współpracy pomiędzy ministerstwami» – powiedział. «– Oczywiście są różne pomysły. Wczoraj spotkaliśmy się z organizacjami ukraińskimi, które działają już w Polsce, które mają szkoły ukraińskie sobotnie» – podkreślił. « – Będziemy wypracowywać taki system, który by pozwolił, po pierwsze kontynuować edukację, pod drugie kończyć maturę, dla tych osób, które kończą maturę na Ukrainie i po trzecie, żeby oni mogli kontynuować ten system edukacji ukraińskiej, który by istniał na Ukrainie» – wskazał. (Mateusz Pławski: Ambasador Ukrainy domaga się zmian w polskim systemie oświatowym. 16 marca 2022; wnp.pl/Kresy.pl) O zmianie prawa oświatowego na Ukrainie nie wspomniał słowem. Nie czas na to, ale czas na eskalację żądań wobec Polski, która dźwiga samodzielnie ciężar pomocy ukraińskim uchodźcom.

I następny kwiatek. „Prokuratura Rejonowa Lublin-Południe wszczęła śledztwo w sprawie nawoływania do wojny napastniczej przez byłego przewodniczącego sejmiku województwa lubelskiego. Chodzi o doniesienie z początku marca, które do lubelskiej prokuratury złożył Marcin Rey, który od lat zajmuje się ujawnianiem przypadków rosyjskiej propagandy. Według niego w jednym ze swoich artykułów Konrad Rękas, były lubelski polityk i samorządowiec oraz publicysta, który obecnie przebywa na stałe za granicą, w jednoznaczny sposób pochwala inwazję Federacji Rosyjskiej w Ukrainie, stwierdzając, że jest ona realizowana w polskim interesie. W piątek (18.03) Prokuratura Rejonowa Lublin-Południe wszczęła w tej sprawie śledztwo. – Na podstawie zebranego materiału dowodowego prokurator uznał, że istnieje prawdopodobieństwo, że został popełniony czyn zabroniony opisany w artykule 117 par. 3 kodeksu karnego, który dotyczy nawoływania do wojny napastniczej – mówi prokurator Agnieszka Kępka, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Na razie prokuratura nie zdradza szczegółów prowadzonego postępowania. – Trwa analiza materiałów i przesłuchiwanie świadków – dodaje prok. Kępka. Zgodnie z kodeksem karnym za to przestępstwo grozi od 3 miesięcy do pięciu lat. (Tomasz Nieśpiał: Śledczy z Lublina na tropie tekstów Konrada Rękasa https://kurierlubelski.pl/sledczy-z-lublina-na-tropie-tekstow-konrada-rekasa/ar/c1-16106911) Polskiego mitomana bredzącego o korzyściach z rosyjskiej agresji oskarża się o „nawoływanie do wojny napastniczej". Szczyt idiotyzmu – Putin go posłuchał? Ale on pisał to już po rozpoczęciu „wojny napastniczej".

Rząd Polski razem ze społeczeństwem zdają celująco egzamin z udzielania pomocy uchodźcom ukraińskim, robią wszystko, co jest w możliwościach politycznych i ekonomicznych. Należy z tego być dumnym. Nie oczekując na dowody wdzięczności od przyszłych władz ukraińskich, gdyż nie widać tam postaci na miarę Sahajdacznego, Bezruczki czy Petlury. Ich pomniki nie stoją na Ukrainie, stoją zupełnie innych postaci i nie zanosi się na zmianę. Owszem, Zełeński chwali Polskę, ale też nikt inny nie zrobił tyle dla Ukrainy, co Polska. Trudno jednak wnioskować, czy zmieni się polityka Ukrainy po zakończeniu wojny, czy do głosu wrócą probanderowskie narracje. Ukrainie należy jednak pomagać, nie oglądając się na zaszłości historyczne i polityczne. Ale o tym też należy pamiętać.

Przy okazji nasnuwa się jednak gorzka refleksja. Polska w ciągu trzech miesięcy była w stanie przyjąć i zapewnić opiekę ponad dwom milionom uchodźców ukraińskich, natomiast przez 30 lat III RP nie była w stanie przyjąć kilkukrotnie mniejszej liczby rodzin zesłańców polskich z Syberii i Kazachstanu pozostawiając ich w biedzie daleko od Ojczyzny. Rodziny ukraińskie uciekają przed zbrodniczym totalizmem rosyjskim, a czy rodziny polskie wyjechały tam z własnej woli i tak im się to spodobało, że zostały tam do końca życia? Owszem, gminy przyjęły kilka rodzin repatriantów z wielkim szumem medialnym, pomagają im stowarzyszenia charytatywne co jakiś czas zawożąc skromne paczki, sporadycznie wyjeżdżają polscy nauczyciele, księża i siostry zakonne. Większego zaangażowania państwa polskiego jednak nie widać. Kto o nich zadba w obecnej sytuacji politycznej? Co dalej będzie z rodzinami polskimi pozostającymi na Ukrainie? Czy państwo polskie spisało je już na straty?

STANISŁAW ŻUREK

Michał Podlaski

Ankieta

Sto dni wojny, sto dni obserwacji

24 lutego Rosja zaatakowała Ukrainę. I co dalej? Nie tylko ja zadaję sobie i innym to pytanie. Odpowiedzi do ankiety o wydarzenia z Ukrainy, które nami wstrząsnęły wybieram z prywatnego notatnika zapiski odnośnie wydarzeń, które mnie szczególnie poruszyły.

*Rosjanie popierają Putina i wojnę prowadzoną przeciw Ukrainie. Grupa ukraińskich socjologów z „Active Group" postanowiła sprawdzić nastroje w rosyjskim społeczeństwie i kontaktowała się z Rosjanami drogą telefoniczną. Ustalono, że zaledwie 13,4 proc. badanych wyraziło negatywny stosunek do inwazji na inne kraje. 46 proc. respondentów jest całkowicie pewnych, że rosyjski rząd powinien zaatakować Unię Europejską, a 40,6 proc. zakłada dozwoloną ekspansję działań wojennych. Trzy kraje, które według sondażu będą na celowniku Kremla to: Polska (75,5 proc. badanych), kraje bałtyckie w tym Estonia, Litwa i Łotwa (41 proc.), Bułgaria, Czechy, Słowacja i Węgry (39,6 proc.).

Zaledwie 25,5 proc. Rosjan zdecydowanie sprzeciwia się użyciu broni nuklearnej. Wśród badanych 40,4 proc. uważa atak nuklearny za zupełnie dopuszczalny, a 34,3 proc. zadeklarowało poparcie dla decyzji rosyjskich władz o jego przeprowadzeniu. Wydaje się, że powyższe wyniki badania opinii publicznej mogą zdecydować o dalszych posunięciach Kremla.

* Straż Graniczna poinformowała, że od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę, czyli od 24 lutego do 24 czerwca, odprawiono 4 miliony 90 tysięcy osób przybywających do Polski z Ukrainy. Polska stanie się krajem dwunarodowym. Wybuch wojny w Ukrainie uruchomił potencjał migracyjny o skali niespotykanej od czasów II wojny światowej. Koszty jakie ponosi Polska związane z uciekinierami z Ukrainy są olbrzymie. „Obliczamy na około tysiąc euro na osobę za pierwsze pół roku. W dniu zgłoszenia tych potrzeb do Komisji Europejskiej dawało to 2 miliardy 200 milionów euro. To jest kwota, którą spodziewamy się pozyskać. Ważne jest to, aby te środki były tak zwanymi łatwymi pieniędzmi, jeśli chodzi o ich wydawanie" – powiedział wiceminister spraw wewnętrznych Błażej Poboży.

*Ostatnimi laty studenci ukraińscy stanowią najliczniejszą grupę obcokrajowców w polskich szkołach wyższych. Na dzień 31 grudnia 2021 r. studiowało u nas 34 725 obywateli Ukrainy. Było to 41% wszystkich studentów zagranicznych w Polsce. Rosnąca liczba uczniów z Ukrainy sprawiła, że niektóre instytucje edukacyjne, jak na przykład warszawskie Collegium Civitas, oferują uchodźcom edukację w ich ojczystym języku. Taki program adaptacyjny obowiązuje tylko przez pewien okres. Z myślą o wsparciu dotkniętych trudną sytuacją Politechnika Wrocławska zebrała prawie 300 tys. zł dla studentów z Ukrainy. Pieniądze te trafią do tych, którzy mają kłopot z opłatą czesnego. Studenci z Ukrainy mogą również ubiegać się o pomoc finansową w ramach Powszechnego Funduszu Stypendialnego Politechniki Wrocławskiej dla studentów i doktorantów.

*Premier Mateusz Morawiecki i wicepremier Jarosław Kaczyński wraz z premierem Czech Petrem Fialą oraz premierem Słowenii Janezem Janszą udali się we wtorek, 15 marca, do Kijowa. Spotkali się z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim i premierem tego kraju Denysem Szmyhalem.

Brytyjskie media, informując o wizycie premierów Polski, Czech i Słowenii w Kijowie oraz o ich spotkaniu z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, podkreślają, że to pierwsza taka podróż od początku wojny oraz że odbyła się mimo rosyjskiego ostrzału ukraińskiej stolicy.

– Przywódcy trzech krajów UE spotkali się we wtorek wieczorem w Kijowie z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, aby pokazać europejską solidarność, choć w stolicy Ukrainy trwał rosyjski ostrzał dzielnic mieszkalnych. Podróż premierów Polski, Czech i Słowenii jest najbardziej znaczącą wizytą w Kijowie od czasu rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na ten kraj 24 lutego. (…) Pomimo symboliki wojennej wizyty w Kijowie urzędnicy w Brukseli wyrazili zastrzeżenia wobec tej podróży, podkreślając, że nie jest to oficjalna misja w imieniu UE – napisał „Financial Times".

– Przywódcy Polski, Czech i Słowenii wyrażają „jednoznaczne poparcie" dla Ukrainy po odbyciu niebezpiecznej podróży pociągiem na spotkanie z Zełenskim – informuje „The Guardian", cytując słowa ukraińskiego prezydenta, że „z sojusznikami takimi jak ci wygramy tę wojnę".

„The Guardian" przytacza również wypowiedź polskiego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego na temat misji pokojowej na Ukrainie, którą miałoby pokierować NATO. „Polacy chcą wciągnąć NATO do wojny z Rosją" – można było przeczytać z kolei w niemieckiej gazecie „Die Welt". Oskarżenia niemieckiej gazety natychmiast powtórzyła polska opozycja.

*25–26 marca prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej Joe Biden przebywał z wizytą w naszym kraju. Polityk spotkał się z amerykańskimi żołnierzami w Rzeszowie, odwiedził punkt wydawania ukraińskim uchodźcom numerów PESEL na Stadionie PGE Narodowym w Warszawie oraz rozmawiał z prezydentem RP Andrzejem Dudą. Zwieńczeniem wizyty było zaś przemówienie na dziedzińcu Zamku Królewskiego. Wystąpienie Bidena dotyczyło rosyjskiej inwazji na terytorium Ukrainy.

Prezydent Biden powiedział: „My was wspieramy, jesteśmy z wami. Dzisiejsze walczące miasta Kijów, Mariupol, Charków – to elementy dłuższej bitwy, która rozpoczęła się w poprzednim stuleciu na Węgrzech, w Polsce. Bitwa o demokrację nie zakończyła się. Siły autokratyczne w ciągu ostatnich 30 lat pojawiały się na całym świecie. Dzisiaj Rosja podeptała, udusiła wręcz demokrację i chce to zrobić w innych miejscach. Mówiąc o jakiejś etnicznej jedności najechała Ukrainę. Putin mówi o jakiejś >denazyfikacji<. To bezczelne!"

*26 kwietnia rzecznik KE Eric Mamer przekazał dziennikarce RMF FM informację: „Szefowa KE Ursula von der Leyen otrzymała list od premiera Polski Mateusza Morawieckiego datowany na 13 kwietnia". Dotyczy dokumentu z wyliczeniami, które przygotował premier Polski. Polska jest krajem, który przyjął największą liczbę uchodźców. Należy też zauważyć, że doradca prezydenta Paweł Sałek wskazał na dane opublikowane w tym tygodniu, pokazując ile Polska ogółem przeznaczyła już na pomoc Ukrainie. Wynika z nich, że jesteśmy drugim, zaraz po USA, państwem, pod względem finansowania i wsparcia poszkodowanego kraju. Premier w pierwszej części listu pisze: „do tej pory Polska nie otrzymała żadnego wparcia finansowego nakierowanego na te cele". – Blisko 60 dni trwa wojna na Ukrainie, ponad 2,5 mln ludzi przeszło przez Polskę, zdecydowana większość została tutaj. I my do dzisiaj – to jest skandaliczna sytuacja – nie dostaliśmy przelewu z Unii Europejskiej na te potrzeby milionów ludzi, którzy u nas są. To nie jest tak, że to są pieniądze KE – to trzeba podkreślić. To są pieniądze wszystkich państw członkowskich UE, czyli całej Wspólnoty z podatków, z VAT-u czy ceł. I to nie jest żadna łaska. Polska dyplomacja w Brukseli od tygodni apeluje do KE o wsparcie finansowe dla uchodźców z Ukrainy. Stały Przedstawiciel RP przy UE Andrzej Sadoś na spotkaniach ambasadorów państw unijnych w Brukseli już w marcu zwracał się do Komisji Europejskiej o dofinansowanie Polski w celu dalszego udzielania pomocy Ukrainie i jej obywatelom. Mateusz Morawiecki oszacował, że dzienny koszt utrzymania jednego uchodźcy waha się od 21 do 30 euro. Do listu załączył tabelkę zawierającą koszty dla dwóch scenariuszy: podstawowego oraz takiego, który zakłada pogorszenie się sytuacji na Ukrainie. Pierwszy scenariusz wylicza koszty utrzymania 2 mln uchodźców, łącznie 11 miliardów euro. Przy drugim scenariuszu zakłada się obecność w Polsce 5-6 mln migrantów. To wydatek już w wysokości 24 miliardów euro. Z wyliczeń wynika, że największy koszt to opieka socjalna, od 3 do 7 miliardów euro, jak wyjaśniono chodzi m.in. o „opiekę →

nad dzieckiem, opiekę rodzinną, dofinansowania pobytu dziecka w żłobku, klubie dziecięcym lub świetlicy". 1 miliard euro kosztować będzie zakwaterowanie i podstawowe potrzeby, czyli „utrzymanie punktów recepcyjnych: łóżka polowe; namioty; jedzenie; leki i usługi medyczne w ośrodkach noclegowych, dotacje mieszkaniowe". W przypadku pogorszenia sytuacji będzie to 7 miliardów euro. Od 1 do 3 miliardów euro to koszt edukacji, zaś transportu (np. darmowe przejazdy dla uchodźców czy dostosowanie infrastruktury do przechowywania i przewozu pomocy humanitarnej) – od 1 do 2 miliarda euro, podobnie jak koszty opieki zdrowotnej. Z kolei „zarządzanie i koordynacja", czyli „wzrost kosztów administracji publicznej na szczeblu rządowym i samorządowym, dostosowanie istniejących systemów do potrzeb uchodźców, zatrudnienie dodatkowego personelu, kursy językowe dla personelu zajmującego się ludnością ukraińską" to koszt oscylujący pomiędzy 1 a 2 miliardami euro.

*We wtorek 3 maja na łamach największego włoskiego dziennika „Corriere della Sera" opublikowano wywiad z papieżem Franciszkiem. Świat obiegły słowa papieża, który rozważając powody zbrojnej agresji na Ukrainę powiedział, że jednym z nich mogło być „szczekanie pod drzwiami Rosji przez NATO". Miesiąc później włoski dziennik „La Stampa" opublikował zapis rozmów papieża z dziennikarzami jezuickich mediów, w trakcie których Ojciec Święty skomentował swoją wypowiedź sprzed kilku tygodni. Jak tłumaczył Franciszek, parę miesięcy przed wybuchem wojny słowa te usłyszał od jednego z przywódców państw. – Spotkałem się z przywódcą państwa, mądrym człowiekiem (...) powiedział mi, że bardzo jest zaniepokojony tym, jak porusza się NATO – relacjonował papież.

– Zapytałem go, dlaczego, a on mi odpowiedział: „Szczekają u drzwi Rosji i nie rozumieją, że Rosjanie są imperialni i nie pozwalają żadnej obcej sile zbliżać się do nich" – mówił Franciszek.

Ojciec Święty jednocześnie podkreślił, że widzi „brutalność i okrucieństwo, z jaką ta wojna jest prowadzona przez żołnierzy, przeważnie najemników, wykorzystywanych przez Rosjan". Jak jednak stwierdził Franciszek, odmawia on prostego rozróżnienia między „dobrem a złem".

– Ktoś może mi powiedzieć w tej sytuacji, że jestem za Putinem. Nie, nie jestem. Byłoby uproszczeniem i błędem stwierdzić coś takiego – mówił papież.

– Po prostu jestem przeciwny sprowadzaniu złożoności do rozróżniania między dobrymi i złymi bez refleksji nad korzeniami i interesami, które są bardzo skomplikowane – tłumaczył.

MICHAŁ PODLASKI

Haiku o wojnie w Ukrainie

* * *
kijowskie metro
żołnierz tuli córeczkę
na pożegnanie

* * *
wojenna ucieczka
kobiety z dziećmi
pod ostrzałem

* * *
wieś w ogniu
ostatni krzyk staruszki
pod gruzami chaty

* * *
miasto po nalocie
w ruinach psy i koty
szukają bliskich

* * *
masakra w Buczy
zbrodniarz ucisza strzałem
płacz dziecka

* * *
wiosenna pełnia
przez szkielety wieżowców
światło księżyca

* * *
SMS z frontu
zrozpaczona Ukrainka
tuli zdjęcie męża

HALINA EWA OLSZEWSKA

Apel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich do narodu rosyjskiego

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Lublin

W obliczu rosyjskiej inwazji, chcemy zamanifestować naszą solidarność z narodem ukraińskim w walce o utrzymanie niepodległości. Apelujemy do polskich władz, aby uczyniły wszystko co możliwe dla wsparcia tej walki i złagodzenia jej skutków.

Jednocześnie zwracamy się do narodu rosyjskiego z apelem. My, Polacy nauczyliśmy się z historii, że naród nie może milczeć. Naród nie może dać się złamać żadnej władzy. Naród nie może dopuścić do tego, by garstka skorumpowanych politycznie jednostek szerzyła i bez końca rozpowszechniała gangrenę zakłamania, terroru i nienawiści. Jeśli naród do tego dopuści, to stanie się współwinny wielkich zbrodni i jako wspólnota przyjmie za nie współodpowiedzialność.

Naród rosyjski jest odpowiedzialny za wielkie zbrodnie przeciwko ludzkości, dokonane na przestrzeni wieków istnienia. Niestety do tej pory nie przyjął tego do swojej zbiorowej świadomości. Nie uczynił tego kołem zamachowym przemiany, która mogłaby nastąpić i wyrwać go z piekielnych uścisków kolejnych dyktatur, którym ulega. Istnieje pokusa, żeby powiedzieć: wojnę prowadzi Rosja, a nie Rosjanie. Rosjanie są dobrzy, a Rosja zła. Niestety to nieprawda! W ostatnich latach, dzień po dniu, zapisujecie sami, wy, żyjący dzisiaj Rosjanie, kolejne czarne karty waszej historii. Przez wasze wybory. Przez cichą zgodę na zło, które się dokonuje.

Oprzytomnijcie! Otrząśnijcie się wreszcie z moralnej zapaści i ślepoty. Zrzućcie z siebie tę władzę razem z jej demonicznym, zaborczym i opresyjnym obliczem. Cały świat patrzy na was. Patrzy na Was historia, która niczego nie zapomina i przewinień nie daruje. Chcemy wierzyć, że ten barbarzyński najazd na Ukrainę stanie się punktem zwrotnym w Waszej najnowszej historii i umożliwi przełamanie rządów bezprawia.

31 marca 2022 roku
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Oddział w Lublinie

Stanisław
Turski

UKRAINA
– FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

Pierwsze moje spotkanie z Ukrainą było raczej symboliczne i króciutkie. W 1970 roku pojechałem na pierwszą w życiu wycieczkę zagraniczną, organizatorem było Młodzieżowe Biuro Podróży Juwentur. Pierwszy etap podróży to przejazd pociągiem z Lublina do Kijowa. Gdy zatrzymaliśmy się nocą w Kowlu na 10-minutowy postój, udało mi się wyjść niepostrzeżenie z wagonu. Zaciekawiony, jak „u nich" jest, obiegłem szybko stację kolejową i zajrzałem do przepełnionej poczekalni. W zaduchu siedział lub spał tłum pasażerów, raczej w siermiężnych niż eleganckich strojach, z dużą ilością bagaży.

Pominę relację ze zwiedzania Kijowa, poza wspomnieniem traumatycznych chwil w podziemiach Ławry Peczorskiej, w których zamknięto mnie przez nieuwagę gasząc światło. Bałem się głośniej oddychać w ciszy i ciemności, aby nie nastraszyć leżących za szybami trucheł monachów. Kiedy mnie oswobodzono, ktoś orzekł złośliwie, że przybyło mi siwych włosów.

Mieliśmy w programie wycieczki jeszcze Armenię i Moskwę, dużo, ale na kolejne spotkanie z Ukrainą musiałam poczekać trzy lata. Tym razem rozpoczęliśmy program od Odessy i okolic, aby po dwóch dniach ruszyć na siedmiodniowy rejs statkiem pasażerskim po Morzu Czarnym, w tym do Jałty na Krymie a następnie do Noworosyjska, potem do Suchumi i Batumi w Gruzji, aby stamtąd powrócić do Odessy. W powrotnej drodze do Lublina czekał nas Lwów. Spotkanie z bliskim każdego Polaka miastem, które hołdowało dewizie Semper fidelis, zapadło mi tak w serce, że po prostu zakochałem się we Lwowie, jak chyba wszyscy, którzy tam mieszkali lub tylko gościli.

Niech inni se jado, gdzi mogo, gdzi chco, do Widnia, Paryża, Londynu. A ja si ze Lwowa nie ruszym za próg! Za skarby, ta skaż mnie Bóg! – nuciłem fragment słyszanej w dzieciństwie piosenki.

W Odessie i na Krymie nie czuło się wtedy ukraińskości, ponieważ tłumiła ją ruskość, wszechobecna i narzucana. Statek Szota Rustaweli, którego portem macierzystym była Odessa, nosił banderę rosyjską, a nie ukraińską, przewodnicy w Odessie i Jałcie, opowiadając historię tych miast, nie wspominali o istnieniu narodu ukraińskiego.

Naszą wycieczkę spotykały miłe gesty ze strony słynnego barda Rosjanina Wołodii Wysockiego, który był także uczestnikiem rejsu i lubił przychodzić do naszej grupy na pogawędki, sam lub z żoną (już trzecią!), przepiękną Mariną Vlady, gwiazdą światowego kina. Bywało, że raczyliśmy się wspólnie w barze zamawiając koktajle: odużajiszczij napitok, kariuzel lub inny marynarski wynalazek.

Na statku objawiły się narodowościowe namiętności, które jaskrawo wystąpiły podczas transmisji telewizyjnej meczu piłkarskiego pomiędzy Dynamo Kijów a Dynamo Moskwa. Dobrze, że mecz zakończył się remisem ponieważ powietrze w świetlicy stawało się coraz bardziej naelektryzowane.

Przypomniałem sobie, że podczas poprzedniej wycieczki zabrałem swoją sympatię na mecz w Kijowie o puchar ZSRR. Występowali miejscowi dynamowcy przeciwko moskiewskim. Kiedy moskiewski zawodnik strzelił bramkę dla kamandy, uniosłem niebacznie ręce w górę i wrzasnąłem: gooool!!! Głupia radość wynikająca z braku rozeznania. Zaraz ktoś mi przystawił pięść do nosa i zapytał: a w zuby chcziesz? Ledwo się wytłumaczyłem, że nie jesteśmy Moskalami a Polakami, ale i tak byliśmy podpadnięci aż do czasu, gdy Oleg Błochin, lider Dynamo Kijów, wyrównał. Teraz jeszcze gorliwiej fetowałem strzelonego gola, toteż i nam Polakom nalano po stakańczyku krepkoj horyłki.

Minęło 15 lat zanim miałem okazję do kolejnego spotkania z Ukrainą. Jesienią 1988 roku, Oddział Miejski PTTK w Lublinie zorganizował dla swoich członków atrakcyjną, siedmiodniową wycieczkę autokarową na Podole. Główny jej cel to zwiedzanie historycznych miejscowości, związanych z dziejami Polski, jak Trembowla, Chocim i Kamieniec Podolski.

Potężny niegdyś zamek w Trembowli pozostaje w ruinie od czasu wielokrotnych napadów Kozaków, Tatarów Turków w XVII wieku. Turkom udało się zdobyć mocniejszą twierdzę w Kamieńcu Podolskim podczas wojny z Polakami w latach 1672–1676. ale nie Trembowlę. Na ich drodze stanęła kobieta – Anna Dorota Chrzanowska,

Pocztówka nakładem Maksa Steiniga 1930/39, zbiory POLONA

żona komendanta, która nie pozwoliła na poddanie zamku, biorąc aktywny udział w jego obronie.

Chocim ma w miarę dobrze zachowane ruiny twierdzy, położonej nad stromą i wysoką skarpą Dniestru, który wrzyna się w Płytę Podolską, Jest miejscem kilkakrotnych zwycięstw Polaków, spośród których najwspanialszą wiktorię odniósł hetman Jan Sobieski, dowodzący wojskami polskimi w 1673 roku. Wojenny tryumf hetmana zapewnił mu koronę królewską.

Zwiedziwszy szybciej od innych obiekty zamkowe, oddaliłem się od grupy, aby zejść w miarę łatwą drożyną na brzeg Dniestru. Nie zawsze mądre postanowienie, żeby nie wracać tą sama drogą, zawiodło mnie przed stromą, kilkudziesięciometrową skarpę, którą zacząłem wspinać się do zamku nie zdając sobie sprawy ze śliskości ściany pokrytej cienką warstwą śniegu i lodu. Gdyby nie wystające korzenie krzewów, pozwalające na jakie takie przytrzymanie się, to pewnie skończyłbym eskapadę upadkiem wprost do Dniestru. Jakoś wydobyłem się z pułapki, a potem palnąłem sobie w duchu ostrą przyganę. Dobrze, że nikt z wycieczkowiczów mnie nie widział, miałbym zbiorowe kazanie.

W Kamieńcu Podolskim spędziliśmy kilka godzin, zarówno na zamku jak i w miasteczku. Jako żywo zobaczyłem w myślach sceny z „Pana Wołodyjowskiego", nakreślone ręka Henryka Sienkiewicza. Zupełnie odmienne wrażenia wywołało we mnie i koledze spacerowanie po parku miejskim. Zaraz po wejściu zaczęliśmy się potykać o buteleczki po wodzie kolońskiej, wodzie po goleniu i innych płynnych kosmetykach zawierających procenty. Na trawnikach wśród suchej już trawy walały się ich setki, ba, od czasu do czasu widzieliśmy stakańczyk zatknięty w rozwidleniu konara.

O zmroku dotarliśmy do Czerniowiec na nocleg. Czerniowce są największym miastem historycznej Bukowiny, znanym z wielu zabytków, zamieszkałe głównie przez Ukraińców, Rosjan i Rumunów.

Nasz hotel zdobiły trzy gwiazdki, umieszczone na wyrost, jako że pokoje nie posiadały nawet łazienek ani toalet. Należało chadzać za potrzebą do komunalnej ubikacji bez kabin i osłon. Kilka dziur w cementowej podłodze, wot i nastojaszczaja ubornaja. Nie ma wyjścia: trzeba się dostosować. Niezbyt zręcznie kucnąć obok stękającego sąsiada, ale jak mus to mus. Nagle wchodzi babuszka i staje przede mną z plikiem pociętych gazet.

– Tawariszcz, a bumaga tiebie nie nużna? –pyta przyjaźnie.

– Da, konieczno nużna – odpowiadam zażenowany.

Podaje mi kilka kawałków „Prawdy". Biorę do ręki i czekam aż babuszka się oddali, ale ona stoi i gapi się na →

mnie. A po kilku chwilach mówi: Diesjat kopiejek. Ja nic, bo gdzie ja teraz 10 kopiejek wyszperam skoro spodnie opuszczone. Diesjat' kopiejek powtarjaju! No, nie klawo. Sąsiad się zlitował, wręczył kobiecie 20 kopiejek, także za mnie. Wot mieżdunarodnaja pomoszcz…chotja der'mowaja.

Następnego dnia postanowiliśmy pojechać do Kołomyi, której nie mieliśmy prawa zwiedzać, ponieważ nie mieliśmy jej w zatwierdzonym programie wycieczki. Towarzyszył nam jak zwykle opiekun, dosyć spokojny Rosjanin, nie odmawiający trunkowych poczęstunków. W godzinę po opuszczeniu Czerniowiec, koleś był na tyle ululany, że nie orientował się dokąd jedziemy. Tymczasem wszystkim nam rwało się serce do Huculszczyzny, gdzie szum Prutu, Czeremoszu Hucułom przygrywa, a ochocza kołomyjka do tańca porywa.

Krótki postój w Kołomyi, zakup pamiątek regionalnych i odjazd. Zdążyłem, wypatrzeć duży garnek gliniany z pokrywką, pokryty polewą w huculskie wzory.

Podążaliśmy na zachód uroczą doliną Prutu, aby od Delatyna skierować się ku wyższym partiom Wschodnich Karpat, szosą, która biegła doliną rzeki. W Jaremczu zatrzymaliśmy się ponieważ stylowe domy huculskie, a także pobliski cmentarz, przykuły naszą uwagę. Momentalnie otoczyli nas mieszkańcy Jaremcza, którzy głośno wyrażali szczery entuzjazm na nasz widok. Dało się słyszeć okrzyki: Pany prijechali! Zaczęły się gorączkowe rozmowy i wspomnienia. Kilka Hucułek głośno wzdychało do polskich czasów, inne mówiły, że pracowały u Polaków w tutejszych pensjonatach i domach letniskowych, nie kryjąc, że dobrze zarabiały i były kulturno traktowane. Pożegnanie dla obu stron było bardzo smutne.

Rosyjski cicerone spał głęboko, wiec jedźmy dalej, aż do Przełęczy Tatarskiej! Autokar wzniósł się niełatwo na wysokość 931 metrów n.p.m. na wododział Prutu i Czarnej Cisy, który oddziela górotwory Gorganów i Czarnohory. Tędy wiódł odwieczny szlak handlowy znad Morza Czarnego na Węgry i do Środkowej Europy.

Byliśmy tak rozentuzjazmowani przybyciem w te strony, niedostępne dla Polaków, że grupka wytrawnych górołazów postanowiła pójść na Howerlę, najwyższy szczyt Beskidów Wschodnich o wysokości 2061 m., nie bacząc na śnieg, długą drogę i wczesny o tej porze roku zmierzch. Ruszyliśmy, a reszta wycieczkowiczów pozostała na przełęczy. Jak można się było spodziewać, po przejściu kilku kilometrów, nasz entuzjazm przygasł. Pojawiły się stromizny i kopny śnieg. Jednak nikt nie chciał zaproponować powrotu, aby wyjść na słabeusza. Pomny nierozsądnego

Zamek w Chocimiu

Pocztówka, Wydawnictwo Salon Malarzy Polskich w Krakowie

zachowania w Chocimiu, postanowiłem dać sygnał do powrotu i wkrótce grupa zgodnie wykonała w tył zwrot.

Do Czerniowiec udało się powrócić akurat na kolację. Mieliśmy obawy czy nie zaszkodziliśmy rosyjskiemu opiekunowi naszymi wyczynami, ale uspokoił nas, że nie poinformuje zwierzchności.

Byliśmy naiwni myśląc, że się nam upiekło. Zachowanie celników na granicy w Medyce uświadomiło nam, że ktoś doniósł o naszej nielegalnej eskapadzie. Zaczęło się całonocne maglowanie w osobnym pomieszczeniu. Prawie wszyscy przeszli rewizję osobistą a tamożniki nadal byli wściekli ponieważ nie przemycaliśmy złota, za co można byłoby podpaść pod paragraf. Odzywali się niesympatycznie, prowokacyjnie, a chcąc nas bardziej upokorzyć zaczęli niszczyć niektóre pamiątki. Gdy zabrali się za prucie pluszowego misia, jego właściciel, który wiózł zabawkę dla córeczki, nie wytrzymał i rzucił w stronę celników kilka mocnych słów, jednym słowem: ostrą wiązankę, pozostali wycieczkowicze przyłączyli się do protestu. Zaległa cisza, celnicy porozumieli się wzrokiem i szykany ustały. Widocznie uznali, że pokrzykujący musi być jakąś szychą, więc lepiej nie przeginać.

Polscy celnicy, współczując nam, niemal chodzili na palcach.

Podczas kolejnych pobytów w ZSRR zdarzało mi się używać metody protestu w jeszcze ostrzejszej formie. Pewnego razu, będąc w Republice Mołdawskiej, zauważyłem kościół w stylu renesansowym, który stał za ogrodzeniem z siatki. Przeszedłszy przez furtkę, pstryknąłem zdjęcie świątyni, gdy nagle z kantorka wybiegł stróż i począł pokrzykiwać, że nie wolno tu wchodzić i fotografować ponieważ kościół jest magazynem cennych rzeczy i trzeba go strzec. Tak mnie facet zirytował, w dodatku odkryłem, że polski kościół spostponowano, więc zbliżywszy się do gorliwego stróża, kazałem mu małczat' i wzjat' ruki po szwam. Mężczyzna wystraszył się nie na żarty i przepraszał raz po raz, nie protestował, kiedy wykonałem zdjęcia.

Zaporoże

W sierpniu 1989 roku Biuro Turystyki Zagranicznej Orbis w Lublinie zaproponowało mi pilotowanie siedmiodniowej wycieczki do Zaporoża. Ucieszyłem się, że zobaczę kawałek środkowej Ukrainy, Dniepr i stolicę kozactwa zaporoskiego.

Wyruszyliśmy z Lublina autokarem, gdy było jeszcze ciemno, nikt nie potrafił przewidzieć, ile czasu zmitrężymy na przejściu granicznym w Terespolu. Na szczęście nie spóźniliśmy się na samolot. Niósł nas radziecki Ił 62, niezbyt wygodny i ciasny, jednak w miarę szybki, na pokonanie ok. 1100 km wystarczyły 2 godziny lotu licząc start i lądowanie.

W Zaporożu, do firmowego hotelu Inturistu o niewyszukanej nazwie Zaporoże, zawiózł nas hotelowy autobus, bowiem ta znana w ZSSR firma była gospodarzem i opiekunem naszego pobytu.

Jak na tutejsze warunki, hotel przedstawiał się imponująco. Obiekt miał nowoczesną, wielopiętrową bryłę, okazał się stosunkowo wygodny, zastaliśmy pokoje czyste, nieźle umeblowane, serwowano urozmaicone i obfite posiłki, nie żałując napojów chłodzących i owoców, w tym cytrusów i winogron oraz słynnych tu arbuzów.

Niestety, widok na gęsto zabudowane śródmieście nie wywołał we mnie zachwytu, wszak w pobliżu dymiły kominy kombinatu hutniczego. Miał to być dobroduszny pomysł samego Stalina, żeby wznieść hutę obok budujących się osiedli mieszkaniowych, dzięki czemu proletariat miał blisko na rabotu. Po otwarciu okna do mojego pokoju zaczął dostawać się niemiły zapach dymu, a także spaliny samochodowe, które mieszały się z wyziewami →

Zamek (twierdza) w Kamieńcu Podolskim w czerwcu 2019 r., foto Grzegorz Gołębiowski, Wikipedia

z huty. Tak się złożyło, że nazajutrz dowiedziałem się od swoich dwóch przewodniczek i opiekunek z ramienia Inturistu, że w Zaporożu szykuje się duża manifestacja przeciwko hucie-trucicielowi. Oczywiście, wybrałem się z opiekunkami na manifestację, żeby zobaczyć to niespotykane w ZSRR zjawisko, możliwe chyba tylko w środowisku krewkich potomków kozaków.

Główną ulicą Zaporoża, której nazwa nie mogła być inna jak Lenina, podążał tłum ludzi ubrany w maski przeciwgazowe. Na czele pochodu niesiono ogromny transparent z napisem w języku ukraińskim, a jakże! Coraz częściej i głośniej Ukraińcy domagali się, aby ich język narodowy był obowiązującym. Zaporiżie – tichij Czernobyl – takie było hasło manifestacji, umieszczone na wspomnianym transparencie. Demonstracja robiła ogromne wrażenie, szczególnie widok ludzi w maskach, którzy wyglądali jak upiory. Postulowano zamknięcie huty lub ograniczenie produkcji względnie wprowadzenie proekologicznych technologii. Niesione przez ludzi tablice informowały o stanie skażenia powietrza oraz o ilości zgonów i chorób spowodowanych przez hutę-trucicielkę. Wskazywano też na niebezpieczeństwo wybuchu miejscowej elektrowni atomowej, żądając lepszego zabezpieczenia przed katastrofą. Żądano również zaprzestania zatruwania Dniepru ściekami komunalnymi i przemysłowymi.

Moje opiekunki były podniecone i dumne z postawy nieprzebranego tłumu demonstrantów. Coś takiego zdarzyło się pierwszy raz w ich życiu. Czarnooka i czarnobrewa Ukrainka Masza o cerze jak brzoskwinia i kruczych włosach, dobrze zbudowana mołodycia, była okazem wyjątkowej urody. Zoja, Rosjanka z pochodzenia, wyższa blondynka, zgrabna i szczupła, w odróżnieniu od koleżanki spontaniczna i mniej romantyczna. Obie przyjaźniły się i bardzo szybko nawiązały ze mną serdeczne kontakty. Nie bały się informować mnie o sprawach, za które mogłyby słono zapłacić, gdyby ktoś o tym doniósł właściwym służbom. Dobrze się rozumieliśmy, nasz przyjacielski układ się sprawdzał, trwał przez wszystkie nasze wyjazdy, a nawet utrzymywał się w czasach późniejszych.

Podczas trzykrotnego pobytu w Zaporożu, który trwał w sumie 20 dni, mogłem zauważyć szereg sygnałów odradzania się tożsamości ukraińskiej. Jednym z nich było bardzo symboliczne wydarzenie: pierwszy w ZSRR ślub po ukraińsku udzielony pewnej parze w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego. Masza zdobyła dla mnie zaproszenie, mogłem być świadkiem uroczystości, znalazłem się wśród rozemocjonowanych gości i żurnalistów. Gdy tylko świeżo poślubieni, spełnili prośby najbliższych, którzy krzyczeli girko! i zaczęli się całować, nagle wnętrze Pałacu Ślubów zatrzęsło się od oklasków i okrzyków: Sława Ukrainie! Jak huczne musiało być wesele, mogłem się tylko domyślać.

A jaki był program naszej wycieczki? – mógłby ktoś zapytać. To był program bez programu, jak u pewnej, współczesnej partii opozycyjnej. Tajemnicą poliszynela wśród wycieczkowiczów było, że Zaporoże jest dobrze

(0968)

Front budynku wystawowego.

Huculi w stroju świątecznym.

Część południowa rynku i ratusz nowy w Kołomyi.

Szlachta z Berezowa Wyżnego

Podług nadesłanych szkiców.

zaopatrzone i można tu łatwo kupić ZŁOTO. A na ten kruszec – głównie w wyrobach jubilerskich – Polacy szczególnie polowali. Mieliśmy przecież ogromną inflację, więc handel wymienny i zakup kruszcu dawały znakomite przebicie.

Muszę wspomnieć, że dyrekcja Orbisu powierzyła mi pewną misję służbową w Zaporożu. Otóż miałem złożyć w firmie Inturistu pewną ustną propozycję. Wynikała ona z faktu, że siedmiodniowe pobyty w tym mieście były zbyt długie, dostępnych atrakcji turystycznych niewiele i dlatego zaproponowano wzbogacenie programu o rejsy statkami po Dnieprze z Zaporoża do Chersonia, czyli z biegiem rzeki. Rejsy w górę Dniepru nie wchodziły w rachubę ponieważ na przeszkodzie stała Zaporoska Elektrownia Wodna a także słynne porohy.

Poprosiłem swoje opiekunki o uzyskanie kontaktu z jakąś kompetentną personą z Inturistu. Ponieważ jedno z biur tej firmy mieściło się w naszym hotelu, niebawem doszło do spotkania. Miałem z sobą list polecający z Orbisu ze wspomnianymi postulatami. Kierownik biura, typowy Rosjanin, długo studiował pismo, chrząkał, wiercił się, a po zastanowieniu orzekł:

– Nu, nam nużno zdiełat konsultaciju iz Moskwoj.

Od razu wiedziałem, że nic więcej nie wskóram. Zaproponowałem, że poczekamy na wyniki konsultacji do mojej kolejnej wizyty w Zaporożu z przedłużonym pełnomocnictwem Orbisu. Moglibyśmy wówczas podpisać dogowor i co on o tym sądzi?

Rosjanin zgodził się skwapliwie, dodając, że w razie potrzeby będą dzwonić lub teleksować do Lublina, aby uzgodnić szczegóły.

Niestety, Inturist się nie odezwał, a kontakty ze strony Orbisu zbywali półsłówkami, że niby sprawa jest w toku, ale że będą ze wszystkim gotowi, gdy ponownie zawita do nich przedstawiciel lubelskiej firmy.

Uprzedzę teraz przyszłe wydarzenia, jakie miały w tej sprawie miejsce. Podczas następnego pobytu w Zaporożu w roli pilota i pełnomocnika Orbisu, te same opiekunki poinformowały mnie, że za dwa dni będzie czekał na mnie sam glawnyj direktor miejscowego Inturistu, a spotkanie ma się odbyć w świetlicy o godzinie 13-ej.

Gdy nadszedł umówiony termin, zabrałem z pokoju hotelowego dokumenty i zjechałem windą na parter. Odszukałem drzwi do świetlicy, otworzyłem je i zdębiałem. Zobaczyłem stół uginający się od jadła, napojów i alkoholi, a za nim na krzesłach około 15-stu mężczyzn, których gęby śmiały się przyjaźnie. Posadowiono mnie na honorowym miejscu, dyrektor powstał, w ręku dzierżył duży kielich wódki i palnął mówkę powitalną niby na moją cześć, dając jednocześnie znak, aby wszyscy teraz golnęli. Ponieważ biesiadnicy spoglądali na mnie, wypiłem i ja, żeby nie wyjść na czarną owcę. Oni wpychali ręce do słojów z kiszonymi ogórcami, to ja też.

Co chcę coś powiedzieć na temat mojej wizyty, to zaraz ktoś przerywa nowym toastem: na zdarowie, za drużbu, za mir, za rukowodstwo, za Polszu, i tak dalsze... Nie wiedziałem, co mam uczynić, aby wreszcie poruszyć temat, który stał się przyczyną tej biesiady.

„Dziwne zwyczaje tu mają" – pomyślałem – najpierw popijawa, a dopiero potem podpisywanie umowy. Jakiż byłem naiwny. Gdy wreszcie i ja dobrałem się do głosu, wstając od stołu z kielichem i zacząłem wyrażać zadowolenie, że nasze przedsięwzięcie się ziściło, dzięki czemu polscy turyści będą mogli katatsja na parachodie…

W tym momencie mi przerwano krótką odzywką: My jeszczjo żdajem otwieta iz Moskwy i nam nużno toże dalsze żdat' …

Kiedy opuszczałem rozochocone towarzystwo, które z zadowoleniem przyjęło moje odejście i biesiadowało dalej, to dyrektor podążył za mną do holu. Usłyszałem znane mi już słowa:

– Trzeba, żebyś przyjechał jeszcze raz, a my w tym czasie sprawę przyspieszymy, bo w Moskwie jest nasz człowiek, tylko muszę do niego pojechać i go urobić. Zanim przyjedziesz to my sprawę załatwimy w tri miga. Czesne słowo.

No kto zgadnie jak się sprawy potoczyły? E tam, to zbyt łatwa zagadka. Oczywiście, kolejnym razem wszystko wyglądało toczno jak poprzednio, czyli: biesiada, toasty, Moskwa nie dała jeszczjo otwieta…

Nadwyrężyłem dwukrotnie wątrobę za marną dietę pilota. Opiekunki szczerze mi wyjaśniły, że skoro miały być międzynarodowe konsultacje programowe, to organizatorzy spotkania nie mogli przegapić takiej okazji i żarliwie sięgnęli po fundusze reprezentacyjne by pokuszać i popić za darmo.

– Stas', nie panikuj , u nas takaja priwyczka, tradicija znaczit' sja…

Następne moje dwa wyjazdy do Zaporoża nie różniły się zanadto od przedstawionego. Wspomnę o kilku wyprawach.

Wycieczka na Chortycę

Moi podopieczni wycieczkowicze, zabierali codziennie po śniadaniu swoje bagaże z handlowym badziewiem i pędzili na bazar. Asortyment mieli niewybredny, jednakże kupujący też nie wybrzydzali. Jak świeże bułeczki rozchodziły się dżinsy, kalchoty, trusy, buty, damskie bluzki, słowem różnorodny assortiment odieżdy, nawet używany, grunt że zagraniczny. Dużym wzięciem cieszyły się polskie kosmetyki lub podróbki francuskich. Ten handel był niby nielegalny ale rzadko ktoś interweniował,

Chortyca. Serce Ukrainy, symbol Siczy Zaporoskiej, net

chyba że jakiś szemrany stróż prawa przyszedł po szminkę dla żony, tusz do rzęs lub celofan oczywiście gratis. Celofan to plastikowa torba z jakimś obrazkiem, najlepiej z roznegliżowaną panienką i łacińskimi napisami.

Kto nie kupił złota za zarobione ruble, ten nabywał różnego rodzaju śrubstaki i inne narzędzia; ja na przykład stałem się właścicielem solidnej wiertarki elektrycznej. Kupowano też przybory kuchenne, kawior, konserwy rybne, chałwę i inne słodycze, a także drobiazgi szkolne jak: linijki, ekierki, bloki rysunkowe, kredki czy cyrkle. Kolega kupił nocną lampkę, ale strasznie kiczowatą; jej kolorowy klosz błyszczał cekinami, a na podstawce znajdowała się półkula wypełniona pyłem i złotopodobnymi opiłkami. Traf chciał, że kolega zademonstrował świecącą lampę przy kolacji, mówiąc, że tu jest taki zwyczaj, że gdy żona zaświeci taką lampę w sypialni, to daje mężowi sygnał o swojej gotowości do bara bara. Następnego dnia wszystkie nasze panie rzuciły się do wskazanego sklepu i wykupiły lampy, niektóre osoby po kilka na prezenty dla sióstr lub zamężnych córek.

A co ja mogłem zrobić w wolnym czasie? Wiadomo: Chortyca wzywała: nieodległa wyspa o długości 12 km i szerokości 2,5, największa na Dnieprze, dawna stolica Siczy Zaporoskiej, leżąca na zachodnim skraju Dzikich Pól, miejsce dramatycznych scen z „Ogniem i mieczem". Chortyca postrzegana jest przez Ukraińców jako swego rodzaju symbol narodowy i historyczny.

Tak więc pewnego dnia wybrałem się na Chortycę zaraz po śniadaniu. Należało najpierw dojechać tramwajem na wschodni, przeciwległy brzeg Dniepru poniżej największej na Ukrainie hydroelektrowni. Stamtąd przeszedłem przez most na wysoki brzeg Chortycy. Maszerowałem w ciemno niewiele wiedząc, co zastanę na wyspie. Szukałem jakichkolwiek śladów kozactwa, aż w oddali ujrzałem budowle, które okazały się być Muzeum Kozactwa. Dobre sobie, trzeba zwiedzić – postanowiłem.

Rozczarowanie nadeszło natychmiast: już pierwsze eksponaty i plansze informacyjne sugerowały, że Kozacy to czyści etnicznie Rosjanie, że Rosja to ich matiuszka, a naród kozacki miał zawsze socjalistyczne, ba, nawet komunistyczne skłonności. Nieważno, czto oni ni czitaty, ni pisaty, tolko rizaty i wiszaty, konieczno czuwsticzielnyje Poljaczkiw.

Dodam od siebie: początek stolicy kozactwa datuje się na 1553 rok, od czasu jej założyciela, Dymitra Bajdy Wiśniowieckiego. W XVII wieku ostrów zamieszkiwali Kozacy rejestrowi, będący na żołdzie Rzeczypospolitej. W 1648 roku Bohdan Chmielnicki rozgromił na Chortycy ich garnizon.

Obejrzałem broń białą, armaty, chorągwie, wnętrze chaty kozackiej, reprodukcje słynnego obrazu Riepina „Kozacy piszą list do sułtana", którą to scenę ukazał reżyser Hofman w „Ogniem i mieczem".

Sztuczna miłość do Rosji ma się nijak do wydarzeń historycznych. Przecież to na rozkaz carycy Katarzyny w 1775 roku armia rosyjska zniszczyła umocnienia kozackiej Siczy, która była centrum Kozaczyzny wraz z wyspą Tomakówka i Bazawłukiem. Przewaga atakujących wojsk rosyjskich była olbrzymia, większość Kozaków uciekła w nocy czółnami na ziemie Chanatu Krymskiego. Rosjanie wyburzyli umocnienia obronne, domy rozebrali, a archiwum i skarbiec zabrali do Moskwy. Pojmana starszyzna, w tym ataman koszowy Piotr Kalniszewski, pisarz wojskowy Hłoba i sędzia Pawło Hołowaty została skazana na więzienia lub zesłanie. Pozostałości dawnych umocnień Siczy znajdują się na sąsiedniej wyspie, Małej Chortycy, ale tam nie dotarłem. (W 2005 roku rozpoczęto budowę kompleksu Sicz Zaporoska, który zastąpił sowieckie Muzeum Kozactwa).

Podczas wrześniowego pobytu w Zaporożu postanowiłem, że muszę dotrzeć do Mikołajewa, odległego o ponad trzysta kilometrów, który leży prawie nad Morzem Czarnym. Dlaczego tam? Ano dlatego, że mój dziadek, pełniący przez kilkanaście lat przymusową służbę w carskiej armii, opowiadał mi wrażenia z pobytu w tamtejszych koszarach. Zarobił u kolegów dużo złotych rubli, miał bowiem talent do układania miłosnych listów. Pisał je do żon, kochanek, narzeczonych zarówno oficerów, podoficerów jak i szeregowych żołnierzy. Ach, potrafił czarować kobiety mój antenat! Z zarobionej w ten sposób jednej z wielu złotych dziesięciorublówek, wykonałem obrączki ślubne! Złota moneta czekała na ten moment pół wieku.

Wybrałem się na postój taksówek, aby umówić któregoś z kierowców do nielegalnej eskapady. Kilku mi odmówiło, jednak jeden z nich słysząc moje nagabywania zadeklarował chęć wyjazdu. Szybko odgadł, że jestem Polakiem. Wyznał mi, że jest „afgańcem", a to, co przeszedł na wojnie, daje mu prawo postępowania, jak chce.

„Weteranom odpuszczają" – dodał i zażądał aż sto rubli. Dużo, tyle wtedy wynosiła przeciętna pensja. Po krótkich targach zgodził się na 75. Wyruszyliśmy autem żiguli, ale bez koguta. Dmytro, trzydziestoletni kierowca, nie był rozmowny. Owszem, słuchał o moim dziadku, ale pytany o Afganistan rzucał tylko pojedyncze słowo lub machał ręką. Zainteresował się dopiero moimi wspomnieniami z Afganistanu, w drodze do Indii w 1977 r.

Po minięciu dużego miasta Nikopol, które leży nad ogromnym zalewem Dniepru, zostało do pokonania jeszcze około 200 kilometrów. Pamiętałem, że koszary znajdują się w północnej części Nikołajewa – bo tak się dawniej miasto nazywało. Ktoś wskazał nam dokładną drogę. Niestety, nie dało się ani dojechać, ani dojść, z uwagi na wysunięte posterunki żołnierskie. Popatrzyłem krótko na rozległe budynki koszarowe z czerwonej cegły, zbudowane w stylu neogotyku rosyjskiego. Nie odważyłem się ryzykować, zawróciliśmy.

Czy warto było gnać taki kawał drogi? – pomyślałem. Poprosiłem kierowcę, aby wjechał do śródmieścia, chciałem zabrać więcej wrażeń z Mikołajowa. Miasto jest rozległe i ludne: zamieszkuje w nim pół miliona ludzi, głównie Ukraińców, o połowę mniej Rosjan, po kilka procent Żydów i innych mniejszości. W tutejszych dokach produkuje się okręty wojenne, w tym podwodne.

Moją uwagę przykuł neogotycki dwuwieżowy kościół. Jak się okazało była to jedna z dwóch świątyń rzymskokatolickich, pw. św. Józefa, niestety bez dostępu do wnętrza. W pobliżu sprzedawano chlebnyj kwas z beczkowozu, a nieco dalej lepioszki. Dmytro wspaniałomyślnie zafundował mi poczęstunek.

Powrotna droga przebiegła również bez zakłóceń. Przed rozstaniem z kierowcą pożegnaliśmy się na niedźwiedzia.

Wszystkie pilotowane przeze mnie wycieczki wracały zadowolone z zaporoskich zakupów. Niestety, jeden powrót był niemalże tragiczny, na pokładzie samolotu doszło do bijatyki pomiędzy kilkoma, udającymi turystów, handlarzami. Kłótnia przy rozliczaniu zysku przerodziła się w bójkę, któryś z handlarzy – z podlubelskiej miejscowości – sięgnął po nóż. Na szczęście, dzięki interwencji innych wycieczkowiczów i stewardessy, udało się zażegnać konflikt. Sympatyczna, o dziwo wyrozumiała Ukrainka, przyniosła opatrunki i pomogła opatrzyć zakrwawione nosy, siniaki i guzy. Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem w karierze pilota wycieczek. Było mi wstyd i już nigdy nie chciałem zajmować się turystami z tej miejscowości.

Powrót z ostatniej wycieczki z Zaporoża też był niefortunny, ponieważ zaraz po kołowaniu samolotu na płytę lotniska, pilot zawrócił maszynę po wykryciu usterki. Polecenie sobirajties s wieszczami – nie zabrzmiało przyjaźnie, oj nie. Spędziliśmy na poczekalni noc do świtu. Nie wszyscy spali lub drzemali. Znalazła się grupa amatorów „stolicznej", dwóch sztywnych delikwentów trzeba było zataszczyć do samolotu.

Inne miejsca

Jak już wspomniałem, bazarowe wyprawy uczestników wycieczek, pozostawiały mi dużo wolnego czasu. Któregoś razu zaplanowałem nielegalny wypad z Równego na Wołyniu, gdzie przebywała nasza wycieczka do miejscowości Nitiszin. Chciałem odwiedzić kuzyna z Olsztyna. Był zatrudniony na kontrakcie w jednej z baz inżynieryjno-transportowych, przy wznoszeniu Chmielnickiej Elektrowni Jądrowej. Stosunkowo łatwo znalazłem

Ujście Dniestru

kierowcę, który zgodził się zawieźć mnie swoim zaporożcem za 50 rubli.

Dwustukilometrowa trasa zapadła mi w pamięć ze względu na historyczne miejsca związane z polską historią. Mijaliśmy Zdołbunów, Ostróg, Sławutę. Ukraiński kierowca prawie nic nie wiedział o tych ziemiach, natomiast wypytywał wielokrotnie o warunki życia w Polsce. Późnojesienne słońce marnie oświetlało kołchozowe, pustawe pola, czasami ożywiała je zieleń ozimin, niekiedy zagony niewykopanych jeszcze buraków cukrowych

Po przybyciu do Nietiszina nadciągnęła mgła i zakryła korpus elektrowni, oddalony o kilka kilometrów. Przezornie nie zabrałem aparatu fotograficznego.

W hotelu robotniczym dowiedziałem się, że mój kuzyn wyjechał na urlop do Olsztyna (sic!). Jego pokój, dokąd zaniosłem prezenty z Polski, szybko zapełnił się kolegami, ciekawych wieści z kraju. Z ich przechwałek wynikało, że zarabiają świetnie, że miejscowe kobiety natrętnie wkradają się w łaski Polaków, często goszcząc w pokojach do rana, i że wierność małżeńska jest wystawiona na szwank. Ponadto prawie nikt tu nie wylewa za kołnierz, chyba że ktoś ma silny charakter, jak mój kuzyn.

Pojawił się znajomy z Lublina i zaczął mnie prosić, żebym wstawił się za nim u rosyjskiego majstra, który go zawiesił w pracy za brak dyscypliny; czytaj: za picie wódki w pracy. Znajomy błagał i błagał, podjąłem wyzwanie, pouczony, co mam mówić, poszedłem do bazy transportowej, przedstawiając się jako członek rodziny podpadniętego. Zaręczałem majstrowi czesnym słowem, że podwładny się poprawi, będzie trzeźwy w pracy, że mu przemówiłem do rozumu, itd. Po namyśle Rosjanin wyraził zgodę, ale warunkowo: jeżeli Poljak priniesiet butyłku horoszoj wodki, możet rabotat'… Myślałem, że się przesłyszałem. Wot, takoje dieła…

Przez ponad pół wieku poznawałem Ukrainę krok po kroku, jako obszar docelowy i tranzytowy, jako pilot wycieczek i wyjazdów służbowych, w czasach sowieckich i po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości w sierpniu 1991 r. Dzięki temu poznałem liczne miejscowości i tereny, a także tutejszych mieszkańców: Ukraińców, Rosjan, Polaków, Żydów, Tatarów, Ormian i przedstawicieli innych nacji.

Jednej z moich służbowych wyjazdów, wraz ze współpracownikami Urzędu Miasta Lublin, był poświęcony przekazaniu władzom Lwowa naszych lubelskich doświadczeń na temat zintegrowanego systemu multimedialnej i wizualnej informacji turystyczno-krajoznawczej, w tym stojących tablic, plansz z planami miasta, drogowskazów dla pieszych i zmotoryzowanych oraz szlaków tematycznych. System ten, którego byłem pomysłodawcą i autorem merytorycznym, istnieje w Lublinie od prawie 20 lat.

Niestety, jeden z powrotów z Ukrainy, w połowie marca 1991 r. wspominam traumatycznie. Pilotowałem wtedy wycieczkę aż do Nowosybirska. Dotarliśmy daleko za Ural, bo nad Jenisej i Ob, tygodniowy pobyt przebiegł bez zakłóceń, powrotny lot samolotem do Lwowa też nie wywołał problemów, autokar z Lublina czekał zgodnie z umową na lotnisku, więc zdawało się nam, że długa i wyczerpująca eskapada wkrótce się zakończy. Tymczasem na przejściu granicznym w Medyce prawdziwy horror, apokalipsa! Stoi 112 autokarów – bo tyle naliczyłem – a na godzinę najwyżej przesuwały się dwa pojazdy. W przydrożnych rowach śmieci do kolan, ot, wysypisko powstałe z wyrzuconych opakowań po zakupionych przez turystów sprzętach i produktach spożywczych.

Brakowało śmietników natomiast nie brakowało żołnierzy OMON z psami, stojących po dwóch stronach →

Zamek Ostrogskich w Ostrogu

autokarowej kolumny. Nie ma dostępu do wody, a toaletę stanowi zafajdany lasek.

Od wieczora do przedpołudnia stało przed nami jeszcze kilkanaście autokarów. O zmierzchu wjeżdżamy na posterunek graniczny. Serce bije nam głośno z emocji czy nas przepuszczą, jak to się czasami komuś zdarzało. Po godzinie oczekiwania pogranicznicy oddają zebrane paszporty, więc podjeżdżamy na stanowisko celne. Do wnętrza autokaru wpada kilku funkcjonariuszy, inni spoglądają na otwarte luki bagażowe w pojeździe. Jakiś starszyna, nic nie komentując, każe nam… zawracać na koniec kolejki. I nie ma dyskusji! Typowe szykany, tylko dlaczego? Nikt nie wie.

Moi turyści maksymalnie rozgoryczeni, ale jakoś się trzymają w ryzach. Opuszczam autokar, aby porozmawiać z innymi pilotami, w tym rumuńskimi, słowackimi i węgierskimi. Podchodzi do nas starsza Ukrainka, która przynosi z sąsiedniego domku dzban z mlekiem, a w chuście pokrojony chleb. Nalewa do szklaneczek i częstuje. Pytamy co się tu dzieje. Milczy, ale po chwili pociąga mnie dyskretnie za rękaw i odchodzi. Odczekuję kilka chwil i podążam jej śladem. Kobieta stoi w drzwiach i zaprasza do izby. Przy włączonym telewizorze zgromadziła się rodzina. Oglądają widomości z Moskwy. Dowiaduję się, że wileńscy ekstremiści (oczywiście z pomocą zachodnich, w tym polskich) ogłosili niepodległość Litwy, ale zdrowe siły społeczeństwa litewskiego poprosiły bratnią Rosję o pomoc i taką pomoc uzyskali. Właśnie odbijają stołeczną stację telewizyjną, gdyż ta jest okupowana przez wrogów internacjonalizmu.

Zaczynam rozumieć wściekłość Rosjan, którą objawiają wobec turystów na przejściu granicznym. Szepty, że Ukraina też chce być wolna, docierają nie tylko do mojego ucha, słyszą je również Rosjanie.

Spędziwszy drugą noc w autokarze, jesteśmy ponownie wypędzeni na koniec kolejki. Udaje się za trzecim razem, już w połowie nocy. Wtedy postanowiłem solennie, że moja noga nigdy już nie postanie na tej nieludzkiej ziemi.

Dotrzymałem słowa, ponieważ moje późniejsze wyjazdy za wschodnią granicę dotyczyły odwiedzin tylko wolnych państw bałtyckich i już wolnej Ukrainy.

Stanisław Turski

Jerzy B. Sprawka

Echo wileńskich świątyń i zaułków

Pełen nadziei na wzruszenia, ale i niepokojem spoglądałem na słynącą w polskiej literaturze i licznych przekazach historycznych Ostrą Bramę w stolicy Litwy – Wilnie. Byłem ciekaw miasta, w którym znalazłem się po raz pierwszy, choć środkowo wschodnie połacie Europy z Kijowem i ziemią lwowską w szczególności, zwiedzałem wcześniej wielokrotnie.

Był początek pogodnego września 2019 roku i nic nie wskazywało na pogorszenie pogody, co sprzyjało w obchodach II Światowego Zjazdu Wilniuków. Przebiegał pod hasłem „Łączy nas Wilno". O rozmachu i bogactwie zaplanowanych imprez, które towarzyszyły Zjazdowi, niech świadczy dołączony do treści skan programu. Wydarzeniem towarzyszącym Zjazdowi w stolicy państwa litewskiego stało się otwarcie Międzynarodowej Wystawy „Lublin – miasto unii Litwy i Polski".

W drugim dniu pobytu dane mi było spotkać przyjaciół z Lublina, którzy na Zjazd przybyli własnym niezależnym transportem. Osobami tymi byli: Krystyna Romer-Patyra, Prezes Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej z towarzyszącym jej synem Waldemarem. Za ich pośrednictwem miałem możność poznać kilkunastu zacnych Wilnian polskiego pochodzenia z panią Danutą Lipską na czele, pełniącą w tym czasie funkcję prezesa Związku Polskich Artystów Plastyków „ELIPS" z siedzibą w Wilnie. Właśnie w czasie mego pobytu w Hotelu „Pas Bazilijonus", mieszczącym się w dawnym klasztorze oo. Bazylianów, miała miejsce wystawa prac malarskich wileńskich artystów, gdzie bez trudu można było odnaleźć i podziwiać wyeksponowane obrazy Danuty Lipskiej.

Stare, historyczne mury klasztoru Bazylianów robią wrażenie. Na okolony murami dziedziniec prowadzi nieprzeciętnej urody brama. Wiedzie brukowaną drogą, obok znajduje się (obecnie w remoncie) cerkiew św. Trójcy. Cerkiew przechodziła różne losy. Wybudowana w 1514 r. przez księcia Konstantego Ostrogskiego, jako votum dziękczynne po wygranej z Moskwą bitwie pod Orszą, przez długie lata służyła wyznawcom prawosławia. Następnie w 1608 roku Zygmunt III przekazał cerkiew i klasztor oo. Bazylianom, którzy utworzyli przy klasztorze nowicjat, drukarnię i ośrodek myśli pedagogicznej. W roku 1821 Zgromadzenie oo. Bazylianów uległo kasacie. Zgodnie z carskim ukazem władzę nad cerkwią zaczynają sprawować prawosławni. W tym czasie całość zabudowań

Panorama Wilna

Scena koncertowa

klasztornych zostaje przebudowana z przeznaczeniem na więzienie. To tutaj na przełomie 1823–1824 r. na rozkaz Nowosilcowa więziona była polska młodzież Uniwersytetu Wileńskiego, działająca w tajnych związkach Filomatów i Filaretów. Pośród uwięzionych, przez prawie pół roku przebywał Adam Mickiewicz. W tym to miejscu powstała *Dziadów część III*. Dzisiaj miejsce to uświęcone jest pamiątkową tabliczką i znane, jako cela Konrada. Myślę, iż przy zetknięciu się z materialnym dowodem historycznym serce każdego Polaka zaczyna bić szybciej.

Do II wojny światowej w murach dawnego więzienia mieściła się siedziba Wileńskiego Klubu Zawodowego Związku Literatów Polskich. Uczestnikiem sławnych środowych spotkań literackich – obok braci Mackiewiczów, Witolda Hulewicza i innych, bywał przyszły laureat literackiej Nagrody Nobla Czesław Miłosz.

Takich miejsc w magicznym mieście, jakim jest Wilno, znaleźć można znacznie więcej. Wiele ciekawostek zobaczyłem oprowadzany po wileńskiej Starówce przez prezesa Lubelskiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna, Tomka Rodziewicza, którego rodzina wywodzi się z Ziemi Wileńskiej, a szczątki przodków spoczywają na historycznym cmentarzu Starej Rossy.

Rossa. No cóż? Przeciętnemu Polakowi nazwa ta kojarzy się z rodem I Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Na grobie jego matki wyryty jest krzyż i wiele mówiący zapis – „Matka i serce syna". Na granitowej płycie znajduje się także cytat z twórczości uwielbianego przez Marszałka poety Juliusza Słowackiego. W górnej części grobowca:

Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą za innych iść tą samą drogą

Natomiast u dołu:

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła, niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
i słychać jęk szatanów w sosen szumie
Tak żyłem

Niemal nieustannie przy tym grobowcu-pomniku płoną znicze i wiatr porusza wstęgami złożonych wieńców. Dowody pamięci i czci dla wskrzesiciela Rzeczypospolitej, i spoczywających na tym cmentarzu legionistów, składają przybyli z Polski pielgrzymi. Na szarfach wiązanek widnieją różnorodne o patriotycznej treści napisy. Na niektórych widnieją tylko biało-czerwone barwy i te mają szczególną wymowę. Powiewają poruszane wiatrem, szeleszcząc, jakby szeptały proszalne, żarliwie składane w tym szczególnym miejscu modły. Ofiarowana modlitwa podtrzymuje nadzieje słanej duchom patronów Polski o wstawiennictwo w utrzymaniu odzyskanej Niepodległości.

Powrót do centrum Wilna przebiega w ciszy i skupieniu, wszak niebawem rozpocznie się uroczysta Msza Święta sprawowana wprost przy ołtarzu Matki Bożej Ostrobramskiej. Tak bardzo obecnej w sercu każdego Polaka. Treści liturgii wypłyną na wileńskie uliczki przez szeroko otwarte okna i być może wzbudzą zaciekawienie u przechodzących tłumnie różnojęzycznych turystów. Widok klęczących na jezdni i chodnikach ludzi z pochylonymi pokornie głowami jest widokiem niezwykłym, nigdzie niespotykanym. Słońce prześlizguje się po załomkach złotej szaty Matki Bożej, porażając oczy blaskiem.

Wtedy w 2019 roku, w takim właśnie momencie zastanawiałem się nad tym, czy kiedykolwiek w przyszłości będzie mi dane doświadczyć podobnych przeżyć w miejscu tak szczególnym, jakim jest Kaplica Matki Bożej Ostrobramskiej? Czy jeszcze się nadarzy okazja do zwiedzania opustoszałych wileńskich świątyń i fotografowania wielowiekowej historii, jaką tutaj pozostawili Polacy i związani z Polską Litwini?

Myśli moje były pesymistyczne, a przecież nic jeszcze nie zapowiadało nadejścia „zarazy", jak ja na swój prywatny użytek określam zgrabnie nazwany przez autorytety naukowe przypadek „morowego powietrza" – covidem19. Mimo wszelakich trudności, wynikających z trwającej „zarazy" człowiek robił swoje. W ograniczonym czasami zakresie, ale uczył się i pracował. Grzebał bliskich, brał udział w pogrzebach znajomych, ale rąk nie załamywał. Nie zamierzam rozwijać tego zagadnienia, ale nie sposób pominąć milczeniem czegoś, co wywarło zgubne skutki na całym świecie.

Nadszedł czas, że rygorystyczne noszenie maseczek przestało obowiązywać. Na twarzach pojawiały się uśmiechy i optymizm. Ludzie wobec siebie stali się bardziej życzliwi, choć ostrożniejsi. Jednakże w Europie nastąpiło coś znacznie gorszego. Brutalny atak imperium rosyjskiego na podnoszącą się z kolan Ukrainę.

Wilno, podwórze domu przy ul. Zamkowej (Pilies 22) – tablica pamiątkowa dłuta wileńskiego rzeźbiarza Bolesława Bałzukiewicza. Wmurował je malarz Ferdynand Ruszczyc, mieszkający w latach 1923–1934 w dawnym mieszkaniu Słowackiego.

W takim to okresie otrzymałem powiadomienie o możliwości uczestnictwa w pięciodniowym wyjeździe do Litwy, Łotwy i Estonii. Wyjazd o charakterze patriotyczno-turystyczno-pielgrzymkowym organizowało kilka podmiotów, które po kolei pozwolę sobie przedstawić: Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" Oddział w Lublinie, Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna Oddział w Lublinie, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Region Środkowo-Wschodni NSZZ „Solidarność" oraz Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół" w Lublinie.

Za niebywałą okazję uznałem, nadarzającą się sposobność uczestnictwa w tej patriotycznej wyprawie. Gdzieś w głębi serca, dusza radowała się możliwością powtórnego spotkania z Wilnem i wtopienia się w objęcia starych murów tego miasta, jak w ramiona od dawna oczekiwanego przyjaciela. Chociaż eskapada nosiła oficjalną nazwę: „Północnym szlakiem dawnej Rzeczypospolitej", rychło, jeszcze w trakcie podróży, idąc za pomysłem znanego w Lublinie artysty rzeźbiarza Kazimierza Stasza, nazwę przemianowano na „Lubelską Pielgrzymkę Pokoju", a obecny pośród podróżnych radny z Puław pan Ignacy Czeżyk zaproponował, aby do rzuconego hasła dodać liczebnik, co zostało ogólnie zaakceptowane i tak powstała „Pierwsza Lubelska Pielgrzymka Pokoju" (miejmy nadzieję, że w tym przypadku „posypią się" liczebniki).

Sądzę, że osobom zainteresowanym należałoby przybliżyć przebieg wyznaczonej przez Polskę trasy. Aby czytający miał w miarę jasne pojęcie o przebiegu podróży, pozwolę sobie na jej uproszczone przedstawienie.

Organizatorzy zaplanowali udział we mszy św. w kolegiacie pw. św. Antoniego Padewskiego w Sokółce na Podlasiu, w której wydarzył się niezwykły przypadek Cudu Eucharystycznego. Pomimo, iż była to głośna historia, warto ją tutaj w skrócie przytoczyć. Zwłaszcza, że po kilku latach w 2016 r. na drugim krańcu Polski, a konkretnie w Legnicy na Dolnym Śląsku w kościele pw. św. Jacka wydarzył się identyczny przypadek. Cud eucharystyczny!

Wracam tymczasem do Sokółki, niewielkiego podlaskiego miasteczka, które do dzisiaj zachowało swój wielokulturowy charakter. Po trzyletnich (2008–2011) specjalistycznych badaniach laboratoryjnych stwierdzono, iż komunikant, który został upuszczony i natychmiast podniesiony z posadzki, po włożeniu do specjalnego naczynia z wodą (vasculum), aby uległ rozpuszczeniu, nie zmienił swojej postaci (powinien był się rozpuścić). Po tygodniowym pozostawaniu w wodzie stwierdzono, że na powierzchni hostii pojawiła się zabarwiona na czerwono plamka. Kiedy hostia została wyjęta z naczynia i położona na śnieżnobiałym korporale, w miejscu złożenia pojawił →

Ostra Brama, Wilno

się czerwony ślad. Poddana badaniom hostia zdumiała patomorfologów, którzy niezależnie od siebie stwierdzili, że barwna skaza jest fragmentem ludzkiego mięśnia sercowego. W 2009 r. zdumieni obserwatorzy stwierdzili, że w zachowanej hostii nastąpiła zmiana. Komunikant zasechł się, przybierając formę zakrzepłej krwi. Taką też formę zachowuje do dziś. Od 2011 roku przeniesiona z laboratorium do świątyni hostia uznana została za relikwię, powiększając kult Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa.

W najbliższym sąsiedztwie sanktuarium znajduje się duży samochodowy parking. Po opuszczeniu autokaru słychać wyraźnie dźwięki, płynące z kościelnej wieży. W porannej mgiełce – jest godzina 6,00 – rozpływają się tony pięknej pieśni Kiedy ranne wstają zorze, docierające do najodleglejszych zakątków sokólskiej ziemi.

Dzielący Sokółkę od Augustowa dystans, dokąd planowana jest dalsza podróż, zajmuje blisko dwie godziny. W augustowskim porcie trzeba być przed dziesiątą, aby zdążyć na rejs statkiem, płynącym szlakiem ojca świętego Jana Pawła II. Do przystani dotarliśmy na czas. Przy pięknej słonecznej pogodzie rozpoczął się kurs w kierunku miejscowości Studzieniczna. (Do Sanktuarium Matki Bożej Studzienicznej dnia 9 czerwca 1999 r. przybył, odwiedzający Polskę papież Jan Paweł II). Nie wszyscy uczestnicy pielgrzymki mieli wcześniej okazję do odwiedzin tego miejsca, więc była to znakomita okazja. Trud podróżowania autokarem został zneutralizowany przez bezpośredni kontakt z przepyszną przyrodą, otaczającą jeziora, przez które (połączone kanałem) należało przepłynąć.

W miejscu, gdzie znajduje się Sanktuarium panuje dostojna cisza. Granitowa postać Jana Pawła II ustawiona tuż przy brzegu jeziora, przyciąga duże grupy pielgrzymów chętnych do indywidualnych bądź grupowych fotografii przy tym pomniku. Niektórzy się niecierpliwią, zdając sobie sprawę, że czas jest ograniczony, a chciałoby się...ech! Dobrotliwe oblicze świętego Jana Pawła II spogląda na każdego z jednakową życzliwością. Na cokole pomnika u stóp Świętego widnieje cytat wyjęty z jego wypowiedzi: „Byłem tu wiele razy, ale jako papież po raz pierwszy i chyba ostatni" i data 9 VI 1999.

Ojczyzna Władysława Jagiełły przywitała nas obfitym deszczem. Jakże my w Polsce odczuwaliśmy brak opadów. A tu? Nie było możliwości, aby poświęcić trochę czasu na zwiedzenie zamku w Trokach oddalonych niecałe 30 km od Wilna. Z przyległej do jeziora Galve szosy, można było dostrzec wieże zbudowanego na wyspach tego jeziora zamku i zadumać się nad minioną historią Wielkiego Księstwa Litewskiego. Umysł nawiedzały również myśli o dzisiejszym państwie litewskim, o jego członkostwie w Unii oraz w wojskowych strukturach NATO. Myśli nie były pozbawione sensu. Od 24 lutego 2022 roku, sąsiadujący kraj Rosja prowadzi wojnę przeciwko państwu ukraińskiemu w imię własnych egoistycznych interesów. Imperium grozi także innym sąsiadującym narodom, ale jak dotychczas na groźnych pomrukach poprzestaje.

Kwatery w Domu Polskim, który nosi dwujęzyczną nazwę „Pan Tadeusz" i po litewsku – „Ponas Tadas" są, rzec można luksusowe. Obsługa nad wyraz uprzejma i życzliwa. Przebywający tu goście z Polski mogą czuć się swobodnie, „jak u siebie". To też tak się czują. Po kolacji spodziewane jest (zaplanowane wcześniej) spotkanie z przedstawicielami zarządzającymi Domem Polskim oraz Działaczami Związku Polaków na Litwie. Podczas przyjacielskiego spotkania były liczne wystąpienia zarówno ze strony gości z Polski, jak i gospodarzy. Ważnym akcentem przyjęcia zaznaczył się IV Toast za Unię Lubelską. Wyrażane z obu stron słowa życzliwości poparte drobnymi upominkami, kończyły się serdecznymi uściskami i zapewnieniami przyjaźni.

Niedzielny poranek w Wilnie okazał się pogodny. Bogaty program dnia zakładał udział w mszy św. w kościele pw. św. Teresy, zwiedzanie wileńskiej Starówki w tym przejście do kościoła pw. Św. Ducha, gdzie w nawie głównej znajduje się obraz „Jezu ufam Tobie" namalowany zgodnie z wizją św. Faustyny Kowalskiej przez artystę malarza Eugeniusza Kazimirowskiego.

Na mieszkańców Wilna i przebywających na Litwie turystów czekały jeszcze inne atrakcje. W tym właśnie dniu 3 lipca 2022 r. przebiegała trasa pod nazwą „Wakacyjna Trasa Dwójki". Współpracujące z sobą ośrodki telewizyjne Polski i Litwy zorganizowały koncert muzyczny, cieszący się olbrzymim zainteresowaniem społeczeństwa.

Organizator peregrynacji po Litwie, Łotwie i Estonii pamiętał o jeszcze innym nieogłoszonym, ale jakże ważnym aspekcie. A mianowicie o nawiedzeniu jedynego, funkcjonującego na Litwie hospicjum dla dzieci. Hospicjum w Wilnie założyła zakonnica z Polski s. Michaela Rak i od samego początku posługuje nieszczęśliwym z wielkim poświęceniem. Hospicjum nosi imię Błogosławionego ks. Michała Sopoćki (spowiednika św. Faustyny). Siostra Michaela swoim zaangażowaniem dała świadectwo męstwa i ofiarności, udowadniając, że jeśli szlachetnemu przedsięwzięciu towarzyszy głęboka wiara, to nie ma rzeczy niemożliwych. – „Pierwsza ofiara na cel budowy hospicjum wynosiła 3 złote" – mówi siostra Michaela.

Piszący te słowa zetknął się z założycielką i dyrektor hospicjum bł. ks. M. Sopoćki, rozmawiał z nią, podziwiając jej równowagę ducha, specyficzny humor i poczucie głębokiej wiary. Wiele o niej samej można się dowiedzieć z książki jej autorstwa zatytułowanej „Mężczyźni mojego życia". Wizyta w hospicjum napawa ufnością do człowieka. Przekonuje, że w gruncie rzeczy każda istota ludzka ukierunkowana jest na czynienie dobra. Natomiast przykłady wyrządzanego zła biorą się z fałszywych ambicji, braku spełniania wybujałych oczekiwań za minimum wysiłku i hołubienie wszelkich negatywnych cech charakteru, których wymieniał nie będę.

O cmentarzu na Rossie już było. Można jeszcze dopowiedzieć słowo o pięknie odnowionej kaplicy cmentarnej, ale i o niszczejących, pozbawionych opieki grobowcach.

Przenieśmy się zatem w inny rejon Wilna. Nad z wolna płynącą rzeką Wilią (po litewsku Neris), wznoszą się porośnięte wzgórza Antokolu. Przed wiekami miejsce, gdzie obecnie znajduje się kościół pw. św. św. Piotra i Pawła porastał gęsty bór. Pośród dziewiczej puszczy znajdowała się pogańska świątynia bogini Mildy, patronki zakochanych, do której się zwracano o spełnienie miłosnych marzeń. Obecnie, znajdujący się w tym miejscu przepiękny kościół katolicki przyciąga historią powstania, ale i przepychem sztukatorskiego rzemiosła. Wysmakowane w swojej treści stiuki zdobią całą świątynię, nadając wnętrzu specyficzną atmosferę. O przepychu świątyni świadczy bogaty wystrój

Wilno, grobowiec Marii z Billewiczów Piłsudskiej (1842–1884) – 12 maja 1936 trumnę ze zwłokami uroczyście złożono w krypcie mauzoleum na cmentarzu Na Rossie. Obok trumny złożono kryształową urnę z sercem Józefa Piłsudskiego (jednego z siedmiu synów i 5 córek). Nagrobek wieńczy płyta wykonana z granitu z Bronisławki w województwie wołyńskim. Płyta została obrobiona i oszlifowana przez Bolesława Sypniewskiego w warszawskim Zakładzie Rzeźbiarsko-Kamieniarskim Sypniewski, tam też został wykuty słynny napis na płycie.

licznych ołtarzy oraz unikalny, zwieszający się w nawie głównej kryształowy żyrandol w kształcie łodzi. Przy jednym z wielu ołtarzy stoi naturalnej wielkości figura Chrystusa „Ecce Homo". Na głowie Chrystus ma prawdziwe włosy, opadające swobodnie na ramiona. W jednej z bocznych naw uwagę przyciąga olbrzymich rozmiarów bęben zdobyty przez hetmana Michała Kazimierza Paca w bitwie z Turkami pod Chocimiem. Świadomość tego, że szlachetny fundator Michał Kazimierz Pac herbu Gozdawa, wyraził wolę pogrzebania swoich doczesnych szczątków pod progiem głównego wejścia do świątyni z wyrytym na płycie łacińskim napisem „Hic iacet peccator Pac" – „Tu spoczywa grzesznik Pac", budzi szczególny szacunek dla fundatora oraz jego pokory. Natomiast w górnej części fasady kościoła umieszczony jest napis po łacinie: „Regina Pacis, funda nos in pace". W tłumaczeniu na język polski brzmi to: „Królowo pokoju zachowaj nas w pokoju".

Od kościoła św. św. Piotra i Pawła niedaleko jest do miejsca, gdzie na najwyższym szczycie góry znajdują się olbrzymich rozmiarów, górujące nad położonym w dolinie miastem – trzy, porażające bielą krzyże.

Legenda związana ze szczytem góry głosi, iż działo się to za panowania księcia Olgierda. Nawrócony na katolicyzm namiestnik Olgierda Gasztołd sprowadził do Wilna grupę 14. franciszkanów i osadził ich w swoim grodzie, w którym wybudował niewielki klasztor. Gorliwym nauczaniem wiary chrystusowej zakonnicy narazili się pogańskim kapłanom, szukającym sposobności do zemsty. Wykorzystując nieobecność Olgierda i Gasztołda postanowili dokonać zbrodni. W tym czasie (1345 r.) na ziemiach Księstwa Litewskiego szerzyła się epidemia, dziesiątkując, zamieszkującą te tereny ludność. Pogańscy kapłani roznieśli pogłoskę, że do zarazy przyczynili się sprowadzeni spoza Księstwa franciszkanie. Podburzony lud tłumnie rzucił się na bezbronnych zakonników. Siedmiu pojmanych skatowano i skrępowanych zawleczono na rynek, gdzie zostali ścięci. Pozostałych siedmiu, ukrywających się w antokolskich leśnych uroczyskach wyłapano. Wszystkich pojmanych ukrzyżowano. Cztery krzyże z ciałami przybitych zakonników zrzucono z góry do płynącej u podnóża Wilenki. Natomiast krzyże z ciałami trzech nieszczęśników umieszczono na szczycie Łysej Góry.

Po powrocie do Wilna Olgierd srodze ukarał winnych tej zbrodni, natomiast Gasztołd umęczone ciała z czcią pogrzebał w swoim ogrodzie, umieszczając nad wspólną mogiłą drewnianą kapliczkę. W XIV wieku dla upamiętnienia tego wydarzenia na Łysej Górze ustawiono trzy drewniane krzyże. W wieku XIX, a konkretnie w 1863 r. grzebano w tym miejscu powstańców, uczestników Powstania Styczniowego skazanych na śmierć przez hrabiego Michaiła Nikołajewicza Murawiowa – „Wieszatiela". Pozostawione bez należytej opieki krzyże spróchniały, by w 1869 roku runąć w porosłe krzewami zbocze góry.

Podczas trwania I wojny światowej wilnianie wystosowali prośbę do władających Wilnem Niemców o zgodę na odbudowę krzyży. Zgodę otrzymali. Projekt i budowę krzyży powierzono polskiemu architektowi i rzeźbiarzowi Antoniemu Wiwulskiemu. Był on autorem wzniesionego w Krakowie Pomnika Grunwaldzkiego, który powstał z okazji 500-lecia zwycięskiej bitwy pod Grunwaldem.

Antoni Wiwulski postanowił, że jego projekt winien być budowlą monumentalną i trwałą. Zaprojektował więc, trzy żelazobetonowe krzyże solidnie umocowane w betonowym cokole. W ciągu kilku miesięcy wytężonej pracy mieszkańców Wilna, pomnik stanął i w tajemnicy przed władzami okupacyjnymi poświęcony został przez biskupa Kazimierza Michalkiewicza. Monumentalny Trzy-krzyski pomnik doczekał końca I i II wojny światowej bez uszczerbku, ażeby na rozkaz nowej sowieckiej władzy ulec zagładzie. W roku 1950 kiedy w państwach Europy środkowo wschodniej szalał wojujący ateizm, Pomnik-symbol chrześcijaństwa nie mógł być tolerowany przez władze nowo utworzonej Litowskoj Sowietskoj Socjalistyczeskoj Respubliki. Na wcielonych pod przymusem w orbitę ZSRR ziemiach nie mogło być miejsca dla tego typu symboli. Pomnik został wysadzony w powietrze. Po niemal czterdziestu latach od tamtego wydarzenia w 1989 r. Trzy Krzyże powróciły na swoje miejsce odbudowane zgodnie z projektem A. Wiwulskiego. W pobliżu odnowionego pomnika rozmieszczono szczątki pierwotnych krzyży, które wysadzone przez sowieckich saperów leżały, obrastając mchem i wszelkiego gatunku zielskiem – miały ulec zapomnieniu. Nie uległy i mimo panującej wokół tego miejsca ciszy – przemawiają.

Nasyciwszy oczy, rozpościerającą się w dole panoramą królewskiego miasta Wilna i doskonałym widokiem na, starożytną wieżę zwaną Wieżą Giedymina, przychodzi czas na opuszczenie wzgórza. Widok wieży z powiewającą na szczycie flagą niepodległego państwa litewskiego umacnia nadzieję na zbratanie.

No cóż? Chciałoby się zobaczyć i dowiedzieć czegoś więcej o łączącej oba narody Polski i Litwy historii, ale jak zwykle ograniczony czas na to nie pozwala.

Dzień jutrzejszy zapowiada dalszą podróż. Ze zrozumiałym zaciekawieniem oczekuję na możliwość zwiedzenia Łotwy i następnie Estonii. Ale to zupełnie inna historia…

Jerzy B. Sprawka, FOTO AUTOR

Literatura:

Alicja Basta *Zamęt pod Ostrą Bramą*, Warszawa 1991
Wilno – Przewodnik turystyczny,Warszawa 1991
A. Spelskis *Perła baroku wileńskiego*, Wilnius 1964
Wilno – Przewodnik turystyczny, Wilno 2020

Bartosz Staręgowski

Geniusz taktyczny hetmana Chodkiewicza

Bitwa pod Kircholmem, 27 września 1605 roku

Bitwa pod Kircholmem we wrześniu 1605 r. była największą batalią stoczoną w wojnie o Inflanty w latach 1606–1611, a także jedną z dwóch bitew (druga to Wiedeń 1863 r.), w której w pełni wykorzystano potencjał i potęgę husarii, a co za tym idzie, udało się odnieść zwycięstwo nad kilkukrotnie liczniejszym nieprzyjacielem. W zwycięstwie pod Kircholmem, niewątpliwie kluczowy udział miał hetman Jan Karol Chodkiewicz, który świetnie zorganizował zasadzkę na przeciwnika, odpowiednio ustawił wojska oraz wykorzystał teren do uzyskania przewagi i zniwelowania przewagi liczebnej nieprzyjaciela. Ostatecznie jednak ten wielki triumf nie został wykorzystany, zaś wojna między Rzeczpospolitą a Szwecją zakończyła się mało satysfakcjonującym rozejmem dla obu stron. Przyjrzyjmy się jednak, jakie wydarzenia poprzedziły wspomnianą batalię.

Zygmunt III Waza, szw. Sigismund – król Polski i wielki książę litewski w latach 1587–1632 oraz król Szwecji z dynastii Wazów., rycina XVII w.

Zygmunt Waza wstępuje na tron polsko-litewski

Po śmierci Stefana Batorego w 1587 r. ponownie rozgorzała walka o tron polsko-litewski. Dwoma najpoważniejszymi kandydatami do jego objęcia byli Maksymilian Habsburg oraz Zygmunt Waza. Na korzyść tego drugiego przemawiało pochodzenie i pokrewieństwo z dynastią Jagiellonów ze strony matki. Podobnie jak przy wyborze Stefana Batorego doszło do podwójnej elekcji, w tym przypadku o wyborze na tron decydował fakt, kto pierwszy dotrze i koronuje się na Wawelu. W tym szczególnym wyścigu zwyciężył Zygmunt, na sukcesie zaważyło poparcie, jakiego udzielił mu (bez przekonania) hetman Jan Zamoyski. Zatrzymał on siły Maksymiliana w bitwie pod Byczyną, samego zaś cesarza wziął do niewoli.

Młody królewicz rozpoczął swoje panowanie w Rzeczpospolitej jako Zygmunt III Waza, a od 1594 r. panował również jako król Szwecji. Tym samym oba państwa połączyła unia personalna. Nieobecnego monarchę zastępował jako regent jego stryj książę Karol Sudermański. W dość niedługim czasie zawiązała się opozycja w Szwecji przeciwko królowi, na czele której stanął książę regent. Powodem buntu miała być ultrakatolicka postawa króla i faworyzowanie na urzędy i godności katolików, a tym samym odsuwanie luteranów, których w Szwecji była przytłaczająca większość. Na wieści o niepokojach w swoim ojczystym kraju, Zygmunt postanowił interweniować.

Wyprawa Zygmunta w obronie korony

Zebrawszy wojska zaciężne, Zygmunt w 1598 r. wylądował na szwedzkich plażach. Królowi polskiemu i szwedzkiemu towarzyszyli polscy żołnierze. Mimo kilku początkowych sukcesów, o losie szwedzkiej korony zadecydowała rozprawa zbrojna pod Stegeborgiem, którą Zygmunt przegrał. Karol Sudermański przejął władzę →

źródło POLONA

w Szwecji. Rozgoryczony przebiegiem spraw Zygmunt postanowił o włączeniu w 1600 r. północnych Inflant (Estonia) do państwa polsko-litewskiego. Były to terytoria należące do Królestwa Szwecji. Wydarzenie to dało casus belli Karolowi Sudermańskiemu i rozpoczęło trwającą przeszło 10 lat wojnę o Inflanty.

Karol IX i jego innowatorzy

Zanim zostanie przedstawiony przebieg wojny o Inflanty warto przyjrzeć się innej bardzo istotnej kwestii. Otóż po objęciu władzy Karol Sudermański postanowił zreformować szwedzką armię według nowoczesnych prawideł walki stosowanych na zachodzie Europy. Mieli mu w tym pomóc innowatorzy wojskowi, których zapraszał na swój dwór. Jednym z najbardziej znanych był Jan von Nassau, holenderski innowator oraz dowódca, to on wraz z braćmi dokonał przełomowej reformy piechoty holenderskiej. Podjął się zadania unowocześnienia armii szwedzkiej i zwiększenia jej wydolności bojowej podobnie jak uczynił to z podległymi sobie Holendrami. Nassau energicznie przystąpił do reformowania; zaostrzył dyscyplinę, wprowadził musztrę i ustawienia piechoty oraz skuteczność rajtarskiego karakolu (to kawaleryjska odmiana kontrmarszu stosowanego przez piechotę, oddział podjeżdżał jak najbliżej przeciwnika, po czym pierwszy szereg oddawał strzały w podobny sposób, jak przy klasycznym karakolu i wycofywał się na tył formacji, wówczas strzały oddawał drugi szereg itd.). Działania Holendra przyniosły pewien skutek, ale ze względu na ograniczenia czasowe, nie osiągnęły zaplanowanej gotowości. Tymczasem Karol IX zaczął żyć w przekonaniu o wielkiej potędze własnej armii oraz obrażać i lżyć wojsko Rzeczpospolitej, które uważał za przestarzałe, prymitywne i walczące według prawideł średniowiecznych. Już pierwsze starcia miały dać Polakom nauczkę i pokazać potęgę szwedzkiego wojska. Jego złośliwe uwagi zweryfikowała batalia, która miała miejsce nieopodal rzeki Dźwiny w 1605 r.

Szwedzi wkraczają do Inflant

Jesienią 1600 r. na Inflanty ruszyła ofensywa szwedzka dowodzona przez Karola Gyllenhjelma. Oddziały inflanckie pod dowództwem Jerzego Farensbacha, choć dzielnie stawiały opór, miały problem w odparciu nieprzyjaciela. Do roku 1601 Szwedzi zajęli większość Inflant aż po rzekę Dźwinę. W marcu oblegli Kokenhauzen i zdobyli miasto, ale nie potrafili zdobyć miejskiej fortecy. W czerwcu ruszyła pierwsza odsiecz, na czele której stanął Krzysztof Radziwiłł. Hetman dysponujący wojskiem polsko-litewskim oraz wspierającymi go Kozakami najpierw uporał się ze szwedzką jazdą, a następnie uderzył na odsłoniętą piechotę. Podczas gdy Kozacy puścili się w pogoń za uciekającymi w popłochu szwedzkimi rajtarami, siły polsko-litewskie rozpoczęły wybijanie szwedzkiej piechoty. Niestety, siły Radziwiłła zostały zmuszone do przerwania ścigania niedobitków i cofnięcia się z uwagi na nadchodzącą armię dowodzoną przez samego Karola IX, która wkroczyła do Inflant.

Radziwiłł wycofał się do Rygi i zarządził obronę miasta. Szwedzi bezskutecznie próbowali je opanować, ale ich działania zostały przerwane przez armię koronną, na której czele nadciągnęli Jan Zamoyski i Stanisław Żółkiewski. Przy pomocy armii koronnej obu hetmanów oraz sił Radziwiłła rozpoczęto oczyszczanie Inflant ze Szwedów. Stanisław Żółkiewski w pobliżu Rewla (obecnie Tallin) odniósł fantastyczne zwycięstwo, gdzie związał siły szwedzkie powtarzanymi atakami, ten manewr umożliwił Kozakom okrążenie nieprzyjaciela, w efekcie czego powstały sprzyjające okoliczności, by uderzyć na

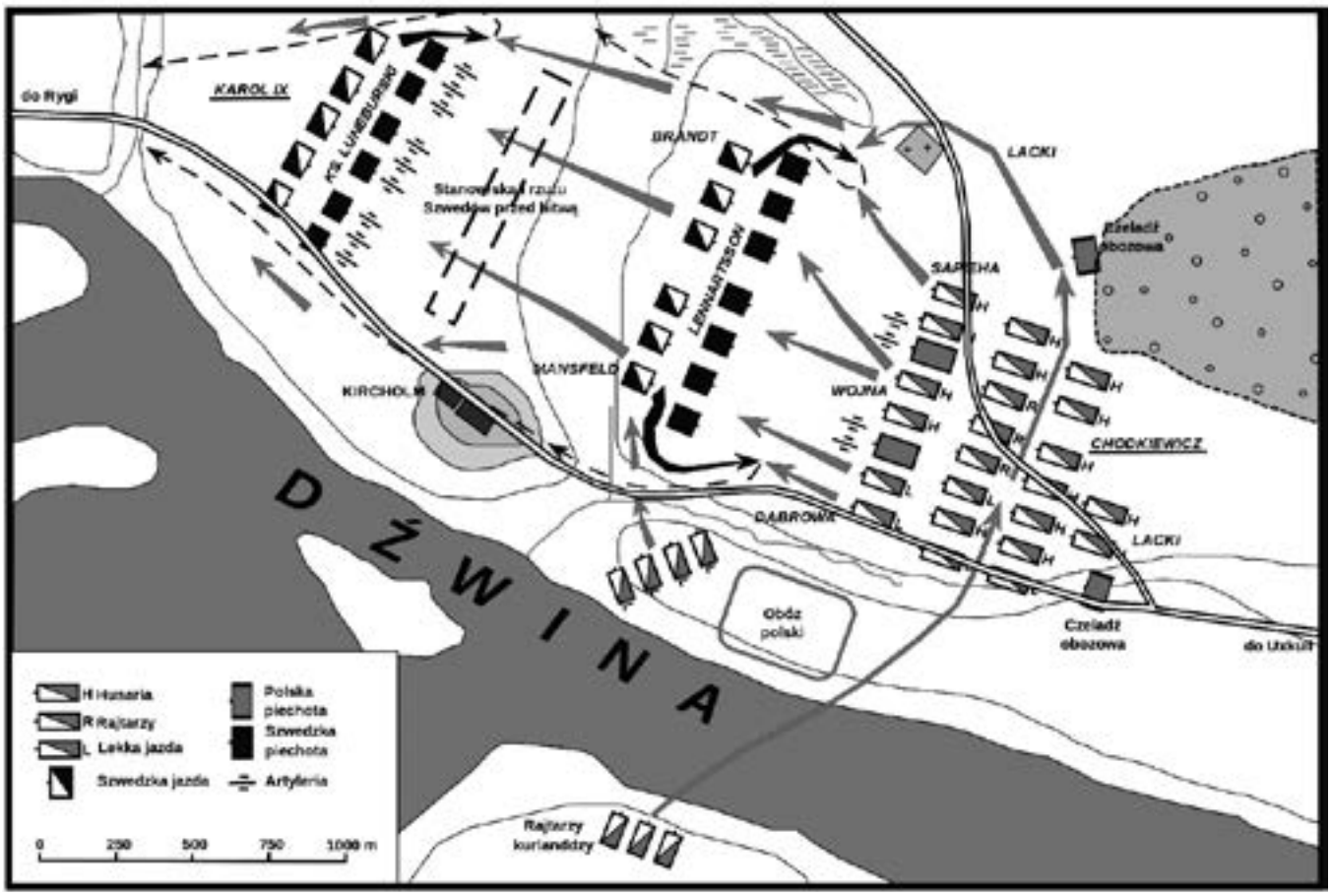

Plan bitwy pod Kircholmem

tyły na tyły wroga i zmusić go do odejścia w kierunku sił Żółkiewskiego.

Niestety, Rewla nie udało się opanować, podobnie jak Parnawy i Narwy. Polskie działania nieco przygasły ze względu na problemy z poborem podatków w całym kraju i oporem szlachty do wspierania odległej wojny. Szwedzi dopiero latem 1604 r. wznowili działania zaczepne i próbowali z Parnawy uderzyć na Biały Kamień. Ich wysiłki zostały zniweczone przez hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, który przejął inicjatywę dowódczą na froncie walki ze Szwedami.

Wielki triumf hetmana Chodkiewicza

W 1605 r. Szwedzi wznowili kampanię wojenną. W Inflantach wylądowały trzy potężne dywizje: jedna dowodzona przez Joachima Fryderyka Mansfelda (4000 żołnierzy), druga przez Andrzeja Lennartssona (5000) i trzecia przez samego Karola IX Sudermańskiego, niedawno obranego króla Szwecji (5000). Mansfeld skierował się w kierunku Rygi, Lennartsson po przegrupowaniu w Rewlu na południe, a król do Parnawy. Chodkiewicz dysponując siłami składającymi się zaledwie z 3400 żołnierzy z czego większość stanowiła jazda licząca 2400 jeźdźców, próbował początkowo znieść dywizję Mansfelda pod Rygą, jednakże ostatecznie obrał sobie za cel Lennartssona. Dopadł go pod Vigalą, jednakże Lennartsson okopał się i umocnił pozycję przyjmując postawę obronną i wyczekującą. Widząc nierównowagę sił i ewentualne duże straty wynikłe ze szturmowania pozycji Lennartsona, Chodkiewicz wstrzymał atak. Grupie szwedzkiego dowódcy udało się wymknąć i połączyć siły z królem Karolem. W niedługim czasie dokonała tego również grupa Mansfelda. Siły Chodkiewicza posuwały się systematycznie za Szwedami, nie nawiązując z nimi walki.

Ostatecznie hetman litewski stanął pod miejscowością Kircholm, nieopodal Dźwiny, 15 kilometrów od Rygi. Widząc szczupłość sił hetmańskich, król szwedzki – w obawie, że siły polskie mogą zostać wzmocnione posiłkami – postanowił jak najszybciej doprowadzić do konfrontacji. Pod osłoną nocy z 26 na 27 września Szwedzi wymaszerowali spod Rygi, zostawiając nieliczne oddziały w obozie pod miastem. Po dotarciu pod Kircholm rozpoczęli działania. Siły szwedzkie ustawiono w szyku czteroszeregowym, z tym, że dwa pierwsze szeregi były oddzielone od dwóch pozostałych. Pierwszy składał się z 7 batalionów piechoty oraz artylerii, nad którymi komendę sprawował Lennartsson, drugi →

z 2 oddziałów jazdy po 3 szwadrony każdy pod komendą Mansfelda i Henryka Brandta. Czwartym szeregiem składającym się z 6 batalionów piechoty komenderował Fryderyk ks. Luneburski, a ostatnim – czwartym szeregiem – liczącym 6 szwadronów jazdy sam Karol IX. Siły szwedzkie w większości składały się z piechoty w proporcjach 1/3 pikinierzy i 2/3 muszkieterzy oraz jazdy złożonej z rajtarów.

Siły polsko-litewskie Chodkiewicz uszykował w trzy szeregi: w pierwszym stanęło 3000 piechoty wspieranej z działkami oraz 300 husarzami Wincentego Wojny, starosty inturskiego. W drugim szeregu 300 rajtarów kurlandzkich, w trzecim 200 husarzy Teodora Lackiego, pisarza polnego litewskiego oraz 200 wolontariuszy i jeźdźców tatarskich. Na prawym skrzydle ustawiono 700 husarzy Jana Piotra Sapiehy, starosty uśniackiego, a na lewym 900 husarzy Tomasza Dąbrowy, starosty lucyńskiego. Lewe skrzydło polskie opierało się o obóz wojskowy zatoczony nad samą rzeką i broniony przez niewielki oddział piechoty z działkami. Sam teren nieopodal Kircholmu odpowiednio wykorzystany mógł pomóc zniwelować przewagę liczebną. Z jednej strony swobodę ruchu blokowała Dźwina, a z drugiej niewielki lasek. W momencie, gdy Chodkiewicz został zapytany o liczebność wojsk nieprzyjaciela, podobno odpowiedział: „Policzym ich, jak ich pobijem".

Początkowo żaden z dowódców nie wydał rozkazu do natarcia, obawiając się wpadnięcia w zasadzkę złego ustawienia i niewygodnej walki z siłami wroga ustawionymi na wzniesieniu. Chodkiewicz, by sprowokować siły nieprzyjaciela, urządził prowokowany odwrót, i jak się okazało, to wystarczyło, aby Karol IX wpadł w pułapkę. Król wydał rozkaz do ataku. Piechota z pierwszego szeregu szwedzkiego ruszyła naprzód wspierana przez rajtarów. Natychmiast po zbliżeniu się do polskich pozycji Chodkiewicz nakazał ostrzał Szwedów z działek, a następnie wydał rozkaz do szarży husarskiej pierwszego szeregu wspieranej po bokach przez rajtarów kurlandzkich z drugiego. Muszkieterzy szwedzcy ustawili się w linii, przodem do polskiej jazdy i oddali salwy z muszkietów. Rozpędzona husaria Wojny mimo strat weszła w szwedzkie szeregi jak rozgrzany nóż w masło.

Bitwa pod Kircholmem, miedzioryt, 1606 r., Antonio Tempesta, zbiory Biblioteki Narodowej

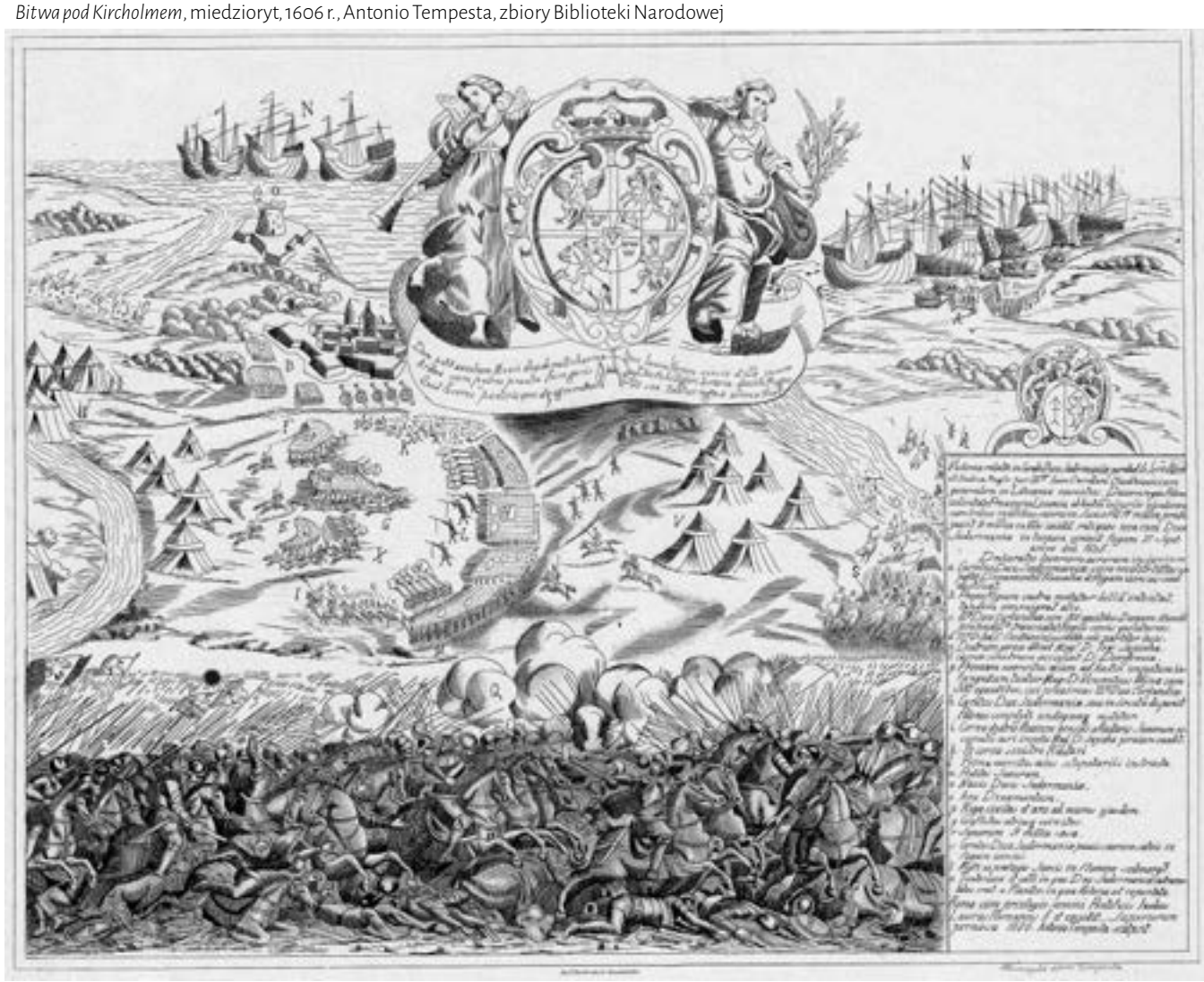

Jan Karol Chodkiewicz w czasie bitwy pod Kircholmem, rycina XIX w., autor nieznany

W tym samym czasie na prawym skrzydle husaria Sapiehy rozgromiła rajtarów Brandta, których przed całkowitym unicestwieniem uratowała jazda podesłana przez samego króla. Rozpoczęło się starcie jeźdźców i wstrzymanie natarcia Sapiehy. Chodkiewicz planował wykonać przełamujące uderzenie na lewym skrzydle, wobec czego wzmocnił husarię Dąbrowy lekką i średnią jazdą i rozkazał natarcie. Rajtarzy Mansfelda mimo podjęcia próby zatrzymania polskiego lewego skrzydła zostali rozbici, a uciekający jeźdźcy szwedzcy zaczęli tratować swoich piechurów. W międzyczasie prawe skrzydło dowodzone przez Sapiehę przy wsparciu Lackiego uwolniło się z zakleszczenia i rozpoczęło natarcie na trzeci szereg szwedzki i resztki jazdy królewskiej. Z lewego nacierał Dąbrowa, a ze środka resztki husarii Wojny i pozostałych sił polsko-litewskich. Szarża polskiej jazdy w szczególności husarii była tak potężna, że dosłownie wgniotła w ziemię szwedzką piechotę księcia Luneburskiego.

Przerażeni Szwedzi rozpoczęli gorączkowy odwrót, jedni w stronę Kircholmu inni do Rygi. Siły polsko-litewskie nie odpuszczały. Uciekających ścigano tak długo, jak tylko się dało, a straty rosły z każdą minutą. Ostatecznie bilans szwedzkich strat zamknął się w utracie połowy piechoty i przytłaczającej większości jazdy. Strona polsko-litewska straciła zaledwie 100 żołnierzy, 200 zostało rannych. Niedobitki piechoty szwedzkiej ewakuowały się na okręty i odpłynęły do Szwecji, a zdziesiątkowana jazda odeszła do Parnawy. W ten sposób zakończyła się jedna z największych batalii w historii polskiego oręża.

Pyrrusowe zwycięstwo

Mimo ogromnego zwycięstwa i triumfu Chodkiewicza nie udało się tego sukcesu przekuć również na wiktorię polityczną. W kraju doszło do poważnych niepokojów społecznych, a władzy królewskiej Zygmunta III zagroził rokosz Mikołaja Zebrzydowskiego. Zamiast wyzyskania zwycięstwa i ostatecznego wyparcia Szwedów z Inflant, Chodkiewicza odwołano do Korony, aby pomógł pacyfikować rokoszan. Szwedzi wykorzystali ten moment →

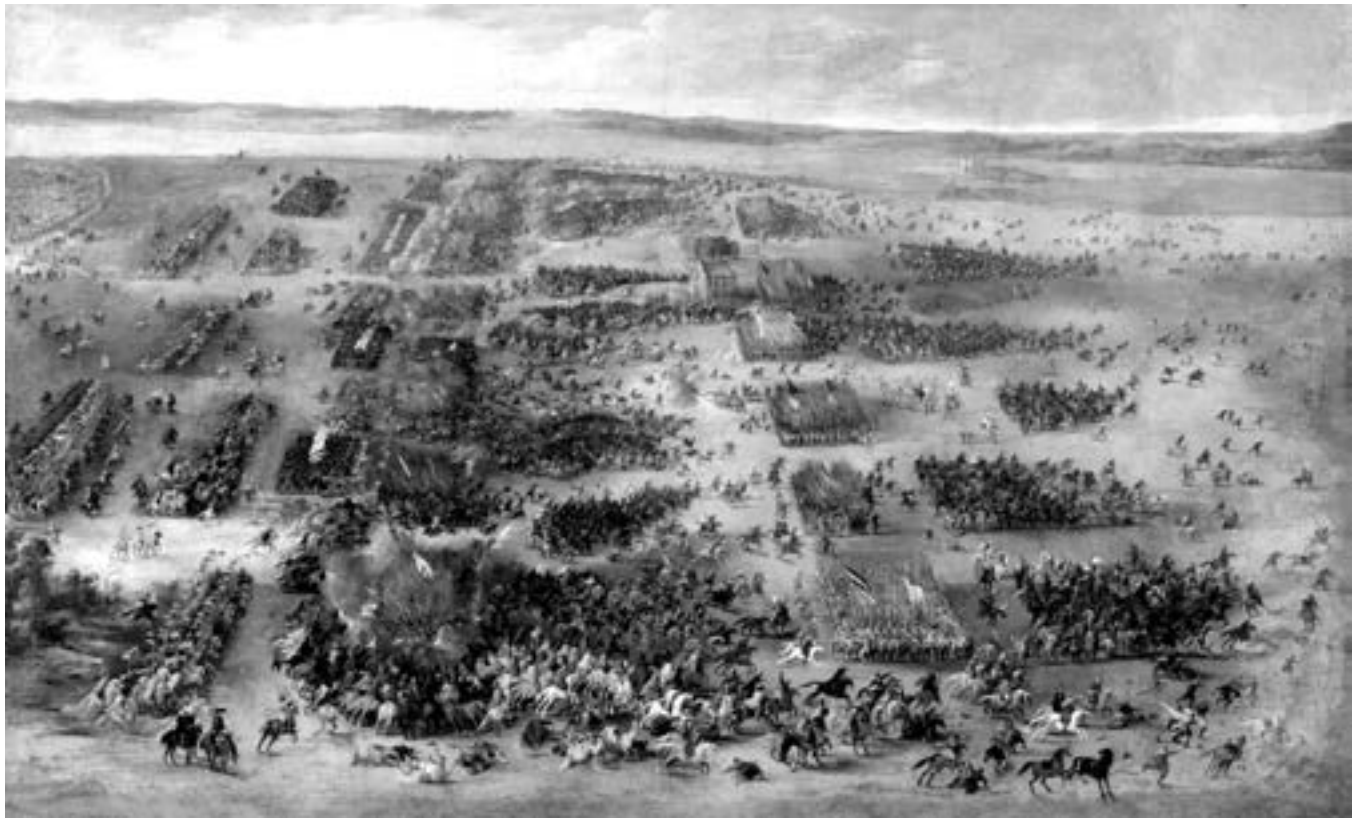

Pieter Snayers, *Bitwa pod Kircholmem*, olej na płótnie, 231,5 × 142 cm, 1630 r., zbiory Château de Sassenage

i zajęli kilka twierdz inflanckich z Dynemuntem włącznie. Po zakończeniu rokoszu i uspokojeniu sytuacji Chodkiewicz powrócił do Inflant w grudniu 1609 r. i odbił kilka twierdz w tym Parnawę, pokonał morską eskadrę szwedzką pod Salis, a nawet stoczył zwycięską batalię z Mansfeldem nad rzeką Gają, co umożliwiło odbicie Dynemuntu. Jednak koniec końców nie zadano Szwecji ostatecznego ciosu. Wojna zakończyła się zawieszeniem broni w 1611 r. w dość dziwny sposób, z uwagi na to, że obaj jej uczestnicy, po prostu zajęli się innymi bardziej palącymi sprawami i prowadzonymi konfliktami.

Bartosz Staręgowski

Po bitwie pod Kircholmem, January Suchodolski, 1848 r., olej na płótnie, 160 × 120 cm., kolekcja prywatna

(RED)

WOŁYŃ ZAPOMNIANY

Słowo o książce

Najnowsza książka Marka A. Koprowskiego *Wołyń zapomniany* (Wydawnictwo Replika 2022) upomina się o pamięć o Polakach, których II Rzeczpospolita pozostawiła za kordonem, czyli Zbruczem, Wilią i Horyniem – rzekami, na których wyznaczono granicę polsko-sowiecką. Ich tragiczny los długo pozostawał zapominany, a poniesione ofiary zaginęły w natłoku informacji o zbrodniach nacjonalistów w latach II wojny światowej. Tymczasem na sowieckiej części Wołynia, sięgającej aż za Żytomierz, również miała miejsce wielka akcja depolonizacyjna, która doprowadziła do likwidacji większości skupisk polskich. Nie można jej postrzegać jedynie przez pryzmat tzw. „akcji polskiej", w trakcie której część Polaków rozstrzelano.

Najbardziej zabójcze dla polskich skupisk okazały się wielkie deportacje, zwłaszcza do Kazachstanu. Zanim jednak do nich doszło, Sowieci próbowali pozyskać Polaków, tworząc z nich autonomiczne skupiska, polskie „mini republiki", w których wychowywaliby się „Polacy radzieccy".

W odróżnieniu od polskiej części Wołynia, gdzie stanowili jedynie 15 proc. ludności, w wielu powiatach części sowieckiej Polacy dominowali. Przykładem może być autonomia w Dowbyszu. Włączono do niej tereny zamieszkałe przez 42 tys. osób, pośród których Polacy stanowili 90 proc. Zdarzały się gminy i wsie zamieszkane wyłącznie przez Polaków. Wiele miejscowości miało swoje korzenie w szlacheckich zaściankach, które powstały tu w czasach I Rzeczypospolitej.

Książka prezentuje sytuację, jaką Sowieci napotkali po przyłączeniu tej części Wołynia ze stolicą w Żytomierzu i początki ich władzy na tym terenie. Bazując na relacjach i dokumentach, odtwarza koleje losu Polskiego Rejonu Autonomicznego, zwanego potocznie „Marchlewszczyzną". Ukazuje też następne sowieckie uderzenie skierowane przeciwko jego mieszkańcom, kiedy bardzo szybko opadł pierwotny entuzjazm komunistów ukraińskich. Zorientowali się oni, że Marchlewszczyzna nie stanie się forpocztą, gdzie będą kształcić kadry dla socjalistycznej Polski. Postanowili ją więc zlikwidować.

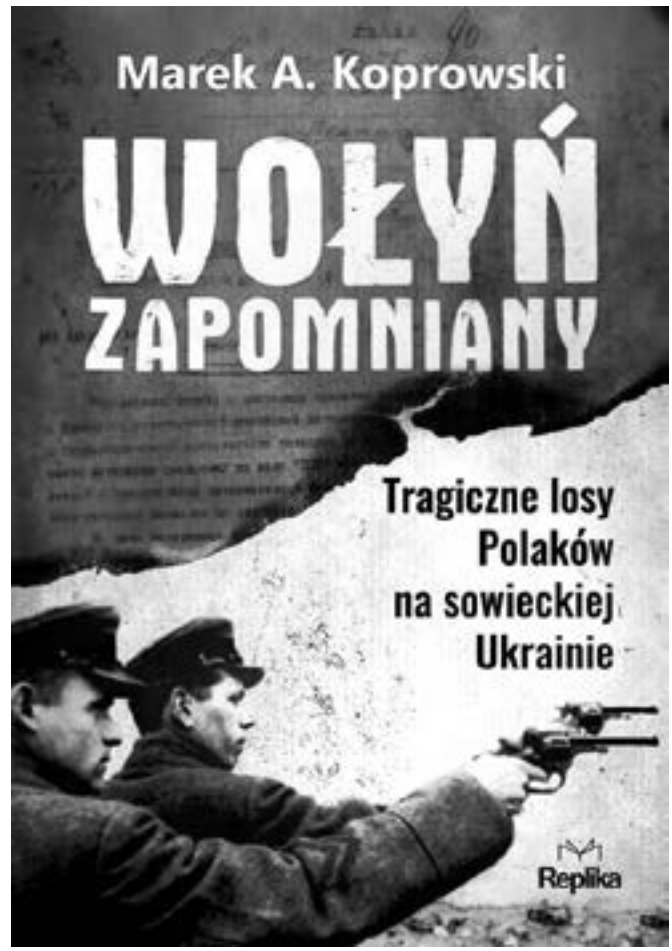

Pierwszą próbę dla mieszkańców stanowiła kolektywizacja.

Szybko okazało się, że w odróżnieniu od wsi ukraińskich, z polskich nikt nie chciał iść do kołchozu. Zafundowano wtedy Polakom Wielki Głód. Z tej książki Czytelnik będzie mógł przekonać się, jak on wyglądał na Marchlewszczyźnie. Zapozna się także z relacjami świadków, którzy będąc wówczas dziećmi, zostali nieomal… zjedzeni.

Po Wielkim Głodzie, którego ofiarą padło kilkuset tutejszych Polaków, bolszewicy rozpoczęli pogrom, polegający z początku na aresztowaniach, a później na masowych wywózkach Polaków do Kazachstanu. Zaczęły się →

one już w 1935 r., kiedy w bydlęcych wagonach deportowano ich na gołą ziemię, by zaczynali „oswajać" kazachskie stepy. Czekał ich los szczególnie okrutny. Około połowa zmarła. Życie następnych fal zesłańców było już odrobinę łatwiejsze.

Po wywózkach i likwidacji polskiej autonomii na Marchlewszczyźnie Sowieci przeprowadzili w 1937 r. tzw. „operację polską". W jej ramach wymordowali cały wyróżniający się polski aktyw, którego nie zlikwidowali jeszcze do tej pory. Z niezwykłą brutalnością tępili przede wszystkim ludzi związanych ze strukturami parafialnymi Kościoła rzymskokatolickiego. Mieli oni zostać całkowicie unicestwieni.

W kolejnych rozdziałach opisane zostały wszelkie niuanse tej zbrodni. Znajduje się w nich także odpowiedź na pytanie, dlaczego, mimo tak potężnych ciosów zadanych przez sowieckie organa bezpieczeństwa, społeczność polska przetrwała w Dowbyszu i okolicach, by dopiero obecnie ulegać ostatecznemu wynarodowieniu.

Opracowanie to nie skupia się jednak tylko ma Polskim Rejonie Narodowościowym na Marchlewszczyźnie. Traktuje szeroko również o Polakach wywodzących się z innych części sowieckiego Wołynia, zwłaszcza z rejonów nadgranicznych, przylegających niegdyś do granicy polsko-sowieckiej. Jako element niepewny zostali oni skazani w latach trzydziestych na wyniszczenie. Od 15 do 30 proc. z nich rozstrzelano, a niemal wszystkich pozostałych wywieziono do Kazachstanu.

Warto zatem przypomnieć, że historia Polaków na sowieckiej części Wołynia napisana została krwią i łzami. Ich dzieje znaczone są heroizmem prostych ludzi i cichym bohaterstwem nielicznych duchownych, którzy w czasach sowietyzacji i ateizacji, ryzykując życie za rodaków i wiarę, umacniali na Ukrainie Kościół katolicki i poczucie przynależności do narodu polskiego.

Należy zarazem pamiętać, że chociaż od upadku ZSRR minęło wiele lat, Polacy nadal muszą walczyć tam o swobodę kultywowania tradycji, nauczanie języka ojczystego i jego obecność w liturgii.

Najnowsza praca, jak większość książek Autora, oparta została głównie na relacjach ostatnich świadków oraz na dokumentach wyszukanych w archiwach i opublikowanych staraniem Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu, którego Autor jest również od dawna stałym współpracownikiem. Prezentujemy dwa rozdziały tomu Wołyń zapomniany. ■

PS Książka dedykowana jest ks. prof. Edwardowi Walewandrowi, wieloletniemu współpracownikowi naszego pisma. Autor w dedykacji napisał: „Księdzu Edwardowi Walewandrowi, profesorowi KUL, długoletniemu Przyjacielowi, osobistemu Kapelanowi, z podziękowaniem za Serce, twórczą inspirację, wszelką pomoc oraz kapłańskie rady i duszpasterskie pouczenia".

Cena oddzielnego numeru 3 kop.

Marchlewszczyzna

RADZIECKA

WYCHODZI CO 5 DZIEŃ

Rok I-szy

Organ Marchlewskiego RK KP(b)U, RKW i RKNW.

Warunki prenumeraty:

№ 13 | Marchlewsk, niedziela 6 lipca 1930 r. | № 13

ZAHARTOWANA W WALCE Z ODCHYLENIAMI OD LENINIZMU—
partja wzmocniła się i wykuła w swych szeregach—jedność!

MASY PRACUJĄCE MARCHLEWSZCZYZNY ŚLĄ BOLSZEWICKIE POZDROWIENIE—XVI ZJAZDOWI W. K. P.(b)

Ze sprawozdania politycznego KC WKP(b)

(Z dziennika zjazdu)

Wybory prezydjum i sekretarjatu XVI zjazdu

Witamy XVI zjazd W.K.P.(b).

Marek. A. Koprowski

Tropami szlacheckich zaścianków

Do Dowbysza[1] na Ukrainie rzadko zglądają goście z Polski, trudno się temu dziwić. Choć miejscowość ta leży tylko 80 kilometrów od Żytomierza, aby do niej dotrzeć, trzeba mieć dobre auto na wysokim zawieszeniu i najlepiej dwa koła zapasowe. Ten ostatni warunek jest niezbędny zwłaszcza dla tych wszystkich, którzy chcą pokręcić się po okolicach. Stan dróg jest tu fatalny. Niektóre z nich pamiętają nie tylko czasy carów, lecz także i I Rzeczypospolitej. Wszystkie miejscowości toną pośród lasów tworzących tu zwarte kompleksy. Trzeba nadłożyć sporo drogi, by z Baranówki, będącej siedzibą rejonu, dotrzeć do Dowbysza. Jednak ten, kto decyduje się na przyjazd do tej miejscowości – leżącej, zdawałoby się, na końcu świata, w której nie kupi się nowej opony – nie będzie żałował.

Na pierwszy rzut oka Dowbysz nie prezentuje się co prawda okazale i trudno w nim wypatrywać okazałych obiektów związanych z polską kulturą, ale za to polska nacja jest tu dość bogato reprezentowana. Na ponad pięć tysięcy mieszkańców stanowią, lekko licząc, czterotysięczną społeczność; jednak nie wszyscy jej członkowie wrócili do korzeni i przyznają się do swojej narodowości, choć przecież wszelkie możliwości ku temu mają stworzone. Do działającej tu parafii rzymskokatolickiej, przynależność do której jest tu wyznacznikiem polskości, formalnie zapisanych jest dwa tysiące osób. W trakcie rozmowy, nawet z mieszkańcami, którzy nie znają języka polskiego, szybko dochodzi się do konkluzji, że mają oni nie tylko dziadków, lecz także rodziców Polaków, a często i krewnych w Polsce. Praca odrodzeniowa, mimo iż trwa w Dowbyszu już od wielu lat, wciąż przynosi ograniczone efekty, co — jak się wydaje — wynika z wielu przyczyn, głównie ekonomicznych. Tutejsi mieszkańcy w pierwszej kolejności muszą walczyć o chleb, a dopiero potem myśleć np. o uczeniu się języka polskiego bądź działać na rzecz zwiększania w miejscowej szkole godzin nauczania tego języka.

Niewątpliwie jednak społeczność polska w Dowbyszu jest swoistym fenomenem na wiejskich terenach Żytomierszczyzny — tak dużej wspólnoty nie ma już nigdzie na obszarze obwodu żytomierskiego. W promieniu kilkunastu kilometrów od Dowbysza znajdują się też inne polskie osady, również oplecione wianuszkami chutorów zamieszkanych prawie wyłącznie przez Polaków. Wystarczy wspomnieć tylko Kamienny Bród, Bykówkę, Marianówkę czy Nowy Zawod. Fenomen trwania polskiej diaspory w regionie jest tym większy, że Sowieci po opanowaniu Ukrainy niczego jej nie oszczędzili. Tutejsza polskość z siłą pokrzywy wyrastała jednak zawsze spod kolejnych rumowisk.

Nawet bolszewicy, w myśl leninowskich koncepcji narodowościowych, pierwotnie postanowili uszanować zastane status quo i utworzyć w okolicach Dowbysza polski rejon narodowościowy, potwierdzając, że Polacy mogą w nim normalnie żyć i pielęgnować swoją tożsamość. Stworzyli im wszystkie mające to umożliwić instytucje. Tolerowali nawet działalność Kościoła katolickiego. Liczyli, że w miarę postępów ateizacji tutejsi Polacy odejdą od wiary, uświadamiając sobie, że stanowi ona sprzeczny z nauką pogląd na rzeczywistość.

By poznać historię Polaków mieszkających w tym regionie, trzeba złożyć wizytę w Dowbyszu przy ul. Komarowa 4. Mieszka tu Stefan Kuriata, założyciel i – niezmiennie od 1996 r. – prezes Towarzystwa Polaków im. Jana Pawła II, członek Rady Koordynatorów Prezesów Organizacji Polskich Żytomierszczyzny, fundator i kierownik społecznego dowbyskiego Muzeum Etnograficzno-Krajoznawczego oraz zapalony krajoznawca. Zgromadził on w swojej placówce wiele dokumentów i materiałów dotyczących polskiej diaspory w okolicach Dowbysza. Dziennikarze nie omijają więc jego muzeum, mieszczącego się w domu prywatnym. Zresztą nie mają wyboru. Wszyscy są na każdym kroku pytani: A u Kuriaty wy byli? Nie wypada więc Stefana Stanisławowicza nie odwiedzić, tym bardziej, że wraz z Oleksandrem Kondratiukiem wydał on książkę *Dowbysz. Historia, fakty, przeszłość i realność*. Zbytnio się nie chwali, ale podkreśla, że jego rodzina sroce spod ogona nie wypadła. Dzieliła los wszystkich polskich rodzin, zamieszkujących rozsiane po →

1 W całej książce przyjęto taki zapis nazwy miejscowości (w wersji przetranskrybowanej z ukraińskiego; inna forma: Dołbysz).

okolicznych lasach szlacheckich zaścianki, przemianowane w XIX w. przez władze carskie na chłopskie chutory, co wiązało się z pozbawieniem ich mieszkańców herbu i tytułu szlachectwa. Nie doczekali się oni swojej Orzeszkowej, która ich współbraci uwieczniłaby w polskiej literaturze jak Bohatyrowiczów. Władze carskie dokonały holocaustu; nie wyniszczyły ich co prawda fizycznie, lecz zamieniły w chłopów, pozbawiając narodowej godności. Stefan Kuriata doskonale zna historię swojej rodziny.

– Z ustnych przekazów krążących po naszej rodzinie wiem, że moi przodkowie osiedlili się w chutorze Siemaczko w 1650 r. podczas powstania Chmielnickiego – mówi Stefan Kuriata. – Pierwsze pisane ślady, zanotowane w dokumentach, pochodzą z 1820 r. Kontaktując się z krewnymi w Polsce i na Ukrainie, udało mi się sporządzić drzewo genealogiczne mojej rodziny i zanotować wszystkie podstawowe dla niej fakty. Mam taką teczkę, w której są one spisane, aż do czasów mego pradziadka Stanisława, następnie mojego dziadka Antoniego i ojca Stanisława. Razem z naszą rodziną w chutorze Siemaczko aż do bolszewickiej rewolucji mieszkało siedem rodzin. Przy pomocy starszych ludzi i badań udało mi się na miejscu sporządzić mapę topograficzną chutoru, ustalić nazwiska rodzin w nim mieszkających itp. Takich chutorów na terytorium rejonu dowbyskiego, utworzonego później przez Sowietów, było tysiąc pięćset, rozrzuconych wśród tutejszych lasów. Dzięki temu, że znajdowały się one właśnie głęboko w lasach, szczęśliwie przetrwały rewolucję bolszewicką i całą późniejszą zawieruchę wojny domowej. Jeden chutor o drugim mało co wiedział i ich mieszkańcy się nie znali. Bolszewicy też dali im spokój aż do 1929 r., kiedy to na Ukrainie zaczęła się kolektywizacja. Wcześniej jednak, bo w 1925 r., we wsi Bykówka odbyło się zebranie polskiej gromady, które ustaliło, żeby utworzyć Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego, z siedzibą w Dowbyszu. W spotkaniu tym wzięli udział przedstawiciele większości okolicznych miejscowości, wybrani wcześniej przez gromady w innych wsiach. Nie była to oczywiście inicjatywa wyłącznie oddolna, ale raczej konsekwencja odgórnej decyzji władz komunistycznej Ukrainy, które chciały stworzyć w rejonie Dowbysza ośrodek sowietyzacji Polaków. Miał on służyć wielorakim celom, przede wszystkim zaś propagować wśród Polaków idee budownictwa socjalistycznego i przekonywać o jego wyższości nad innymi sposobami gospodarowania, a także oddziaływać propagandowo na „burżuazyjną Polskę". Polski rejon stanowił też uzupełnienie stworzonego na Ukrainie systemu działających tu polskich rad, których było w sumie 170, głównie na wsiach, oraz całego systemu polskich instytucji, mających oddziaływać wychowawczo na polską społeczność w duchu określonej ideologii.

W sumie – jak ustalił Stefan Kuriata – Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego zamieszkiwało 42 tysiące osób, z których 90 procent stanowili Polacy. W niektórych miejscowościach ich odsetek był jeszcze wyższy, ludność polska stanowiła tam niemal 100 procent! Do rejonu weszły trzydzieści trzy rady wiejskie, które zostały wydzielone z rejonów: baranowskiego, nowogrodzkiego, miropolskiego, pulińskiego i trojanowskiego. Trzydzieści rad w rejonie miało charakter polski, dwie były ukraińskie, a jedna niemiecka. Powierzchnia całego rejonu wynosiła zaś 650 km^2, z tego w rolniczym użytkowaniu znajdowało się 292 002 dziesięciny ziemi (dziesięcina: 1,25 ha); bagna zajmowały 7832 dziesięciny, a lasy 27 131 dziesięcin. Na terenie rejonu funkcjonowało 7620 rolniczych gospodarstw, z których 1200 nie miało żadnego żywego inwentarza. Podstawowe źródło utrzymania większości mieszkańców stanowiła praca na roli i w lesie. Ponadto w Kamiennym Brodzie i w Dowbyszu istniały zakłady wytwarzające porcelanę, zatrudniające kilkaset osób. W Bykówce i Marianówce działały również niewielkie huty szkła.

Wielki Głód na Marchlewszczyźnie

– Wielki Głód na Marchlewszczyźnie, tak jak i na całej Ukrainie, był odgórnie zorganizowaną akcją – podkreśla Stefan Kuriata. – Jej celem było wyniszczenie najbardziej patriotycznego, najbardziej opornego na kolektywizację elementu na polskich wsiach. Przy jego pomocy władze chciały zemścić się też na najbardziej religijnych Polakach, szczególnie wrogo nastawionych do idei kolektywizacji i podatnych na wpływy kleru. W swoim archiwum mam dokumenty, z których wynika, że stanowisko księży w sprawie kolektywizacji było dla chłopów przesądzające. Duchowni twierdzili, że „kolektywizacja to jedno wielkie oszustwo, które doprowadzi do wielkiej biedy".

Władze partyjne szczególnie zaniepokojone były przedewszystkim faktem, że „klerykalna antykołchozowa agitacja" trafiała nie tylko do zamożnych chłopów, lecz także do biedoty, która wcale nie pchała się do tzw. Komitetów Niezamożnych Włościan, mających stanowić narzędzie ideologicznego nacisku na wieś Marchlewszczyzny. Można tak wnosić z raportu członka rejonowego oddziału GPU Aleksiejewa w sprawie działalności Komitetu Niezamożnych Włościan, adresowanego do przewodniczącego Rejonowego Wykonawczego Komitetu Partii z 16 marca 1931 r. Czytamy w nim:

> KNW bardzo słabo działają we wsiach Olszana, Nieborów, Huta Lubarska i Siaberka, dlatego jest

Ofiary Wielkiego Głodu – Hołodomoru (Голодомор) wywołanego we wschodniej Ukrainie przez komunistów moskiewskich w latach 1932–1933

tam brak jakichkolwiek działań w werbunku do kołchozów, jak i wychowaniu.

Przewodniczący olszańskiej organizacji KNW – F. Biernacki – zawsze przychodzi do budynku rady wiejskiej w stanie nietrzeźwym. Rzadko można go zobaczyć na posiedzeniu prezydium KNW. Ze 105 członków Komitetu do kołchozu wstąpiło jedynie 15 osób.

Przewodniczący nieborowskiej organizacji wiejskiej KNW – Ł. Borkowski – nie uczestniczy w pracach organizacji. Rzadko bywa w budynku rady wiejskiej. W związku z brakiem działań ze strony KNW we wsi do tej pory nie powstał kołchoz.

Przewodniczący lubarsko-huckiej organizacji wiejskiej KNW – F. Smoliński – nie tylko sam nie przystąpił do kolektywu kołchozowego, ale na ogólnym zebraniu organizacji KNW w swoim wystąpieniu oświadczył: „Nikt nie może nas zmusić do wstąpienia do kołchozów, niech wstępuje, kto chce. Ja nie wstępuję do kołchozu i nikt mi nic nie zrobi, a innych nie będę namawiał.

Każdy ma swój rozum". Na dzień dzisiejszy ze 180 członków KNW do kolektywu wstąpiło tam jedynie 30 osób.

Przewodniczący siaberkowskiej organizacji wiejskiej KNW – Polański – zamiast działać wśród masy członków w celu ich wychowywania i wciągnięcia do kolektywu, systematycznie nadużywa alkoholu razem z przewodniczącym ulanowskiego kolektywu, przewodniczącym siaberkowskiej rady wiejskiej – Rajkowskim – i sekretarzem rady wiejskiej. Polański ciągle zjawia się na radzie wiejskiej w stanie nietrzeźwym. W związku z tym działalność jest tam poważnie zaniedbana, rada wiejska nie posiada jakiegokolwiek autorytetu wśród wyborców. Z 65 członków KNW do kołchozu wstąpiło tylko 14.

Główną przyczyną tych negatywnych zjawisk jest brak kontroli ze strony rejonowych KNW w stosunku do organizacji działających na wsiach. Głód miał doprowadzić do śmierci m.in. Smolińskich z Lubarskiej Huty, opowiadających się za indywidualnym sposobem gospodarowania, twierdzących, że do wstąpienia do kołchozu nikt ich nie zmusi.

– Obiektywnych przyczyn dla zaistnienia głodu w rejonie nie było – podkreśla Stefan Kuriata. – Zbiory w latach 1932–33, choć mniejsze niż zazwyczaj, były wystarczające do wyżywienia ludności w rejonie. Nawet po zabraniu rezerw z magazynów, był on w stanie się wyżywić. Władze nałożyły na mieszkańców rejonu ogromne obowiązkowe dostawy zboża, zabierając im plony do ostatniego ziarenka. Tworzono do tego specjalne brygady partyjnych działaczy… Jednocześnie drastycznie ograniczono dostawy chleba do sklepów.

Protokoły z posiedzeń Biura Marchlewskiego Rejonowej Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy z okresu 1932–33 są wstrząsające. 21 maja 1932 r. informował on komitet okręgowy, że: „stan zaopatrzenia robotników w rejonie jest katastrofalny. Przez cały miesiąc maj dostarczono tylko 2,5 tony chleba, zamiast trzydziestu dziewięciu ton! Wyczerpano wszystkie możliwości zaopatrzenia w rejonie. Wśród robotników występują częste przypadki poważnego niedożywienia i puchliny głodowej. Z tego powodu szerzą się nastroje wielkiego niezadowolenia, a także zamiary ucieczki do Polski. Stan ten doprowadził do obniżenia wydajności pracy o 50%. Występują absencje w pracy do 20%, zmniejszony jest też zakres podejmowanych prac…".

Z protokołu nr 12 z nadzwyczajnego zebrania Biura Rejonowego Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy rejonu marchlewskiego, zwołanego w sprawie katastrofalnej sytuacji żywnościowej, z dnia 24 października 1932 r., zakończonego o godzinie 24:00, wynika, że Biuro jedyny sposób na polepszenie zaopatrzenia robotników w rejonie widziało w dodatkowych rekwizycjach zboża, nazywanych eufemistycznie „wzmocnieniem pracy przy skupie zboża". W protokole znajdziemy m.in. następujące słowa:

[…] dodatkowo: do postanowienia Biura RPK z 18 X zmobilizować grupę rejonowego aktywu partyjnego dla wzmocnienia pracy przy skupie zboża:

• zobowiązać wszystkich zmobilizowanych do wyjazdu na wieś do godziny 10.00 dnia 25 października, i kategorycznie wymóc wykonanie planu skupu zboża do 1 listopada;

• zaproponować sekretarzom kołchozowym organizacji partyjnych zmobilizowanie wszystkich kandydatów, członków partii i komsomolców do skupu zboża, a sekretarzy ośrodków produkcyjnych i spółdzielni zobowiązać do utworzenia do dnia 25 października specjalnych brygad do skupu zboża, które wzięłyby na siebie całkowitą odpowiedzialność za wykonanie tego zadania;

• poinformować wszystkich zmobilizowanych i sekretarzy organizacji partyjnych, że za najmniejszą próbę uchylenia się od pracy, od walki o wykonanie planu skupu zboża lub obojętnego stosunku do skupu zboża, co jest sprzyjaniem kułakom, będą natychmiast wydalani z szeregów partii;

• zobowiązać biuro RKP, pełnomocników i sekretarzy organizacji partyjnych do ściągania zboża z zamożnych gospodarstw kułackich w terminie do 24 godz., w przypadku ociągania się natychmiast stosować karę do wysokości pięciokrotnej wielkości kontyngentu i oddawać pod sąd w wypadku odmowy wykonania poleceń;

• osoby, które podpisały kontrakt i złośliwie nie chcą sprzedać zboża państwu według kontraktu, postawić przed sądem, nie dopuszczając do żadnych wyjątków;

• przewodniczącemu sądu ludowego tow. Surdulowi, naczelnikowi milicji tow. Słotwińskiemu polecić rozpatrywanie wszystkich spraw przeciwko kułakom i ociągającym się z oddaniem zboża w ciągu 24 godz., a najpóźniejszych w ciągu trzech dni. Prokuratorowi tow. Petrowskiemu polecić dopilnowanie wykonania tego postanowienia.

Tamte czasy zna dobrze z opowieści dziadka i pradziadka jeden z liderów społeczności polskiej w Dowbyszu – Czesław Karpiński.

– Głód, jak mi opowiadali, był straszny, ludzie padali jak muchy – mówi. – Dochodziło do przypadków ludożerstwa. Najgorzej sytuacja wyglądała na wsiach,

w samym Dowbyszu nie, bo tu w fabryce wydawano zupę dla pracowników i ich rodzin. Z głodu umarło tam stosunkowo mało ludzi, ale w pobliskich wsiach śmierć zebrała obfite żniwo.

Wielki Głód z własnego doświadczenia pamięta Janina Całko, nestorka polskiej wspólnoty ze wsi Natalia, mieszkająca z synem w niewielkiej drewnianej chałupce, a pochodząca ze wsi Szeremeto (dużej polskiej wsi leżącej na terenie Marchlewszczyzny, blisko Nowego Zawodu, będącej siedzibą rady wiejskiej).

– Żyli w niej, jak pamiętam, sami Polacy – wspomina Janina Całko. – W moim najbliższym sąsiedztwie mieszkali Muszyńscy, Łosiowie, Tomaszewscy, Byszewscy, Żurawscy i Milewski. W każdym domu było co najmniej po kilkoro dzieci, których wychowaniem zajmowali się dziadkowie. Rodziny składały się bowiem z kilku pokoleń. Wieś wyglądała ładnie, w całej okolicy słynęła z zamożności i dobrych gospodarzy. Wszyscy uprawiali pszenicę bądź, tak jak mój ojciec, grykę, zwaną przez Ukraińców hreczką, która dawała wysokie plony. Na polach pracowały całe rodziny, w tym także dzieci. Jak słońce wzeszło, ojciec wstawał i zaczynał obrządek inwentarza. Po nim budziła się matka, a za nią reszta rodziny, i po śniadaniu wszyscy szli na pole. Bolszewicy od razu uznali ojca za „kurkula", jak po ukraińsku nazywa się kułaka. Ziemi ojciec miał mało. Ledwie kilka dziesięcin. Posiadał dwa konie, dwie krowy, kilka świń i trochę kur. Ojciec jednak ani myślał iść do kołchozu i bolszewików się nie bał. Nałożyli na niego duże podatki, chcąc zmusić go do rezygnacji z własnego gospodarstwa. W 1932 r., gdy na wsiach zaczęły się rekwizycje żywności, chłopi, słusznie przewidując najgorsze, zaczęli ukrywać w lesie, co kto mógł: słoninę, suszone mięso i zboże. Gdyby tak nie zrobili, jeszcze zimą z 1932 na 1933 r. większość mieszkańców wsi umarłaby z głodu.

Wiosną 1933 r. wszystkie zapasy ukryte na przednówku się skończyły i najzwyczajniej nie było co jeść. Po wsi bez przerwy krążyły partyjno-komsomolskie brygady, które przetrząsały każdy zakamarek obejścia w poszukiwaniu czegokolwiek nadającego się do spożycia. Miałam wtedy jedenaście lat. Pamiętam, jak do naszego domu wpadł herszt takiej brygady, z okrzykiem: „Gdzie schowaliście chleb? Dlaczego nie oddajecie? Dawajcie!" Mama ustawiła wtedy do wygotowania trochę ziemniaków i barszcz. Gdy herszt usłyszał, że nie mamy nic do oddania, bo poprzednio zabrali nam ostatni worek gryczki, zrzucił z kuchni garnki z barszczem i ziemniakami, a gdy ich zawartość wylała się na podłogę, z wściekłością podeptał je, byśmy już w ogóle nie mieli co jeść. Kiedy wyszedł, jak zwierzęta zaczęliśmy jeść te wgniecione w podłogę ziemniaki, tak byliśmy głodni.

Po kilku tygodniach we wsi rozpętało się piekło. U mojej ciotki Kosowskiej, czyli siostry matki, zmarło z głodu dziesięcioro dzieci! W innych domach było podobnie. Niedaleko nas mieszkał gospodarz Weselski, mający dwanaścioro dzieci! Dziesięcioro z nich zmarło. Żona tego gospodarza, bardzo dobrego znajomego mego ojca, który często do nas przychodził, zaczęła gotować zmarłe dzieci, żeby ocalić od głodowej śmierci siebie, męża i dwie pozostałe pociechy. Takie przypadki ludożerstwa były na porządku dziennym. Ludzi umierało tyle, że zmarłych nie miał kto chować. W naszej rodzinie wszyscy strasznie spuchli, ale na szczęście nikt nie umarł. Ojcu udało się upolować w lesie sarenkę i to nas trochę podtrzymało przy życiu. Jedliśmy trawę, korę z drzew, różne zioła. Ja sama też chodziłam po lesie i zbierałam zioła.

Po Wielkim Głodzie nasza wieś opustoszała i już się więcej nie podniosła. Do kołchozu ojciec nadal wstąpić nie chciał. W 1935 r. został uznany za „wroga narodu" i aresztowany. Skazano go na dziesięć lat łagru i wysłano do Kazachstanu. W 1937 r., jak się po latach dowiedzieliśmy, został w łagrze aresztowany i rozstrzelany. Nas pozostawiono we wsi, ale wyrzucono z chaty, a cały majątek zabrano. Przestałam chodzić do szkoły, co bardzo negatywnie zaważyło na moim dalszym dorosłym życiu. Pozostałam „niegramotna", choć miałam bardzo duże zdolności matematyczne. Kiedy po latach zaczęłam pracować w Dowbyszu w magazynie spożywczym, jego kierownik uznał, że gdybym ukończyła szkołę, pewnie zostałabym profesorem. Na liczydle liczyłam szybciej niż on przy pomocy ołówka i kartki. Mówił, że bolszewicy mnie skrzywdzili. Cóż jednak miałam robić? Gdy po aresztowaniu ojca przyszłam do szkoły, oświadczono mi, że nie ma w niej miejsca dla córki „wroga narodu". Aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej żyłyśmy z matką kątem u krewnych i klepałyśmy biedę.

Wielki Głód pamięta też żyjący obecnie w Dowbyszu, a pochodzący z Osycznego, Samuel Arabski.

– Nasza rodzina mieszkała w Osycznem od wielu pokoleń i do rewolucji bolszewickiej należała do najbogatszych we wsi – wspomina. – Rodzice mieli duże gospodarstwo, leżące naprzeciwko cmentarza, w tej miejscowości. Jego zabudowania znajdowały się w pobliżu marmurowego pomnika, figury stojącej na grobie rodziny Baranowskiego, miejscowego ziemianina, który na założenie cmentarza ofiarował kawałek ziemi. Rodzice nie tylko mieli duży dom, w którym mieszkali z siedmiorgiem dzieci, lecz także stajnię dla czterech koni, oborę dla kilku krów, chlew dla świń, wozownię, piwnice i szopy. Pracowało u nich zawsze kilku parobków. Po rewolucji bolszewickiej mój ojciec został uznany za „kurkula numer 1", czyli kułaka, i przeznaczony do rozkułaczenia. Aby osiągnąć →

ten cel posłużono się miejscową biedotą, która rozgrabiła cały majątek rodziców, wyrzucając nas na ulicę. Przygarnęła nas nasza rodzina. Starsze rodzeństwo pojechało do krewnych w innych miejscowościach, a ja z ojcem, matką i najmłodszą siostrą zostaliśmy w Osycznem. Ojciec, by nas utrzymać, poszedł do pracy w przedsiębiorstwie zajmującym się wydobyciem torfu. Później poszedł do roboty w kuźni, był bowiem dobrym kowalem, a ktoś musiał podkuwać konie, kuć lemiesze do pługów i naprawiać inny sprzęt w kołchozie im. Marchlewskiego, który utworzono w Osycznem w 1930 r. Dzięki temu przeżyliśmy Wielki Głód – przy kołchozie działała stołówka, która wydawała zupę członkom kołchozu, jego pracownikom i ich rodzinom. Ci, którzy nie wstąpili do kołchozu, padali jeden po drugim. Po wsi chodziła brygada rejonowa, zabierająca całe zboże, do ostatniego ziarenka. Nie mieli z czego mleć w żarnach mąki i na przednówku, gdy zabrakło kartofli, umierali z głodu.

Ci, którzy należeli do kołchozu, poza zupą kradli też ziarno z kołchozu, przeznaczone na siew. W rezultacie połowa pól nie została obsiana…

Wydarzenia te pamięta także Józef Jabłoński, mieszkający obecnie w Dowbyszu, a pochodzący ze wsi Tartak. – Moje dzieciństwo zeszło na pasieniu krów – mówi. – Gdy miałem siedem lat, w 1932 r., zaczęły po wsi chodzić grupy partyjnych aktywistów i zabierać chłopom całe zapasy zboża. Ojcu udało się w lesie schować dwa worki pszenicy, które matka nocami gotowała i potem po garstce dawała nam. Dlatego w ogóle przeżyliśmy. Chodziliśmy jednak goli i bosi. Grupy komsomolców, przywożonych do wsi na rekwizycje i odwiedzające nasz dom, były zdziwione, że nie zdechliśmy z głodu; zabierały różne rzeczy, w tym buty i odzież… Ze względu na to, że ojciec postanowił, iż do kołchozu nie pójdziemy i wolimy umrzeć z głodu, wyrzucono nas z domu i kazano zamieszkać w domu dziadka. Był on niewielki w porównaniu z naszym i z trudem się w nim mieściliśmy. Zabrano nam też ziemię i cały majątek.

Z dokumentów instancji partyjnych wynika, że przyczyną Wielkiego Głodu na Marchlewszczyźnie były – poza rekwizycją zboża – narzucone rejonowi zupełnie nierealne kontyngenty mięsne, egzekwowane jeszcze w 1932 r., które całkowicie ogołociły go ze zwierząt gospodarskich i pociągowych.

Wiosną 1933 r., gdy mieszkańcy Marchlewszczyzny masowo umierali, władze partyjne nie były zadowolone z ofensywy ideologicznej realizowanej w „polrejonie". Można to wnosić m.in. z Noty informacyjnej o stanie polskich gazet na Ukrainie z 23 maja 1933 r., przeznaczonej dla WKP(b)U. „Marchlewszczyźnie Radzieckiej" zarzucono w niej niski poziom polityczny. Czytamy tu:

Charakterystyczną w tym względzie jest gazeta rejonu Marchlewskiego – „Marchlewszczyzna Radziecka".

> W rejonie tym istnieje 80 proc. gospodarstw indywidualnych, jednak gazeta nie poświęca im żadnej uwagi. Nie podaje żadnych materiałów z życia innych narodowości mieszkających w tym rejonie (Ukraińcy, Niemcy, Żydzi), nie zajmuje się internacjonalistycznym wychowaniem polskich mas pracujących, nie podaje przypadków nacjonalizmu bądź szowinizmu. Gazeta nie prowadzi szerokiej walki z wrogiem klasowym, nie demaskuje jego nowych manewrów. Całą walkę z wrogami klasowymi sprowadza do walki środkami administracyjnymi. Jest mało operatywna i niekąśliwa. Dla przykładu w dniu 6 marca opisuje brak przygotowań do przeprowadzenia akcji zobowiązań w sprawie zdawania zboża, gazeta stwierdza: „liczymy na to, że przygotowania takie zostaną natychmiast rozpoczęte".

Po tym stwierdzeniu czekano aż do 12 kwietnia. I dopiero, gdy Komitet Obwodowy zaalarmował o załamaniu się powyższego zobowiązania w rejonie marchlewskim, stwierdzono, że tak długie milczenie było błędem, ale i tak o tym szybko zapomniano.

Milcząc do kwietnia w sprawie jakości zasiewów, dopiero w związku z uchwałą Komitetu Centralnego i Rządu co do jakości wykonanych prac, w następnym numerze (nr 38) napisano, że

> „niektóre kołchozy na Marchlewszczyźnie, rozpoczynając zasiewy, nie zwracają uwagi na odpowiednią jakość prac".

W numerze 48. zamieszczono uchwałę o czystkach w partii; w numerze 49 został przedrukowany z „Prawdy" artykuł tow. Jarosławskiego. I tyle, nie zwracając uwagi na fakt, że w obwodzie kijowskim czystka ma być przeprowadzana od 1 czerwca. Jeżeli chodzi o pracę ośrodków kołchozowych, to gazeta ograniczyła się jedynie do umieszczenia (nr 50) uchwały KC KP(b)U dotyczącej ich gazety.

Po takiej ocenie dni „Marchlewszczyzny Radzieckiej" były policzone. Z braku kadr nie zdołała się „ubojowić". Na początku 1934 r. jej tytuł zamieniono na „Szturmowiec Pól" i pod tą nazwą wydawano do sierpnia 1935 r.

MAREK. A. KOPROWSKI

Maria
Józefacka

Ludzie z Polesia Wołyńskiego
we wspomnieniach Janiny Szyczewskiej

Aczkolwiek promienie słońca nie wszędzie mogą sięgnąć, w głębi parowu pleni się bujna roślinność. O przedwiośniu dominują lazurowe fale przylaszczek, późną jesienią miedzianolistne zaspy. Lato wspina się po drzewach zarastających strome stoki i sięgających koronami ścieżki biegnącej urwistą krawędzią jaru. Kolejna zima zaś to czas zastanowienia.

Nałęczów. Przyczółek Armatniej Góry. Bastion ponad rzeczną doliną.

„Często z mężem chodziliśmy tędy" – zanotowała Janina Szyczewska. – „Mąż rozpoznawał ptaki po ich śpiewie. Był zamiłowanym ornitologiem."

„Naszymi sąsiadami byli ojcowie salwatorianie. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi, odwiedzaliśmy się wzajemnie i pomagaliśmy sobie. Ojców salwatorianów odwiedzał także ks. profesor Karol Wojtyła. Zapraszał go do Nałęczowa ks. Styczeń, jego asystent w katedrze etyki KUL." Obecnie na ścianie budynku wzniesionego na spłachetku ojcowizny ks. Stycznia i ofiarowanego współbraciom umieszczono tablicę ku czci Jana Pawła II.

Szyczewscy przeprowadzili się do Nałęczowa dla poratowania zdrowia. Sytuacja była nagląca, a decyzja słuszna. „Zaczęłam pracować w Technikum Ekonomicznym CRS" – wspomina Szyczewska. „Najpierw zamieszkaliśmy w internacie. Otrzymaliśmy pokój z kuchnią i łazienką. Obiady mieliśmy w stołówce internatu. Sprzedaliśmy willę przy ul. Słonecznej w Lublinie, aby za te pieniądze zbudować podobną blisko szkoły. W ciągu półtora roku stanął piętrowy dom. W zakupie materiałów pomogła nam Gminna Spółdzielnia. Zajęliśmy parter, górę wynajmowaliśmy wczasowiczom. Cała działka wraz z ogrodem miała 800 m^2. W ogrodzie rosły jabłonie, śliwy i krzewy ozdobne. Mąż bardzo polubił to miejsce."

Z pewnością również ks. profesor Wojtyła czuł się tam dobrze; zaglądał na podwieczorki, pogaduszki i wspominki. Może to zresztą zasługa duchowego mikroklimatu pobudzającego do współdziałania, do wspólnoty.

Szyczewscy pochodzili z Polesia Wołyńskiego.

Władysław Kopałło, ojciec Janiny, należał do pokolenia Polaków, którzy na przełomie XIX i XX wieku starali się tworzyć nową jakość utraconego świata. Dynamiczny rozwój gospodarczy był w ich zasięgu, jakkolwiek wymagało to gruntownej wiedzy, wytężonej pracy i żelaznej dyscypliny. Przemysł rolno-spożywczy na żyznych glebach rokował jak najlepsze perspektywy. Jedną z jego gałęzi, jaka zaczęła słynąć w całej Europie, stało się cukrownictwo. Władysław Kopałło podjął pracę w Żytyniu w powiecie równieńskim jako szef biura cukrowni, a następnie dyrektor administracyjny. Okazał się troskliwym gospodarzem o horyzontach rozległych. Dookolne wioski ukraińskie zajmujące się produkcją rolną dostarczały surowiec najwyższej jakości. Cukrownia zatrudniała ponad 700 wykwalifikowanych robotników zapewniając im mieszkania, opiekę medyczną, znaczne wynagrodzenia, ale też wykształcenie dla dzieci. Niektórzy robotnicy wywodzili się jeszcze od żołnierzy napoleońskich. Mieli nazwiska polskie albo francuskie, ale pomiędzy sobą rozmawiali po polsku. „Mój ojciec założył w Żytyniu tajne polskie przedszkole, w którym wychowawczyni uczyła zabaw, śpiewu, rysunków oraz czytania i pisania po polsku. Opłacana była przez cukrownię. Ojciec sprowadzał elementarze z Krakowa. Przez granicę przewoził je przekupiony żandarm rosyjski."

„Nasze dzieciństwo w Żytyniu do czasów I wojny światowej było bardzo szczęśliwe i spokojne" – zapamiętała Janina urodzona w 1905 roku. Razem z młodszą o cztery lata siostrą miały bonę, rodowitą Francuzkę oraz nauczycielkę, Zofię Śmigielską, z którą dziewczynki bardzo się zżyły, i która dbała o stałe poszerzanie ich umiejętności i wiedzy zwłaszcza w zakresie polskiego, matematyki i przyrody. Najbliższymi towarzyszami zabaw były dzieci dyrektora technicznego cukrowni, Jerzego Jarzembskiego, którego żona, z pochodzenia Niemka, zapoznawała młodych ze swoim rodzimym językiem,

„Do kościoła jeździliśmy do Szpanowa odległego o 9 km. Ponieważ w budynku cukrowni znajdowała się kaplica, w niektóre niedziele i święta odprawiał w niej mszę św. ksiądz Skudowicz. W tejże kaplicy, ale już bez księdza, mieliśmy również nabożeństwa majowe i różańcowe. Cerkiew z kolei znajdowała się 3 km dalej, w Horodyszczu." →

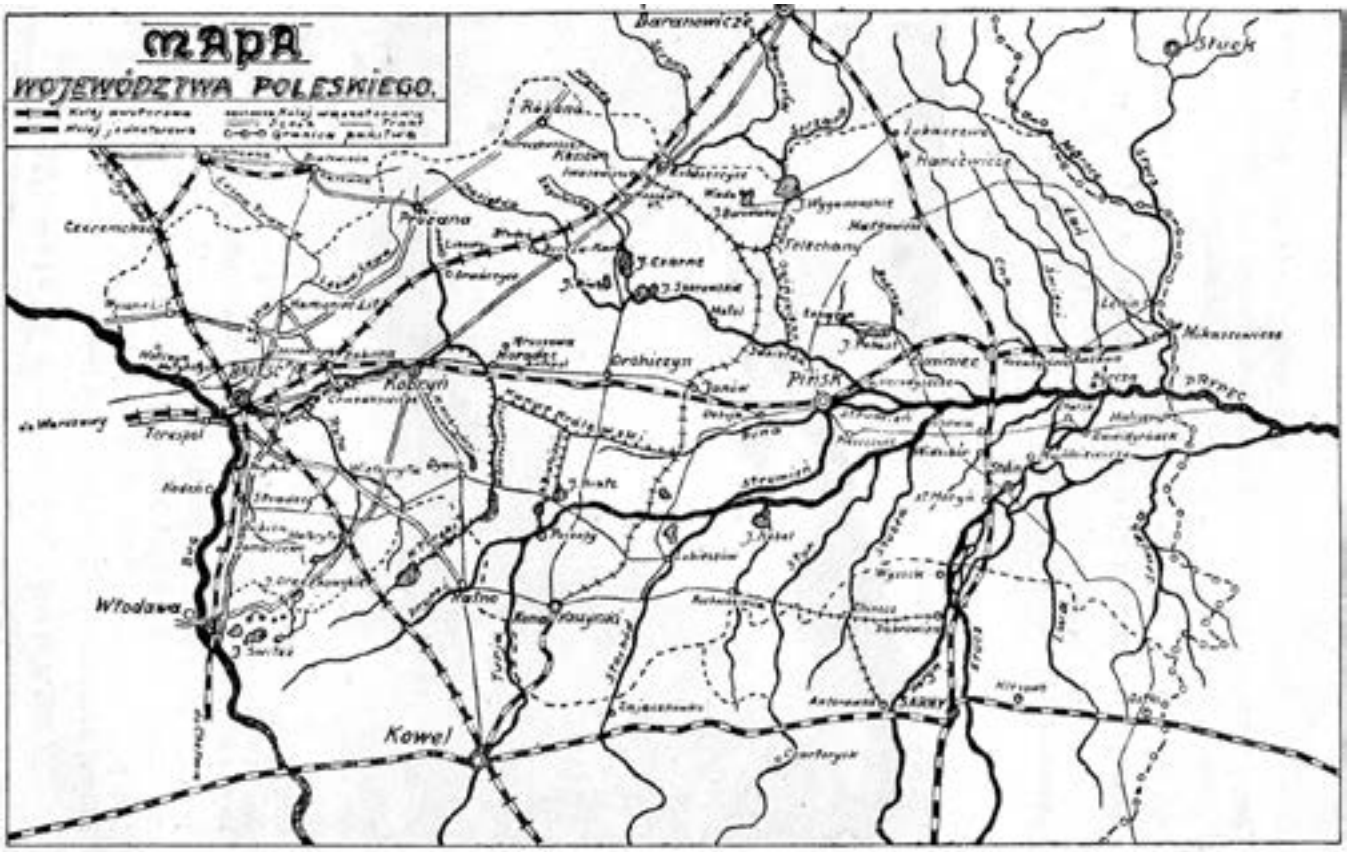

W dobie fermentu niepodległościowego młodzi Polacy z Polesia i z Wołynia przedostający się przez zieloną granicę do Galicji niejednokrotnie zatrzymywali się u Kopałłów. Stopniowo ich dom stawał się ostoją polskości.

Wybuch I wojny światowej zaznaczył się w pamięci dziecka zbliżającą się kanonadą artyleryjską. Zakład w Żytyniu podlegający Towarzystwu Warszawskich Cukrowni ewakuowano na wschód do cukrowni Romny wraz z robotnikami, ich rodzinami oraz maszynami. Kopałłowie wyjechali koleją do Kijowa. W obszernym lokalu przy Mikołajewskim Placu powstało biuro zajmujące się administracją w nowej lokalizacji.

Dzieci zachwycały się Kijowem: jego malowniczym usytuowaniem na wzgórzach, zabytkami, ogrodami dostępnymi dla publiczności, Teatrem Polskim, gdzie oklaskiwano „Krakowiaków i Górali" oraz „Obronę Częstochowy". Uciechę małym łasuchom sprawiał też cukierniczy sklep Fruzińskiego z Warszawy i sławetny lokal Pana Gołąbka: „François", wspominany czule przez m.in. Jarosława Iwaszkiewicza. Do dziecinnych atrakcji trzeba też zaliczyć stały cyrk. „Życie towarzyskie mimo wojny było bardzo rozwinięte."

W 1915 roku dziesięcioletnią Janinę posłano do polskiej szkoły, której patronowała carewna Tatjana Mikołajewna Romanowa nosząca wojskowy strój sanitariuszki. W klasie wstępnej nie uczono rosyjskiego, a carewna zaprosiła całą szkołę do cukierni „François" na ciastka i czekoladę. Dziewczęta działały w zespole teatralnym wystawiającym żywe obrazy z deklamacjami i piosenkami popularnymi i patriotycznymi. Aczkolwiek w Kijowie działała już polska drużyna skautów, panienki znalazły się poza zasięgiem. Funkcjonowały dwa polskie kościoły. W jednym z nich, u św. Mikołaja, jedenastoletnia Janka z rąk ks. Kozakiewicza przyjęła pierwszą komunię świętą.

Kiedy front się przesunął w 1916 roku, żytyńska cukrownia wraz ze wszystkimi pracownikami i parkiem maszynowym wróciła na swoje miejsce i zaczęła w miarę normalnie funkcjonować. Janka pobierała nauki w domu, zaś na egzaminy jeździła z rodzicami do szkoły polskiej w Kijowie.

W Żytyniu podczas okupacji niemieckiej cukier produkowano ze sprowadzanej melasy. „Pamiętam, że pułkownik niemiecki stacjonujący na kwaterze w Żytyniu bywał u nas czasem na kolacji. Na prośbę mojej matki rozmawialiśmy z nim po francusku. Przychodził do nas z pięknym psem. Raz przyniósł nam czekoladę."

„Gdy wskutek międzynarodowych rokowań Niemcy opuścili Wołyń, czas stawał się niespokojny. Żołnierze rozproszonej armii rosyjskiej sprzedawali broń za ruble. Można było kupić nie tylko pistolet czy karabin, ale nawet armatę. Skorzystał z tego mój ojciec. Zaopatrzył robotników cukrowni w karabiny i amunicję. Około 700

uzbrojonych robotników pod dowództwem mojego ojca odpierało napady band komunistycznych i rabusiów. Pewnego razu zatrzymano ojca i postawiono pod ścianą na rozstrzelanie. Uratowali go robotnicy zapewniając, że należy do nich."

Bandytów przyciągały zwłaszcza magazyny pełne worków z cukrem. „Mój ojciec wydawał specjalne pieniądze z pieczątką i swoim podpisem, za które można było otrzymać określoną ilość cukru. W ten sposób, dzięki wymianie, mogliśmy zaopatrywać się w żywność u okolicznych chłopów."

Za bramą cukrowni znajdowały się obszerne murowane i solidne budynki dla pracowników oraz ich rodzin zwane kazarnami. Tutaj często znajdowali schronienie przeróżni uciekinierzy. Ponieważ zakład zatrudniał lekarza i kilka pielęgniarek i posiadał też nieźle zaopatrzoną aptekę, udzielano niezbędnej pomocy medycznej. Bolszewicy jakoś nie zniszczyli szpitala."

„Pewnej nocy dostaliśmy wiadomość, że szykuje się napad z ostrzałem artyleryjskim. Ojciec usiłował dodzwonić się z biura do pobliskiego Rzeszucka. Musiał uciekać przez okno, gdy bandyci wdarli się do budynku."

Następnego dnia o świcie zbudziła nas wiadomość, że polskie wojsko jest tuż. Wyskoczyliśmy na zewnątrz i zobaczyliśmy ułanów i strzelców konnych. Ludzi ogarnął istny szał radości, gdy okazało się, że nadciąga również duża grupa piechoty. Był rok 1919. Prześcigano się, kto będzie miał u siebie żołnierza na kwaterze. Poczuliśmy się bezpieczni.

„W naszym domu zatrzymała się komisja graniczna opracowująca wytyczne w kwestii granic. W tym czasie też dotarły do nas nowe polskie pieniądze: marki. Były to duże arkusze o bardzo niskiej wartości."

Krótki czas względnego spokoju przeminął i w 1920 roku znowu trzeba było uciekać. Wszystkie konie i pojazdy cukrowni oddano do dyspozycji pracowników i ich rodzin. „Ja z siostrą Ireną, z babunią (matka mamy) z mamą oraz z nauczycielką i z ojcem wyruszyliśmy powozem. Najniezbędniejsze rzeczy wieźli młodzi furmani na wozach, które nam towarzyszyły.

Rzekę Bug przekroczyliśmy w Strzyżowie, gdzie była cukrownia. Po drodze spotkaliśmy Władysława Szyczewskiego i wszyscy zatrzymaliśmy się w Lublinie. Tu młodzi furmani natychmiast zaciągnęli się do polskiego wojska.

„Przez pewien czas mieszkaliśmy w Piaskach Luterskich u pana Dereckiego, a następnie we dworze Budnego w Jastkowie. Potem, gdy do Lublina zbliżali się bolszewicy, wyruszyliśmy w stronę Warszawy. Po drodze nocowaliśmy w dworach lub w zagrodach chłopskich.

Wszędzie przyjmowano nas bardzo gościnnie i z życzliwością.

W Odrzywole ks. proboszcz zaprosił nas do pomocy przy zbiorze gryki. Przez kilka dni nocowaliśmy tam na plebanii.

„Następnie dotarliśmy do cukrowni w Dobrzelinie pod Kutnem. Spędziliśmy tam kilka miesięcy rozlokowani w budynkach cukrowni, otoczeni życzliwą opieką jej dyrektora.

Ojciec otrzymał polecenie od Towarzystwa Cukrowni w Warszawie, aby zastąpił dyrektora z Włostowa pod Sandomierzem, który zgłosił się na ochotnika do wojska i poszedł na front.

„Kiedy jechaliśmy na tę nową placówkę, spotkaliśmy po drodze w Radomiu Stanisława Szyczewskiego z Tomaszgrodu-Sechy wraz z żoną i synem Kazimierzem. Zatrzymali się w Krzyszkowicach. My zaś we Włostowie przebywaliśmy do końca sierpnia 1920 roku. Pułkownik Wasilewski, który nas odwiedził, opowiadał o cudzie nad Wisłą, gdy nasze wojsko u bram Warszawy rozgromiło armię bolszewicką pomimo jej liczebnej przewagi.

„W parę tygodni później nasi robotnicy z Żytynia odnaleźli nas i odwieźli z powrotem do ocalałej cukrowni."

WOJEWÓDZTWO POLESKIE.

(PROSPEKT PRZEWODNIKA).

... W postrzały wjeżdżasz wiatka,
w słonecznej dżdżystej i ulewie.
Droga pójdzie ci przez błota,
po nich długi pomost spłynie,
w oczeretach oko zgłodzi...
(W. Pol, Pinsk o Ziemi naszej)

Lat według mieszkańców Dietrichs

NAKŁADEM
KOŁA POLSKIEGO T-WA KRAJOZNAWCZEGO W BRZEŚCIU N/BUG.
— 1933 —

Równe, gmina Równe, powiat równieński, województwo wołyńskie, foto lata 30. XX w.

Janina pilnie zabrała się do nauki, aby nadgonić stracony czas. Pracowała pod kierunkiem tej samej nauczycielki. Od 1921 roku dojeżdżała do szkoły Macierzy Polskiej w Równem, którą współtworzył jej ojciec oraz Jerzy Jarzembski. „W roku 1923 zdałam maturę jako 17-1etnia panna. Chłopcy, którzy poszli na wojnę teraz zdawali egzamin jako dwudziestoletni oficerowie. Odnowiona została znajomość z Wiesławem Jarzembskim, który następnie ukończył Politechnikę we Lwowie, został dyrektorem cukrowni koło Tarnowa. Znowu poszedł na front podczas II wojny światowej.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości młodzież rwała się do działania. W Żytyniu założono polską szkołę podstawową, w której pracowały trzy nauczycielki. Do różnych szkół w Równem dojeżdżało z Żytynia ok. 30 osób. Początkowo odwożono całą tę gromadę omnibusem zaprzężonym w trzy konie. Później Kopałło kupił im autobus. Ożywiło się życie sportowe. Obok cukrowni znajdowały się boiska do siatkówki i koszykówki, kręgielnia, korty tenisowe i urządzenia do krykieta, maszyna do wyrzucania rzutków na strzelnicy. Organizowano zabawy taneczne, działał teatr amatorski. Harcerską drużynę męską utworzył Wiesław Jarzembski, żeńską Hanka Licińska z Warszawy, która przeszkoliła Jankę jako swą następczynię. Do drużyny zapisało się ponad 20 dziewcząt. Pieniądze na wycieczki, „choinki" itp. zarabiano produkując guziki do bielizny pościelowej. Tej młodzieży wydawało się, że naprawdę świat do nich wszystkich należy. Wspominając ten okres po latach Janina pewna była, że właśnie wtedy zgromadziła niewyczerpalne zasoby hartu i pogody ducha.

„Zielem na kraterze" nazwał Melchior Wańkowicz młodą generację, która wchodziła w świat w międzywojniu. Świeżo upieczona maturzystka z Polesia Wołyńskiego chciała się dostać na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Nie przyjęto jej ze względu na młody wiek (17 lat). Na drugi dzień poszła jeszcze raz do dziekana. „Specjalnie się uczesałam tak, żeby wyglądać poważniej. Ale i to nie pomogło" – napisze później z rozżaleniem. Ujęty wytrwałością nastolatki dziekan zasugerował, aby spróbowała startować w Akademii Handlowej. Posłuchała i została przyjęta.

„Zamieszkałam u sióstr Sacré Coeur w internacie dla studentek. Nazywano nas »starszymi uczennicami«. Obowiązywała surowa dyscyplina. Na drugi dzień mego tam pobytu wyszłam z opieką pod pozorem bólu zęba. Opiekę »zgubiłam«, udałam się na dworzec kolejowy, kupiłam bilet i uciekłam do domu." Córkę wysiadającą z pociągu zauważył przez okno ojciec i zatelefonował do matki, aby wyjaśnić sprawę. Następnego dnia odstawiono krnąbrne dziecko z powrotem. Musiała pokornie przepraszać, najadła się wstydu i później nie próbowała już takich numerów, aczkolwiek z nielegalnymi wypadami „do miasta" jakoś sobie radziła. „W Akademii Handlowej uczyłam się

prawa, ekonomii, towaroznawstwa, handlu zagranicznego i nauki o giełdzie." Nie przeczuwała, że ta praktyczna wiedza kiedyś w jej życiu zaprocentuje.

„W internacie opiekowały się nami zakonnice z wyższym wykształceniem zwane matkami. Uczyły nas języków obcych. Ćwiczyłam się w konwersacji po francusku, angielsku i niemiecku. Po polsku można było rozmawiać wyłącznie w czwartki i w niedziele.

„Do teatru lub operetki chodziłyśmy pod opieką świeckich pań wychowawczyń mieszkających z nami w internacie. Siostry, które nie miały wyższego wykształcenia pełniły wiele obowiązków jako pracownice obsługi. Duży ogród wokół klasztoru zapewniał nam rekreację i możliwość uprawiania sportów.

Ormianin, ks. kapelan Bogdanowicz odprawiał dla nas niedzielne msze św. o 7 rano w szkolnej kaplicy. Po południu uczestniczyłyśmy w nieszporach z konferencjami ks. Dobieckiego, który później zginął pod Zbarażem. Spowiadał nas ks. Kosztyła, a rekolekcje wielkopostne prowadził znakomity mówca ks. Česnak."

„Po roku przeniosłam się na uniwersytet na wydział przyrodniczy. Razem z Polakami studiowało tu wielu Ukraińców. Działała Bratnia Pomoc. Studenci gorzej sytuowani otrzymywali ze składek zapomogi na opłacenie stancji. Wydawano liczne skrypty, wypożyczano podręczniki. Kawiarnia Bratniaka stanowiła ulubione miejsce spotkań. Miasto kochało studentów. Restaurator Skowron wydawał codziennie 15 bezpłatnych obiadów dla najuboższych. Główna ulica Lwowa nosiła nazwę Akademickiej."

Na wakacje Janina wracała do rodziców. Następowała pora wycieczek po bliższej i dalszej okolicy. Kraj lat dziecinnych zachwycał wspaniałą przyrodą i swobodą. Konne spacery po lasach i polach urozmaicał przyszły mąż, Kazimierz Szyczewski, zapalony automobilista, który coraz częściej zaglądał do Żytynia z odległego o 200 km. Tomaszgrodu.

W trzy lata później Władysław Kopałło otrzymał odpowiedzialne stanowisko w Banku Cukrownictwa w Poznaniu, dokąd przeniosła się cała rodzina. Janina kontynuowała studia. Upodobała sobie zwłaszcza zajęcia z chemii nieorganicznej u prodziekana prof. Miłobędzkiego. Pogłębiała wiedzę w zakresie matematyki, filozofii i pedagogiki, specjalizowała się jednak głównie w chemii organicznej i nieorganicznej, botanice z fizjologią roślin oraz w zoologii z anatomią zwierząt. Po zaliczeniu czterech lat studiów i napisaniu końcowej rozprawy uzyskała dyplom magistra w zakresie nauk przyrodniczych.

Pierwsza praca nauczycielki biologii w żeńskim gimnazjum Sacré Coeur 50 km od Poznania – już na nią czekała. Szkoła mieściła się w budynkach fundacji amerykańskiej. Wymogi przypominały placówkę lwowską. Nacisk kładziono na biegłą znajomość języków obcych. Zajęcia w tym zakresie prowadziły cudzoziemki. Mary Waddington rozmawiała z uczennicami tylko po angielsku, a Madelon do Raimond po francusku. Nie szczędzono pieniędzy na wyposażenie pracowni biologicznej, którą z entuzjazmem urządziła Janina, angażując się również w działalność młodzieżowych organizacji: PCK, harcerstwo, Ligę Obrony Powietrznej. Wychowanki szkoły zapraszane były do Poznania na pokazy lotów aeroplanów. Podczas wakacji młoda nauczycielka uczestniczyła w kursach przysposobienia wojskowego kobiet.

„W 1931 r. mój ojciec przeniósł się do pracy w cukrowni Budnego w Rejowcu, gdzie został szefem biura." I znowu cała rodzina podążyła za nim.

„Otrzymałam więc w 1932 r. posadę nauczycielki biologii w Seminarium Nauczycielskim w Chełmie, a siostra Irena nieco wcześniej zapisała się do Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Snopkowie koło Lwowa. Szkoły tej jednak nie ukończyła, gdyż w roku 1932 wyszła za mąż za Mieczysława Horodyskiego, inżyniera zatrudnionego w cukrowni w Rejowcu.

„W tym też roku zaręczyłam się z moim kuzynem Kazimierzem Szyczewskim. Ze względu na poważną chorobę jego ojca uroczystość odbyła się w ścisłym gronie rodzinnym.

W Chełmie wraz z dwiema nauczycielkami wynajęłyśmy domek jednorodzinny o trzech pokojach. Na obiady chodziłam do prywatnej stołówki, a w każdą sobotę jeździłam do rodziców. Seminarium Nauczycielskie mieściło się w budynku poklasztornym przy cerkwi. Była to szkoła żeńska. Uczennice pochodziły przeważnie ze wsi, grzeczne, pilne i spokojne.

Dyrektorka Seminarium, dr Jadwiga Młodowska, uczyła biologii. Ofiarnie pomagała ubogim, udzielała się też w licznych organizacjach młodzieżowych. Słynęła z pełnej poświęcenia działalności społecznej. Jedna z ulic w Chełmie nosi obecnie jej imię.

Na zlecenie Ministerstwa Wyznań i Oświecenia Publicznego zajmowałam się eksperymentalnym nauczaniem biologii metodą Daltona. Pracą moją kierowała ministerialna wizytatorka pani Michałowska, która często przyjeżdżała na kontrolę i udzielała mi wskazówek. Na każdą lekcję należało naszykować pomoce naukowe oraz instrukcje do samodzielnej pracy uczennic."

„Prywatnie zajęta byłam przygotowaniami do nowego etapu w moim życiu. Poślubiłam Kazimierza Szyczewskiego i po roku pobytu w Chełmie wróciłam na Polesie Wołyńskie, za czym tęskniłam."

„Teść, który zmarł w miesiąc zaledwie po naszym ślubie, podzielił majątek pomiędzy syna Kazimierza i córkę →

Marię Bohusz-Szyszko. Matka męża zamieszkała z nami i prowadziła gospodarstwo domowe; po dwóch latach zmarła. Staraliśmy się uporządkować bardzo zapuszczony majątek, który dotychczas przynosił raczej straty niż zyski. Początkowo wydawało się, że jest to zadanie ponad siły. Nagle musiałam się nauczyć efektywnego zarządzania lasami, gospodarką rolną i rybacką. Całość powierzchni dóbr ziemskich wynosiła 7500 hektarów, w tym lasów około 7 tys. ha, zaś roli z łąkami ponad 40 ha. Do tego dochodziły kamieniołomy granitu w Jarowym Dziele położone w odległości 6 km od dworu."

Największe zyski czerpano z granitu używanego na pomniki i do budowy dróg. Rozległe Jezioro Tuchowskie oraz stawy rybne zasilane przez wody rzeki Iwy przynosiły stały dochód z hodowli karpi wysyłanych wagonami aż do Warszawy. Ceniono je, ponieważ ryba była zdrowa, „bez pasożytów i bardzo smaczna."

„Należał do nas również majątek Wnory koło Łomży o powierzchni 300 hektarów. Ziemia tam była bardzo urodzajna. Rozparcelowaliśmy ją pomiędzy okolicznych rolników. Za pieniądze otrzymane z biura parcelacyjnego nabyliśmy willę w Lublinie przy ul. Słonecznej, gdzie na stare lata zamieszkali moi rodzice."

Młodzi Szyczewcy skupili się na gospodarowaniu w Tomaszgrodzie-Sechach, w najbliższej sercu małej ojczyźnie.

„Historia Tomaszgrodu sięga czasów zamierzchłych" – zaznacza z uzasadnioną dumą nowa mieszkanka. „Świadczyły o tym istniejące jeszcze w okresie międzywojennym krzyże runiczne z granitu na polach obok dworu Sechy. Były one wysokie na 1 metr, uczynione z pojedynczych głazów.

Na pobliskiej Świętej Górze ludność miejscowa chroniła się podczas najazdów Tatarów. Krążyło na ten temat wiele opowieści. W lesie na uroczysku znajdowały się cztery pnie sosnowe z wywierconymi otworami mające ongiś służyć jako krosna do wyrobu tkanin. Znaleźliśmy też bardzo starą łódź uczynioną z pojedynczego kloca. Rozsypała się w proch przy dotknięciu – tak już była zmurszała.

Wieki temu Tomaszgród należał do potężnego i starodawnego rodu Holszańskich. Następnie osiedlili się tu Czetwertyńscy. Dopiero w XIX wieku przeszedł w ręce Szyczewskich.

Nasza siedziba w Sechach funkcjonowała początkowo jako zamek obronny. Świadczyły o tym granitowe piwnice o sklepieniu gotyckim, fosa mająca połączenie z rzeką Iwą oraz most zwodzony. Studnia z kryniczną wodą – znajdująca się w piwnicach – została zasypana, fosa jednak pozostała.

Parterowy drewniany dwór (pompatycznie przez miejscowych nazywany niekiedy pałacem) zbudowali w XVI wieku Czetwertyńscy. Wysoki spadzisty dach kryty był początkowo gontem, następnie blachą ocynkowaną. Do głównego budynku przylegały dwie oficyny. W jednej mieściły się pokoje gościnne, w drugiej: kuchnia, piekarnia i pokoje służby. W kamiennych ścianach ukryto potężne piece spisujące się bez zarzutu nawet w najtęższe mrozy. Pokoje i salony w głównym budynku miały stropy drewniane z gipsową sztukaterią, ściany pokrywały tapety sprowadzane z Warszawy. Stylowe umeblowanie dębowe, mahoniowe i palisandrowe dopełniało obrazu. W obszernej sieni umieszczono na ścianach trofea myśliwskie.

Był w tych okolicach raj dla myśliwych. W odległości kilkudziesięciu kilometrów znajdował się Dawidgródek Karola Radziwiłła. Stamtąd zachodziły do naszych lasów łosie.

Generał angielski Carlo de Viard upodobał sobie Polesie. Kupił od Radziwiłła wysepkę na Prypeci i zbudował tam pałacyk myśliwski, który z zewnątrz wyglądał jak skromny dworek, urządzony był jednak z wyjątkowym przepychem. Nazywano go z angielska »bungalow«. Zjeżdżali się tam zagraniczni goście. Podczas II wojny światowej generał walczył na froncie zachodnim."

Kazimierz Szyczewski zainspirował myśliwych, aby sfinansowali budowę utrakwistycznej szkoły powszechnej z językiem polskim i ukraińskim we wsi Staryki. Uczyli tam Polacy, kładąc szczególny nacisk na przedmioty ścisłe i przyrodnicze.

„W roku 1919 bolszewicy splądrowali dwór." Po powrocie Szyczewscy starali się naprawić szkody, co okazało się daremne, bo w 1939 r, wszystko zostało zmiecione z powierzchni ziemi.

Rozległy park wraz z porządnie utrzymanym sadem zajmował powierzchnię ok. 5 hektarów. Dalej znajdowały się zabudowania folwarczne. W parku na granitowym fundamencie stała niewielka drewniana kaplica zbudowana przez Czetwertyńskich w XVI w. W głównym ołtarzu znajdował się obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Około roku 1909 Stanisław Szyczewski, późniejszy szambelan papieski oraz jego brat Józef zbudowali pół kilometra dalej drewniany kościółek pod wezwaniem św. Stanisława biskupa. Przeniesiono tam ołtarz główny z kaplicy. Kościół ten spłonął w 1943 r, podczas bitwy banderowców z kowpakowcami.

Gdy młodzi Szyczewscy pełni zapału, ambitnych planów wyrosłych z wiedzy, przemyśleń i marzeń rozpoczynali wspólne życie, zabiegali o to, aby utworzyć miejsca pracy i warunki rozwoju dla okolicznych mieszkańców. Panował ogólnoświatowy kryzys, były to więc zuchwałe plany.

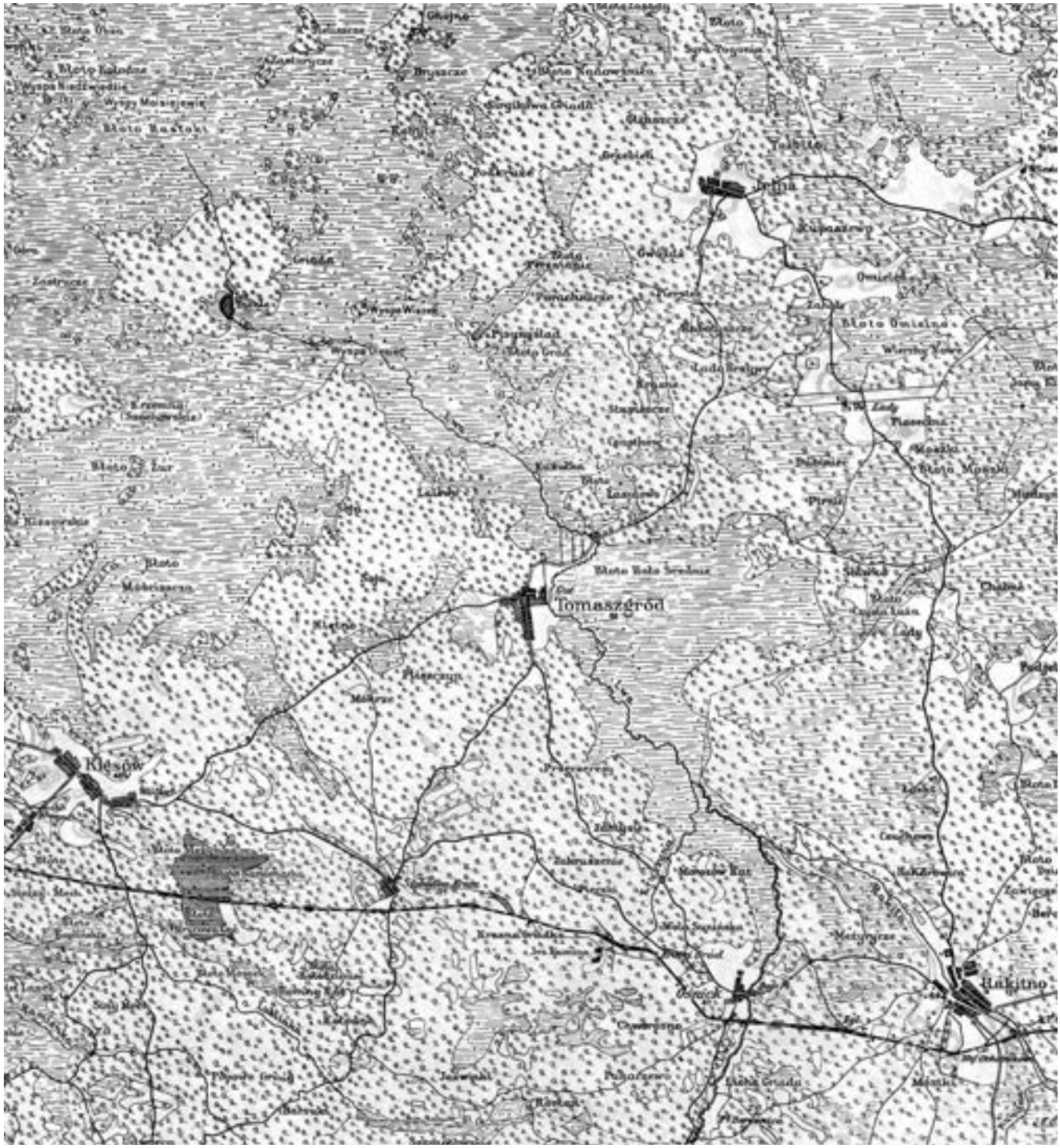

Wojskowa mapa austriacka 1917 r., zbiory Polona

„Do roku 1939 sprawy majątku w Tomaszgrodzie-Sechach udało się pomyślnie uregulować. Gospodarka leśna została racjonalnie urządzona. Czuwało nad nią kilkunastu kompetentnych leśników. Plan wyrębu został zatwierdzony przez władze państwowe. Plan zagospodarowania również. Kupców nie brakowało. Naszym administratorem był Rusin. Na folwarku zatrudnialiśmy wyłącznie miejscowych. Dziadek Kazimierza osadził był na gruntach dworskich liczne zubożałe rodziny. Z kolei jego ojciec w 1920 r. ofiarował tysiąc hektarów na osadnictwo wojskowe. Starodawna szlachta zagrodowa zamieszkująca Łomsko, Puchaczówkę, Staryki i inne wioski w okresie zaborów przechodziła na prawosławie i wskutek tego ulegała rusyfikacji.

W II Rzeczpospolitej Kościół działał apostolsko i ewangelizacyjnie, toteż zaczął się proces powrotów do katolicyzmu, co uważano poniekąd za repolonizację.

Cenionym i lubianym duszpasterzem okazał się ks. Antoni Chomicki, proboszcz w Klesowie odległym od Tomaszgrodu o 12 km. Wysoko ceniony i lubiany przez →

parafian udzielał się też w harcerstwie. W czasie okupacji nie opuścił swej parafii. Należał do AK, pomagał też radzieckim partyzantom. Zdarzało się, że na jego plebanii w jednym pokoju leżeli ranni Niemcy, a w drugim również ranni spadochroniarze radzieccy. Postępując za nauką Chrystusa ksiądz Chomicki w każdym starał się widzieć człowieka. Po wojnie został aresztowany przez NKWD i skazany na dożywocie w kopalni węgla w Karagandzie. Zdarzyło się jednak, że jedna ze spadochroniarek radzieckich, która przeżyła dzięki pomocy, jaką uzyskała w Klesowie, wystarała się przez męża, sowieckiego dostojnika, że po trzech latach wypuszczono księdza na wolność. Ledwie odżył, podjął działalność duszpasterską w Winnicy. Zmarł jako infułat w 1993 r. w Murafie na Podolu odznaczony przez polskiego ambasadora.

Młodzi Szyczewscy angażowali się czynnie w apostolstwo Kościoła. Przyjęcia pierwszokomunijne dla okolicznej dziatwy odbywały się w pałacu, na uroczystość zapraszano rodziny i nauczycieli. Kazimierz dowoził swoim samochodem na katechezę liczne grupy młodych.

„Niemałą rolę w społeczności kresowej odgrywali w tym czasie oficerowie Korpusu Ochrony Pogranicza. Brali czynny udział w życiu towarzyskim i społecznym. Dowódcą pułku z Rokitna był serdeczny przyjaciel Kazimierza, Jerzy Płatka Płatowicz. Poległ we wrześniu 1939 r. pod Gródkiem Jagiellońskim. Pozostawił dwoje dzieci i żonę, która wnet zmarła. W KOP w Rokitnie służył powinowaty Szyczewskich, Jarosław Domański.

„Pragnę zaznaczyć, że w okresie międzywojennym mieszkańcy Tomaszgrodu, a więc Polacy, Białorusini, Ukraińcy i Żydzi żyli zgodnie," – wspomina Janina Szyczewska. „Mnie wybrano na radną gminy, a męża na radnego gromady czyli sołectwa. Rusini przeważnie znali język polski, ich dzieci uczyły się w 7-mioklasowej szkole powszechnej. W Tomaszgrodzie znajdowała się cerkiew drewniana zbudowana jeszcze przez Czetwertyńskich, zaś odnowiona przez mojego teścia.

Również ludność żydowska Tomaszgrodu była życzliwie nastawiona do dworu. Zdarzało się, że w sprawach spornych z zarządcą majątku proszono mnie na rozjemcę. Blisko bramy wjazdowej mąż mój kazał zbudować krąg taneczny, z którego bez ograniczeń korzystała okoliczna młodzież bawiąc się przy dźwiękach kapeli.

Ten świat zamarł ze zgrozy w pierwszych dniach września 1939 r. W pobliżu Sarn zbombardowany został przez Niemców pociąg osobowy. Czterdzieścioro poszkodowanych dzieci przywieziono Szyczewskim. Zostały umieszczone w szkole, we dworze przygotowywano dla nich posiłki. 16 września samochód starosty przywiózł Raczkiewiczową, wojewodę pomorskiego Szczepańskiego z żoną oraz pana Gnoińskiego z Krakowa. Po krótkim postoju kierowali się dalej na Zaleszczyki. 17 września nie było na co czekać. Z Sarn przysłano znowu trójkę dzieci pochodzących z Grodziska Mazowieckiego. Przekazaliśmy je kapitanowi Mazurkiewiczowi, który zobowiązał się, że zorganizuje ich powrót do domu. Siostra Kazimierza z mężem i z dwiema córkami, kierowca Raczkiewiczowej oraz oboje Szyczewscy upchnęli się jakoś w samochodzie.

Była to już czwarta ucieczka tej rodziny przed komunistami. Najpierw w końcu października 1917 r. dzięki ostrzeżeniu chłopa z Sech. Znaleźli schronienie w Żytomierzu. Wrócili po tygodniu. Rusini uratowali wtedy większość dobytku i zwrócili.

Gdy w 1918 r. Niemcy opuszczali Wołyń, Szyczewscy wyjechali do Warszawy. Po powrocie zastali dwór zniszczony, ale miejscowa ludność przechowała część mebli, konie i bydło. Budynki ocalały.

Trzeci wyjazd nastąpił przed bitwą warszawską w 1920 r. Gdy jesienią wrócili, stwierdzili, że dwór znów splądrowano, ale wiejscy sąsiedzi znowu zachowali się jak ludzie. Cokolwiek mogli, zabezpieczyli, a następnie zwrócili.

Tym razem wydawało się definitywnie, że nie ma już żadnej nadziei.

„Opuściliśmy Sechy 17 września 1939 w południe" – Szyczewska napisała te słowa wiedząc, że nie wróci.

„Zabraliśmy ze sobą tylko to, co najbardziej konieczne. W ostatniej chwili pokojówka wrzuciła do samochodu dwa futra." Kto mógł przewidzieć, co przyniesie zima.

„W Sarnach przeżyliśmy bombardowanie i eksplozję składu amunicji. Zamierzaliśmy jechać do Brześcia, ale cofający się pułk artylerii zawrócił nas. Pojechaliśmy więc w stronę Kowla. Droga okazała się bardzo przykra. Spotykaliśmy naszych żołnierzy w rozsypce. Pytali: co teraz? Gdzie nasze Polska? Tam Niemcy, tutaj Rosjanie."

„Zabrakło nam benzyny. Poratował nad dowódca Flotylli Pińskiej. Podzielił się paliwem dając 20 litrów. Przewidywał, że wróg i tak to zagarnie. Spotykaliśmy tłumy uciekinierów. Niektórzy w samochodach, inni na wozach, pieszo, na rowerach. Spotkaliśmy też urzędnika, który przewoził pieniądze. Otworzył kasę i wołał:

– Ludzie! Bierzcie, żeby się nie dostało w cudze łapy!

Były to przeważnie banknoty 500-złotowe. Miliony."

Nasza rodzina niedawno przekazała na Fundusz Obrony Narodowej 2000 złotych rubli. Ludzie oddawali, co mogli. Obrączki, rodzinne pamiątki. Teraz miało to wszystko pójść na zatracenie?"

„Pojechaliśmy przez Małorytę. W sanatorium przyjęli nas gościnnie, pozwolili odetchnąć. Do Bugu dojechaliśmy razem z lubelską policją. Natknęliśmy się na spory oddział Niemców. Zarekwirowano nam wszystkim broń.

Włodawa, tymczasowy most na Bugu i ruiny starego, 1939/40 r.

Policjantom zabrano samochody. Nam to również groziło. Niemiecki żołnierz, zapewne Ślązak, powiedział po polsku:

– Na Bugu most zerwany. Po co wam samochód?

Była to dobra maszyna, toteż sugerowali, aby niemiecki pułkownik ją zabrał. Machnął ręką:

– Zostawcie ich – a do nas – Fahren Sie – jedźcie!

Kierowca Raczkiewiczowej odłączył się od nas i poszedł piechotą w kierunku Warszawy.

„Pod Włodawą przejechaliśmy w bród przez jakąś odnogę Bugu. Dalej mąż skierował samochód na most kolejowy, który stał jeszcze. Jechał wolniuteńko torami, z wielką trudnością stoczył się później z nasypu na polną drogę. Przez Chełm dojechaliśmy do Rejowca, gdzie zatrzymaliśmy się u mojej siostry i szwagra na terenie cukrowni. Tutaj już grasowali Rosjanie i cofając się za Bug zagarnęli nasz samochód.

W Siennicy Różanej, należącej do rodziny Koszarskich, zatrzymał się nasz krewny Michał Peretiatkowicz z żoną i z synem. Uciekając ze swego majątku koło Łucka zabrał 14 par koni ze stadniny. Teraz ofiarował nam jedną parę wraz z wozem. W ten sposób dotarliśmy do moich rodziców w Lublinie. Rychło stał się ich dom przytuliskiem dla krewnych i znajomych, którzy wymknęli się Moskalom.

„Nie dla każdego okazało się to możliwe, Władysławę Szyczewską (urodzoną w 1873 roku) jako wroga ludu deportowano do Kazachstanu, gdzie zmarła z głodu i zimna 29 marca 1941 roku w obłasti Akmolińska. Została pochowana bez trumny, owinięta gazetami. Znana była w swej okolicy z tego, że w carskich czasach zakładała ochronki dla polskich dzieci. Razem z nią wywieziona została jej córka, Stanisława Giedroyciowa („Lala") z dziećmi: Grażyną (ur. w 1928 r) i Gedyminem (ur. w 1929 r.). Do najbliższej rodziny zaliczyć też trzeba synową, Halinę Szyczewską, jej córkę Annę, żonę Jarosława Domańskiego (ur. w 1928 r.), drugą córkę, Zofię (ur. w 1921 r.) i syna Waldemara (ur w 1923 r.). Waldemar Szyczewski zaciągnął się w Kazachstanie w r. 1943 do armii Andersa. Przeszedł cały szlak bojowy. Ciężko ranny pod Monte Cassino nigdy już w pełni nie powrócił do zdrowia. Pozostał na emigracji, ożenił się z Angielką, doczekali się syna, Edwarda, który jednak nie mówi po polsku. Halinie wraz z córkami udało się przeżyć. Wróciły z Kazachstanu do Polski i osiedliły się w Szczecinie. Mąż Haliny, Władysław Szyczewski został aresztowany przez NKWD jesienią 1939 r. i ślad po nim zaginął. Eugeniusz Giedroyć został zamordowany w Katyniu. W kieszeni jego munduru znaleziono list od żony datowany 6 stycznia 1940 r., jak również wizytówkę i kartę mobilizacyjną.

„Jarosław Domański, rotmistrz KOP dostał się do niewoli niemieckiej. Przebywał w oflagu w Waldenbergu-Dobiegniewie."

„Mieczysław Horodyski, mąż mojej siostry Ireny, działał w AK w Rejowcu. Miał u siebie nadawczą stację radiową. Centrala znajdowała się w Zamościu. Jeden z uczestników został pojmany przez gestapo i gdy był torturowany podczas przesłuchań, wyjawił nazwiska kolegów. W 1940 r. Niemcy otoczyli cukrownię w Rejowcu. Aresztowali niemal wszystkich urzędników i kilku kierowców. Horodyski wielokrotnie przesłuchiwany i torturowany przebywał na zamku w Lublinie przez niemal rok. Miałyśmy z nim kontakt przez dozorcę, którego córkę uczyłam. Niekiedy udawało się podać paczkę żywnościową. Przez pewien czas zatrudniano go przy sortowaniu tych paczek przed zamkiem. Chodziłyśmy tam raz w tygodniu, aby dzieci chociaż z daleka mogły popatrzeć na tatę i zapamiętać go. Po roku został wywieziony do Oświęcimia, gdzie po kilku tygodniach zmarł."

„Natychmiast po aresztowaniu szwagra zabraliśmy moją siostrę Irenę wraz z trójką dzieci do domu przy Słonecznej, gdzie mieszkała następnie przez 20 lat, wraz z rodzicami było nas w sumie ośmioro, a zarabiały na życie tylko dwie osoby: mąż w charakterze robotnika fizycznego w cukrowni, co było wielkim dobrodziejstwem dla dzieci, ponieważ przysługiwał mu niewielki deputat cukrowy. Moja nauczycielska pensyjka okazała się nader skąpa. Ojciec mój emerytury nie otrzymywał. Przydział żywności na kartki nie wystarczał. Głód często nam w oczy zaglądał. Wyprzedawaliśmy, co tylko się dało, nawet sygnet męża.

„Pracę w prywatnej handlowej szkole Łotockiego przy Krakowskim Przedmieściu 55 dostałam dzięki rekomendacji spotkanej przypadkowo dawnej znajomej. W 1941 r. Łotockiego aresztowano i osadzono na zamku, szkoła zaś została zlikwidowana. Niemiecki urzędnik administracji szkolnej, Alzatczyk, skierował mnie wówczas do innej handlówki przy ul. 1 Maja 10, gdzie jednak – jak się okazało – kwitło donosicielstwo, toteż AK osądziła i zlikwidowała dyrektora i jedną z pracownic.

Szkolnictwo zawodowe było przez Niemców popierane, potrzebowali bowiem fachowej i taniej obsługi. Aczkolwiek pod ścisłą kontrolą funkcjonowała m.in. Handels Fachschule, której dyrektorem był Ukrainiec Borodajko. Umiał dogadać się z Niemcami. Gdy wiedział, że szykuje się łapanka, zarządzał w szkole zebranie, aby w ten sposób zatrzymać personel, zabezpieczyć przed aresztowaniem.

Uczył w tej szkole znakomity germanista, specjalista i tłumacz z języków skandynawskich, ceniony poliglota Andrzej Kołaczkowski (po wojnie pracował w KUL-u). Studiował wcześniej w Poznaniu wraz z niejakim Hainemanem, okupacyjnym inspektorem szkolnym. Ten usiłował „po koleżeńsku" zachęcić Kołaczkowskiego do podpisania Volkslisty. Przybyło do szkoły gestapo, robili Kołaczkowskiemu pomiary głowy itp. jednak nie sprostał wygórowanym wymogom rasistowskich norm i udało mu się wymigać."

Janina Szyczewska prowadziła zajęcia z towaroznawstwa. Do grona pedagogicznego należał również nauczyciel rysunków Kurzątkowski, Edward Piasecki – ekonomista, Janusz Korczak geograf, pani Kleinert – matematyczka. Sekretarką Borodajki była Jadwiga Łobodowska, znana mu sprzed wojny żona poety. „Wspomniany wyżej Janusz Korczak aresztowany za działalność w tajnym nauczaniu, został zamordowany na Majdanku.

Młodzież lubelska, która oficjalnie uczęszczała do istniejących szkół zawodowych, zazwyczaj studiowała na tajnych kompletach. W szkole Borodajki rozkładano na ławkach podręczniki towaroznawstwa, a pod spodem w ukryciu znajdowały się książki z literatury polskiej, z geografii czy historii.

„W tajnym nauczaniu działał przedwojenny wizytator lubelski, pan Odroń, także prof. Ziętkiewicz z Uniwersytetu Poznańskiego. Pani Kleinert uczyła potajemnie u Sobolewskiej, jak również w podchorążówce AK, gdzie ja uczyłam poza programem geografii polskiej. Zajęcia odbywały się w szkole Sobolewskiej w godzinach nocnych. Nazajutrz przychodziłyśmy wczesnym rankiem, aby sprawdzić czy uczniowie nie pozostawili czegoś niebezpiecznego: notatek, wykazów itp.

Pewnego razu inspektor Hannemann niespodziewanie wszedł do mojej klasy, przejrzał tylko listę obecności i wyszedł bez słowa. Uczniowie momentalnie pochowali w ubraniu niebezpieczne książki.

W naszej willi na Słonecznej odbywały się egzaminy maturalne organizowane przez pana Artla wysiedlonego z Poznania, który oficjalnie pracował w urzędzie niemieckim. Przy Słonecznej w domu Dębickiego, przedwojennego profesora KUL, dokładnie naprzeciwko nas, zamieszkał komendant Majdanka. Na wszelki wypadek tajne polskie władze oświatowe przeniosły egzaminy w inne miejsce, aby nie rzucało się w oczy, że nagle tylu młodych ludzi odwiedza nasz dom.

Jeden pokój u nas zarezerwowany został dla Niemców. Zamieszkał w nim Volksdeutsch nazwiskiem Sończyk, mówiący nieźle po polsku. Przychodzili do niego ludzie pracujący dla okupantów. Wyprowadził się dopiero gdy weszli Sowieci. Lokal nie pozostawał pusty. Natychmiast po wkroczeniu wojsk radzieckich zamieszkał w naszej willi pułkownik Żurawlow z żoną. Sończyka aresztowało NKWD i zesłano go do obozu w Skrobowie niedaleko Lublina. Pojawił się po kilku miesiącach. Wpadł „tylko na chwilę" i poprosił o pomoc finansową. Sami mieliśmy niewiele, ale dla świętego spokoju daliśmy mu trochę gotówki. Podobno został później w Gdańsku dyrektorem elektrowni."

Lublin wolny od okupacji hitlerowskiej, plac Wolności 1944/46, wieża ciśnień i wypalone domy, zbiory Teatru NN

Janina Szyczewska uczyła początkowo w szkole Sobolewskiej, miała również zajęcia u Arciszowej, zaś już w 1945 roku zatrudnił ją w UMCS prof. Sławiński w charakterze asystentki. W związku z eksterminacją polskiej inteligencji (i przez Niemców, i przez Moskali) kadry gruntownie wykształcone były w cenie. W katedrze botaniki i fizjologii roślin „Szyczewska sprawdziła się doskonale. Pracowała wraz z Zofią Preigel-Uziakową, Haliną Busz-Domańską i Haliną Bujak-Tatarczuk.

W zniszczonym przez działania wojenne, terroryzowanym i splądrowanym przez okupantów Lublinie życie stopniowo wracało do normy. Władze, który zarządzały teraz zasobami ludzkimi dzieliły obywateli na pierwszą i drugą kategorię, zdając sobie mimo wszystko sprawę z kompetencji „pożytecznych idiotów." Toteż – do pewnego stopnia – tolerowano niechętnych, o ile nie stwarzali tzw. bezpośredniego zagrożenia.

„Rektor UMCS, Raabe, dbał o rozwój uniwersytetu, starał się o nowe pomieszczenia na sale wykładowe. W 1947 r. bronił aresztowanych studentów biorących udział w manifestacji popierającej Stanisława Mikołajczyka przed wyborami."

„Warunki lokalowe naszej uczelni były ciężkie. Brakowało też mebli. Profesor mieszkał za parawanem w pokoju, który jednocześnie pełnił funkcję jego gabinetu. Prof. Sławiński, życzliwy zarówno dla pracowników, jak i studentów był doskonałym botanikiem o wszechstronnych zainteresowaniach. Prowadziłam wykłady i ćwiczenia. Wspólnie dopracowaliśmy się porządnego wyposażenia pracowni botanicznej. Sami staraliśmy się o pomoce naukowe, o tablice i odczynniki. Mieliśmy 12 mikroskopów. Sala ćwiczeń znajdowała się w gmachu przy Placu Litewskim. Na dachu urządziliśmy oranżerię. Ćwiczenia odbywały się w suterenie przy ul. Głowackiego, następnie na piętrze dzielonym z prof. Gabrielem Brzękiem."

„Ustaliłam temat swej rozprawy doktorskiej: »Roślinność łąk nad Bystrzycą koło Zemborzyc«. Gromadziłam materiał do tej pracy przez trzy lata, napisałam ją. Recenzja była pozytywna. Okazało się wszelako, że łąki należą do terenu wojskowego objętego tajemnicą. Rozprawy nie było wolno publikować. W zdenerwowaniu spaliłam ją."

„W tym czasie uzyskałam już pełny etat w Centralnym Ośrodku Metodycznym Towaroznawstwa w Gliwicach oraz 6 godzin pensum w Technikum Handlowym im. Vetterów. Dyrektorem Centralnego Ośrodka Metodycznego Towaroznawstwa był wówczas Emil Piotr Erlich, świetny organizator współpracujący z analogicznymi ośrodkami w Szwajcarii, dokąd często wyjeżdżał. Ja również jeździłam na konferencje naukowe oraz wizytacje szkolne w różnych regionach Polski. Prowadziłam wykłady na ogólnopolskich kursach ściśle współpracując z Katedrą towaroznawstwa Akademii Ekonomicznej w Krakowie."

„W latach 1954–1966 napisałam i opublikowałam 5 podręczników towaroznawstwa i technologii, także około 10 artykułów w prasie specjalistycznej. W całym kraju korzystano z moich opracowań, podręczników (byłam także współautorką niektórych) oraz z programów dla szkół zawodowych i ogólnokształcących w zakresie tych przedmiotów, jak również botaniki."

„Nadal miałam też pensum 6 godzin lekcji tygodniowo u Vetterów. Dyrektorem Ośrodka Metodycznego w Lublinie był wtedy Romuald Krzywicki, kolekcjoner motyli z całego świata. Natomiast szkołą Vetterów zarządzał Edward Janicki, świetny organizator i pedagog. Przykładał dużą wagę do kwestii wychowawczych. Nie należał do partii, toteż niejednokrotnie miał kłopoty z władzami. Gdy przeniósł się do Warszawy na równorzędne stanowisko, dyrektorem został Stanisław Mazurek, przyjaciel naszego domu. W 1947 roku wrócił on wraz z nauczycielem Robertem Kownackim z Anglii, obaj miewali kłopoty ze strony władz politycznych."

Janina Szyczewska bywała szykanowana ze względu na pochodzenie społeczne. „Raz na studniówce podszedł do mnie ojciec pewnego ucznia i rzekł:

– Pani dziedziczko, na co pani przyszło...

Dwie nauczycielki usłyszały słowo „dziedziczka" i doniosły do władz szkolnych. Personalna wezwała mnie i zażądała, abym wstąpiła do partii. Na co powiedziałam:

– Czy wtedy będę lepiej pracowała? Jestem osobą wierzącą.

– To nie przeszkadza.

– Dajcie mi więc czas do namysłu.

Następnie w partii rozmawiano ze mną na ten sam temat, ale powiedziałam im, że jestem wierząca, więc nie zmuszali mnie. Raz wezwano mnie do kuratorium, do wydziału personalnego. Urzędnik pyta:

– Czy mieliście przed wojną taksówkę?

– Nie, nie miałam. – Mieliśmy samochód, ale nie taksówkę.

Następnie wypytywano mnie dokładnie o życiorys. Sekretarka notowała. Ostatecznie pozwolono mi nadal pracować w szkole."

„Wśród nauczycieli i uczniów zwykle nie miałam wrogów. W szkole Vetterów pracowałam 20 lat. Uczniowie pochodzili przeważnie ze wsi. Dość duży procent młodzieży należał do ZMP czyli do organizacji komunitycznej, w której namawiano uczniów do szpiegowania i donosicielstwa na kolegów i nauczycieli do władz szkolnych i politycznych. Przedstawiciel ZMP brał udział w zebraniach rady pedagogicznej i powszechnie wiadomo było, że może zaszkodzić."

Po latach Janina Szyczewska mówiła, że starała się wnikać w sytuację poszczególnych uczniów i niejednokrotnie odczuwała głęboki żal, iż wzrastają w klimacie tak wypaczającym człowieka pozbawionego oparcia w kochającej rodzinie, w ugruntowanym chrześcijaństwie, w uczciwym świecie.

„Starałam się wzbudzać u wychowanków zainteresowanie moim przedmiotem na lekcjach. Osiągałam to przez stosowanie licznych pomocy naukowych, przez ćwiczenia laboratoryjne, przez wyjaśnianie przydatności danej wiedzy w życiu praktycznym. Dbałam również o to, aby mieć u uczniów autorytet dzięki gruntownej wiedzy fachowej oraz przez okazywanie im szacunku i życzliwości. Dążyłam do tego, aby na moich zajęciach była miła atmosfera, by uczniowie dobrze się na lekcjach czuli, a przez to polubili przedmiot nauczania, a w konsekwencji szkołę."

Nie wszystko przemija.

W tym roku grupa dawnych wychowanków Technikum Ekonomicznego z Nałęczowa świętowała w koleżeńskim gronie złoty jubileusz. Każdy wspominał swoje osobiste losy. Życie, które układało się różnie, ale – pomimo trudności – nie zostało zmarnowane. Być może dlatego, że – jak zachodzące słońce w nałęczowskim stawie – odbijała się w nim niezmącona siła i pogoda ducha dawnej nauczycielki.

Janina Szyczewska przepracowała w Nałęczowie kilkanaście lat – do momentu przejścia na emeryturę. Znowu organizowała pracownię, którą rektor Mysona z krakowskiej Akademii Handlowej stawiał za wzór, i którą pokazywano w ogólnopolskich programach telewizyjnych. Centrala Rolniczych Spółdzielni w Warszawie hojnie przydzielała fundusze na najnowsze przyrządy do określania jakości towaru, a szczególnie do badania mleka oraz zboża i przetworów zbożowych. Troszczono się o to, aby wspierać uzdolnionych absolwentów z wiejskich rodzin, toteż wielu z nich dostawało się na wyższe uczelnie.

W stanie wojennym starsi państwo z Armatniej Góry sprzedali dom w ogrodzie i przenieśli się do niewielkiego mieszkania w Lublinie. Oboje zgodnie i pogodnie, otoczeni przyjaciółmi, przekroczyli dziewięćdziesiątkę. Ich ziemski majątek z biegiem lat malał – duchowy rozrastał się i owocował. Sprostali wyzwaniom, jakich nie szczędził wiek dwudziesty mieszkańcom tej części Europy. Własnym życiem dawali nieustanne świadectwo pamięci o tożsamości. Niejako uzupełniali w ten sposób rozważania sąsiada i gościa: księdza profesora Karola Wojtyły.

Ucichły wspominki w zacisznym ogrodzie na przyczółku Armatniej Góry w Nałęczowie. Z parowu wyśmigają koronami wyżej i wyżej dorodne drzewa. One pamiętają. Sięgają korzeniami głęboko. Czerpią życiodajne soki z ziemi. Tej ziemi.

MARIA JÓZEFACKA

Ks. Edward Walewander

„Polacy na Łotwie" *redivivi*

Nieczęsto się zdarza, żeby po ponad ćwierć wieku od ukazania się jakiejś pracy zbiorowej zrodziło się przekonanie o konieczności jej drugiej edycji. Jest tak w przypadku książki *Polacy na Łotwie* (red. ks. Edward Walewander, Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1993). Takie przekonanie wyraziła ambasador RP w Tallinie, pani dr Monika Michaliszyn, która 10 stycznia 2022 r. złożyła wizytę redaktorowi i współautorowi wspomnianej książki. Pani Ambasador podkreśliła, że konstatacje autorów dzieła dobrze wprowadzają także w obecne zapotrzebowanie czytelników, dają bowiem kompetentny i wciąż aktualny ogląd *Sitz im Leben* Polaków na Łotwie.

Książka jest pokłosiem międzynarodowej konferencji-sympozjum, która została zorganizowana od 18 do 20 maja 1992 r. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim staraniem Instytutu Polonijnego tejże uczelni. Sympozjum zgromadziło wielu wybitych znawców tematu z Polski i zagranicy. Wśród uczonych krajowych obecnych na konferencji znalazł się między innymi prof. Jacek Kolbuszewski z Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, a wśród uczestników łotewskich – Zbigniew Stankiewicz, wówczas student teologii na KUL, obecnie arcybiskup metropolita ryski. W spotkaniu wzięli udział także Polacy ekspatrianci z Łotwy, m.in. Krystyna Tomaszewicz-Pfütznerowa. W obradach uczestniczyło zazwyczaj około 90 osób dziennie. Pomimo sporej intensywności w prezentowaniu spraw, a może dzięki temu, dało się zauważyć wyjątkowe zainteresowanie uczestników losami i życiem Polaków na Łotwie, co przejawiało się m.in. w ożywionej dyskusji, której treść często wychodziła daleko poza ramy poruszanej tematyki.

Zainteresowanie sympozjum okazało kilka znanych osobistości, np. ówczesny prymas Polski – kard. Józef Glemp, prof. Andrzej Stelmachowski – prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska". Szeroko o lubelskim sympozjum informowały także polskie i zagraniczne środki masowego przekazu, akcentując nie tylko główne wątki tematyczne[1]. Treść książki *Polacy na Łotwie* jeszcze długo potem najwyraźniej fascynowała czytelników. Jej tematyce sporo miejsca poświęcił chociażby Zbigniew Włodzimierz Fronczek[2].

Atmosferę lubelskiego łotewsko-polskiego spotkania dobrze oddają reakcje jego uczestników. Wspomniany prof. Jacek Kolbuszewski w liście z 25 maja 1992 r. do ks. Edwarda Walewandra, głównego organizatora naukowej debaty, napisał:

> „Bardzo uprzejmie raz jeszcze dziękuję tyleż za przemiłe przyjęcie w Lublinie (i także za urocze, mądre pokazanie miasta!), ile za umożliwienie przecież nie tylko mi – udziału w dobrej i wartościowej konferencji, która wniosła autentycznie bardzo wiele do niewyraźnie się dotąd rysującej – wiedzy o Polakach na Łotwie, ich kulturze, życiu, także duchowym i religijnym. Było to bardzo wartościowe spotkanie naukowe,

1 Por. m.in.: M. Bugaj, *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Panorama Polska" 1990, nr 9, s. 15–16, 19; A. L. Gzella, *Polacy w ZSRR*, „Zwierciadło Chełmskie" 1991, nr 39, s. 2; R. Iwan, *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Przegląd Kresowy" 1991, nr 5–6, s. 28–29; tenże, *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Głos Katolicki" (Paryż) 1992, nr 3, s. 8–9; „Duszpasterz Polski Zagranicą" 1992, nr 2, s. 205–208; A. Jabłoński, *Katolicy w Kraju Gorbaczowa*, „Ethos" 1991, nr 11, s. 186–190; tenże, *Polak-katolik w Związku Sowieckim*, „Przegląd Uniwersytecki KUL" 1990, nr 3–4, s. 7; R. Kantor, *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Przegląd Polonijny" 1991, z. 2, s. 121–126; S. Kowalczyk, *Instytut Badań nad Polonią KUL*, „Przegląd Uniwersytecki KUL" 1991, nr 2–3, s. 8; J. Łyskawa, *Polacy i Kościół na Wschodzie*, „Katolik" z 22–29.12.1991, s.19; K. Marczyk, *Bug dzieli, a Bóg łączy*, „Kurier Wileński" z 30.05.1990, s. 4.; W. Klusek, *Pod znakiem krzyża. Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Kurier Lubelski" z 6–8.12.1991; *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR – cenna publikacja KUL*, „Słowo Powszechne" z 23.10.1991, s. 6; *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Głos św. Franciszka" 1992, nr 2, s. 49; *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Pismo Okólne Episkopatu Polski" z 4–10.11.1991, s. 2; D. Praszałowicz, *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Duszpasterz Polski Zagranicą" 1991, nr 3, s. 370–373; Z. Skrok, *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Nowe Książki" 1992, nr 4, s. 26; Z. Szuba, *Stałe studia polonijne w KUL*, „Słowo Powszechne" z 4–6.05.1991, s. 8; Cz. Dąbrowski, *W łączności z Polonią na Zachodzie i Wschodzie*, „Tygodnik Słowo Powszechne" z 13.06.1991, s. 3; E. Walewander, *W służbie Polonii*, „Dziennik Lubelski" z 7.09.1992, s. 8; W. Królikowski, „Gazeta Niedzielna" (Londyn) 1992, nr 39, s. 8; B. Jedynak, *O katolicyzmie i Polakach na Wschodzie*, „Rota" 1992, nr 1/2, s. 40; M. Wieliczko, *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Przegląd Wschodni" 1992/93, z. 2(6), s.491–504; A. Patek, *Polacy w Kościele katolickim w ZSRR*, „Przegląd Polonijny"1994, z. 2, s.167–172.

2 Z. W. Fronczek, *Gdzie Wentspils, gdzie Niemirówek* [w:] *Wśród swoich. Ksiądz Profesor Edward Walewander*, red. N. Rykowska [i in.], Lublin 2017, s. 122–127. →

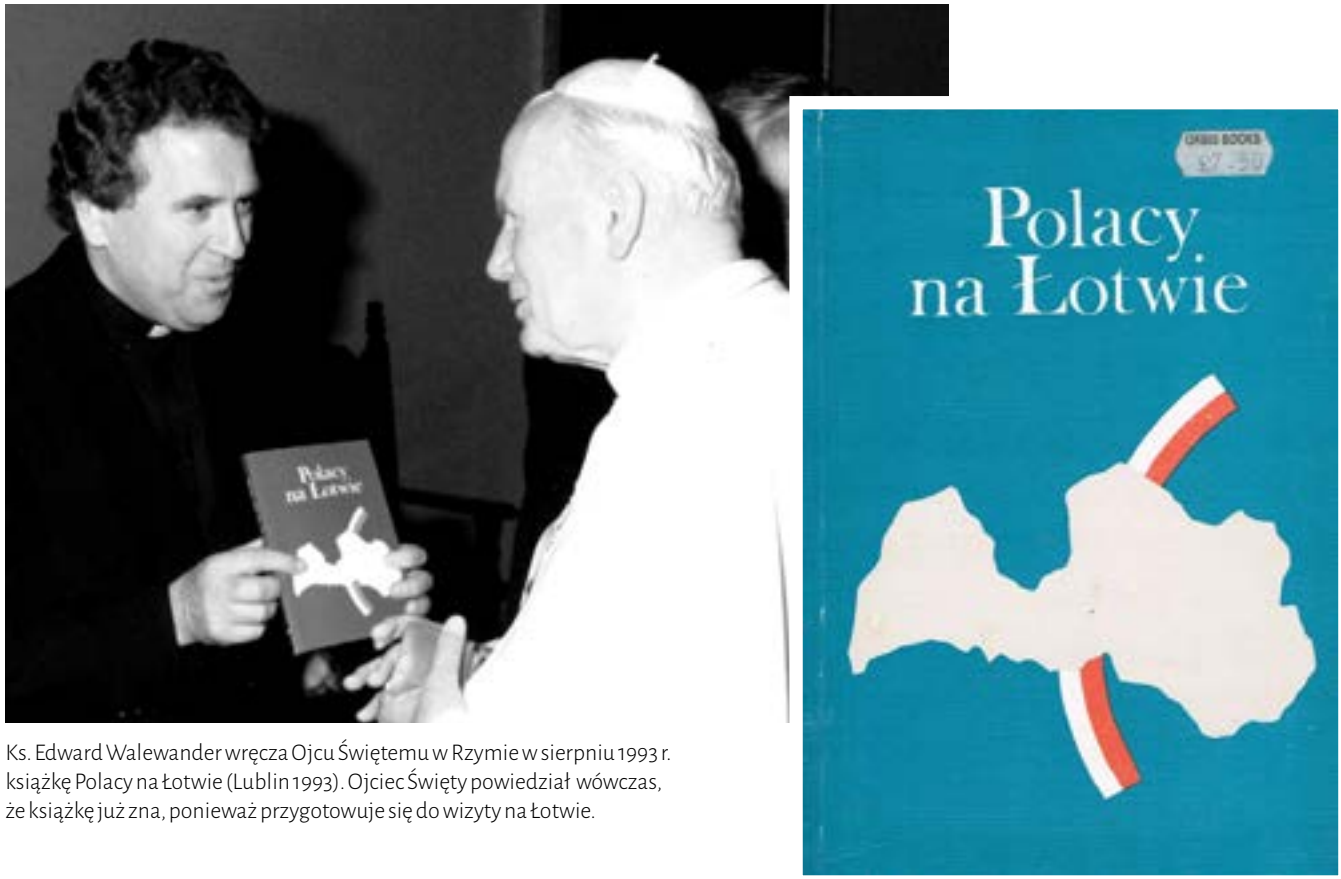

Ks. Edward Walewander wręcza Ojcu Świętemu w Rzymie w sierpniu 1993 r. książkę Polacy na Łotwie (Lublin 1993). Ojciec Święty powiedział wówczas, że książkę już zna, ponieważ przygotowuje się do wizyty na Łotwie.

prawdziwie pięknie zwieńczone mszą św. w intencji owych Polaków"[3].

Także już przywołana ekspatriantka z Łotwy, pani Krystyna Tomaszewicz-Pfütznerowa w liście z 4 czerwca 1992 r. wyznała:

„Pragnę wyrazić moją wielką wdzięczność z powodu udziału w sympozjum »Polacy na Łotwie«.

Temat ten, przemilczany przez wiele lat stał się zupełnie nieznanym dla większości naszego społeczeństwa. Do wypełnienia tej luki przyczyni się zapewne zorganizowane przez KUL Sympozjum. My Polacy z tamtych stron, zdziesiątkowani przez okrutne represje sowieckie i niemieckie uciekaliśmy nie zawsze zgodnie z prawem, aby rozproszeni po całej Polsce przeczekać i tęsknić za piękną krainą nad Dźwiną. Przyznawać się publicznie do pochodzenia nie było warto, często brano nas za Rosjan. Ta nieznajomość była zapewne przyczyną pominięcia Polaków z Łotwy w uchwalonej w 1991 r. ustawie o kombatantach.

Referaty wygłaszane na sympozjum pokazywały, że pomimo obywatelstwa łotewskiego, które przyjęli po I wojnie światowej, Polacy tamtejsi zachowali silną więź z Ojczyzną, a wyraz temu dali w czynnym zaangażowaniu się w ruchu oporu w czasie II wojny światowej. W dyskusji wspomniałam o zorganizowanej pomocy dla żołnierzy polskich internowanych we wrześniu 1939 r. na Łotwie. W akcji tej brali udział moi Rodzice. Za współdziałanie z Krajem w walce o niepodległość czekały wielu ciężkie kary w obozach niemieckich i łagrach sowieckich. Tylko nieliczni powrócili. A dziś starzy i schorowani nie potrafią zrozumieć, dlaczego nie mogą uzyskać praw Kombatanckich jako nie posiadający wówczas obywatelstwa polskiego.

Myślę, że będę wyrazicielką wielu Polaków z Łotwy i pozwolę sobie w ich imieniu podziękować za podjęcie tematu ich losów.

We własnym imieniu dziękuję za umożliwienie wzięcia udziału w obradach, za doskonałą organizację i za możliwość przebywania przez parę dni blisko moich rodzinnych korzeni. Usłyszenie w referatach nazwisk moich bliskich dostarczyło mi wielu wzruszeń. Za to wszystko serdeczne Bóg zapłać!"[4].

Czym jest ten niewielki, przetkany burzliwą i ciekawą historią kraj, który ciągle budzi szerokie zainteresowanie Polaków?

3 Dokumenty ze spuścizny osobistej ks. E. Walewandra, Archiwum Archidiecezjalne Lubelskie, bez sygn. i numeracji stron.

4 Tamże.

Od IX do XI wieku ziemie dzisiejszej Łotwy były zasiedlane przez plemiona bałtyckie oraz ugrofińskie (na północy). Od końca XII wieku następowała penetracja niemiecka, czego konsekwencją były silne i długotrwałe wpływy niemieckie, a także skandynawskie. W XIII wieku ziemie łotewskie zostały podbite przez niemiecki zakon kawalerów mieczowych i schrystianizowane. Do połowy XVI stulecia większa część terenów dzisiejszej Łotwy wchodziła w skład Inflant. W 1561 r., po sekularyzacji zakonu kawalerów mieczowych, wschodnia część Łotwy przeszła pod wspólne panowanie Polski i Litwy. Natomiast Kurlandię i Semigalię otrzymał w dziedziczne lenno ostatni mistrz zakonu Gotthard Kettler, ostatni wielki mistrz zakonu krzyżackiego. Na mocy postanowień pokoju oliwskiego w 1660 r. większą część Inflant otrzymała Szwecja. Przy Rzeczypospolitej pozostała Latgalia ze stolicą w Dyneburgu (tzw. Inflanty Polskie). Po wojnie północnej w 1721 r. Inflanty Szwedzkie zostały włączone do Rosji, a Inflanty Polskie weszły w jej skład po I rozbiorze Rzeczypospolitej, Kurlandia natomiast w 1795 r.

W dziejach Łotwy widać niemały związek tego kraju ze Skandynawią, a kulturowo z Niemcami, zwłaszcza poprzez wpływy luterańskie na zasadzie *cuius regio eius religio*. Nie jest to kraj typowy dla ogółu państw Europy Środkowo-Wschodniej. Dzisiejszy charakter Łotwy wynika z wielorakich wpływów kulturowych i politycznych, jakie ścierały się na tym terenie na przestrzeni dziejów. Dłużej dzisiejsze ziemie łotewskie pozostawały pod panowaniem Rzeczpospolitej i Wielkiego Księstwa Litewskiego aniżeli Rosji. Kawalerowie mieczowi pozostawili tam silny ślad kultury zachodniej. Rosja zaś spowodowała, jak zwykle, rusyfikację kraju. Ta osobliwa historia przedziwnie ukształtowała losy narodu, który właściwie nie ma jednego korzenia. Mimo to zdołał wykształcić własną, kulturę, której zasadniczym nośnikiem jest język[5] i obyczaj[6].

Ciekawy wgląd w obyczaje i sytuację Łotwy na przełomie XIX i XX stulecia dają pamiętnikarze, zwłaszcza dawni studenci Politechniki Ryskiej. Mieczysław Jałowiecki w swoich wspomnieniach, wymownie zatytułowanych *Na skraju imperium*, w latach 1895–1897 student Politechniki, po latach napisał:

„Czułem się dobrze na studiach w Rydze i lubiłem to miasto. Atmosfera Rygi szczególnie sprzyjała życiu akademickiemu. Było to miasto prowincjonalne, żyjące spokojnym statecznym życiem, pełne swoistego uroku, pełne tradycji płynącej z pokrytych pleśnią starych, hanzeatyckich murów, z jej gotyckich tumów o strzelistych wieżycach, z szerokich kwiecistych parków i bulwarów, wreszcie z majestatycznej Dźwiny płynącej szerokim korytem ku morzu.

Wszyscy się tutaj wzajemnie znali, a barwna czapeczka korporacyjna otwierała drzwi do prywatnych domów poważnych rodzin ryskiego mieszczaństwa lub bałtyckiego ziemiaństwa.

Nie było w Rydze wyraźnej linii demarkacyjnej pomiędzy wsią a miastem. Żyło się tutaj życiem półwiejskim [...].

Uczyłem się dużo. Miałem przed sobą poważne egzaminy z chemii nieorganicznej, geometrii wykreślnej, z geologii i mineralogii, a sam upodobania miałem raczej humanistyczne. [...].

Wieczorami wychodziłem na miasto, aby odetchnąć świeżym powietrzem i dać odpoczynek mojej głowie pełnej formułek chemicznych, gnejsów, kwarców, wreszcie przeklętych przecięć stożka z kulą lub dwóch cylindrów o różnej średnicy. Wałęsałem się nad brzegiem Dźwiny lub po wąskich uliczkach Starego Miasta”[7].

Czy to nostalgiczne wspomnienie pięknego miasta studiów Mieczysława Jałowieckiego bardzo odbiega od atmosfery obecnie panującej w Rydze? Podróżujący teraz do łotewskiej stolicy z pewnością łatwo przyznają rację jej bystremu obserwatorowi sprzed ponad stulecia.

Nie znaczy, że polscy obserwatorzy łotewskiej rzeczywistości nie mieli oczu otwartych na charakter Łotyszów. Ten sam Mieczysław Jałowiecki zanotował:

„Myślałem o Inflantach. Nie lubiłem Łotyszy, którzy mimo swojej pracowitości razili mnie chłopskim prostactwem i niepotrzebnym

5 Język łotewski (łot. *latviešu valoda*) należy do grupy wschodniej języków bałtyckich stanowiących podgrupę w rodzinie języków indoeuropejskich, od wczesnego średniowiecza aż do XIX wieku pozostawał wszak pod silnym wpływem języka niemieckiego. Jest, tak jak polski, językiem fleksyjnym, czyli opartym na odmianie wyrazów. Słownictwo łotewskie wykazuje wiele zapożyczeń z języka niemieckiego, języka szwedzkiego oraz języka rosyjskiego. Współcześnie obserwowany jest oczywiście rosnący wpływ języka angielskiego. Język łotewski jest zapisywany za pomocą zmodyfikowanego alfabetu łacińskiego. Nie są używane litery q, w, x, y, występują w nim natomiast litery ā, č, ē, ģ, ī, ķ, ļ, ņ, š, ū, ž (znaki nad literami znamionują przede wszystkim obecność tzw. iloczasu), a w dialekcie łatgalskim poza tym litera ö. Ortografia w dużym zakresie ma charakter fonetyczny i odzwierciedla wymowę poszczególnych wyrazów. Po odzyskaniu niepodległości w 1991 r. władze Łotwy ustanowiły język łotewski jedynym językiem urzędowym w tym kraju i prowadzą kampanię na rzecz jego upowszechnienia wśród mniejszości narodowych (przede wszystkim wśród Rosjan, preferujących oczywiście język rosyjski). Por. https://www.szkolnictwo.pl/szukaj,J%C4%99zyk_%C5%82otewski (dostęp 29.01.2022).

6 Łotwa jest krajem wielonarodowościowym i wielowyznaniowym. W większych miastach można znaleźć świątynie wszystkich głównych wyznań chrześcijańskich. Największe grupy wyznaniowe stanowią w kolejności: luteranie, katolicy i prawosławni. Obyczaje i święta Łotyszy wiążą się z tradycją chrześcijańską, jak w większości krajów europejskich, a także z wierzeniami przodków, które nawiązują do obrzędów przedchrześcijańskich. https://www.gov.pl/web/dyplomacja/otwa (dostęp 29.01.2022).

7 M. Jałowiecki, *Na skraju imperium i inne wspomnienia*, red. M. Zwoliński, Warszawa 2012, s. 60-61. Por. też: M. Sapieżyna, *My i nasze Siedliska*, red. M. Rydlowa, Kraków 2003, s. 463-465 oraz s. 557-558. →

> okrucieństwem, okazywanym w chwilach zamieszek. Miałem natomiast dużo sentymentu do szlachty nadbałtyckiej – potomków dawnych rycerzy mieczowych – która różniła się znacznie od niemieckiego ziemiaństwa Prus Wschodnich. Zapewne w Nadbałtyce pozostało więcej dawnych rodzin wywodzących się nie tyle z Niemiec, co z krajów romańskich: Francji, Włoch, a nawet Hiszpanii"[8].

Łotwa swój niepodległy byt państwowy rozpoczęła, tak jak Polska, po I wojnie światowej – 18 listopada 1918 r. w Rydze proklamowano niepodległość, a w latach 1918–1920 trwała wojna o jej utrzymanie, w której siły łotewskie przy wsparciu estońskim, brytyjskim i polskim walczyły przeciw oddziałom niemieckim, białoruskim i bolszewickim. W latach 1934–1940 Łotwa była rządzona autorytarnie przez Karlisa Ulmanisa. Już jednak w 1939 r., w wyniku paktu Ribbentrop-Mołotow, znalazła się w sowieckiej strefie wpływów, a od 5 sierpnia 1940 r., wbrew swojej woli przeszła całkowicie pod władanie Związku Sowieckiego jako Łotewska Socjalistyczna Republika Sowiecka. W wyniku nowej wiosny ludów Europy 17 marca 1991 r. odbyło się referendum, w którym trzy czwarte głosujących opowiedziało się za niepodległością, i 21 sierpnia 1991 r. ogłoszono wystąpienie z ZSRS (Rada Państwa ZSRS zaakceptowała tę decyzję 6 września). W tym też roku Łotwa została przyjęta do ONZ. Z kolei 27 stycznia 1994 r. w pełni przywrócono (z poprawkami) konstytucję z 1922 r. W 2004 r. Łotwa została przyjęta do NATO, a także do Unii Europejskiej (od 2014 r. wprowadzono walutę euro)[9]. Dziś jest młodym i wieloetnicznym organizmem państwowym, co niechybnie powinno rodzić problemy, ale – jak się wydaje – jest ich na Łotwie znacznie mniej niż w innych krajach, które w tym samym czasie oswobodziły się od hegemonii sowieckiej.

Polacy na Łotwie to z pewnością nie tyle reszta dawnej szlachty inflanckiej, jeszcze mniej może pokoleń Polaków w taki czy inny sposób osiedlonych w czasach carskich czy też przybyłych tam w okresie sowieckim. Nieduża społeczność polska ma zatem różną proweniencję, niekiedy o dość młodej metryce. Nie zawsze, choć bodaj w większości, skupia się wokół inicjatyw kościelnych, katolickich, które po upadku ZSRS ożyły zasilane pracą duszpasterzy ze Starego Kraju. Idąc za myślą przewodnią problematyki sympozjum sprzed 30 lat, należy zwrócić uwagę na przemiany zachodzące w zbiorowości polskiej na Łotwie. Ważne jest zwłaszcza to, co nastąpiło w okresie i po zakończeniu panowania sowieckiego. Powszechnie wiadomo, że w czasie, jakby nie patrzeć, okupacji sowieckiej Polacy przybywający na Łotwę byli jakoś obligowani do „prawowierności" socjalistycznej bądź nawet praktykowali ją z przekonania[10]. Nie oznacza to jednak, że nie integrowali się ze swoim środowiskiem, choć wtedy pojęcie Polonia nie istniało albo po prostu nie było tolerowane przez cenzurę ani w PRL, ani w ZSRS, gdy chodzi o Polaków żyjących w jego granicach. Dlatego też przemiany, nie tylko organizacyjne, ale także sięgające istoty zaangażowania we wspólne tamtejszym Polakom sprawy, następują w zasadzie po odzyskaniu przez Łotwę niepodległości, a zatem od początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Są to jednak przemiany, jak o tym przekonuje lektura książki Polacy na Łotwie, o wielkim dynamizmie i kumulacji często spektakularnych efektów. Kościół katolicki odegrał tu i wciąż ma do odegrania swoją rolę, aczkolwiek przesadą byłoby twierdzenie, że jest jedyną siłą skupiającą łotewskich Polaków.

Trzeba pamiętać, że badania nad krajami bałtyckimi są o wiele bardziej skomplikowane, choćby ze względu na pewną egzotykę języka, aniżeli inne dociekania historyczne. To też musi zostać zauważone jako szczególny wkład książki *Polacy na Łotwie* do historiografii tego regionu. Wracając zaś na nasze, polskie podwórko, temat jest nam bliski, bo sięga kilku wieków wstecz do czasów, kiedy Rzeczypospolita Obojga Narodów była potężna i być może nie wyzyskała sposobności, by swoje panowanie utrwalić. Dobrze to czy źle? Na to nawet bardzo wnikliwy badacz nie odpowie, chyba poprzez analogię do rządów rosyjsko-sowieckich. One przecież także okazały się nietrwałym epizodem.

Wydaje się zatem, że powyższy, raczej telegraficzny, przegląd faktów uzasadnia słuszną myśl ponownego wydania książki *Polacy na Łotwie*, oczywiście w wersji uzupełnionej o najnowszy stan badań.

Ks. Edward Walewander

8 Jałowiecki, s. 147. Por. też: M.-M. Acher, *Niewłaściwa twarz. Wspomnienia ocalałej z Warszawskiego Getta*, tłum. z franc. Z. Zieliński, Częstochowa 2001, s. 55 i S. A Korwin, *Wspomnienia*, t. I, *Na przełomie dwóch epok*, red. S. Włoszczewski, Warszawa 1966, s. 91.

9 Niektóre informacje za: https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/Lotwa-Historia;4574665.html (dostęp: 27.01.2022)

10 Por. np. problemy w tym względzie Zofii Wojewódzkiej-Vabaliene, https://kpbc.umk.pl/Content/201715/Wojewodzka_Vabaliene_Zofia_3421_WSK.pdf, s. 20-21 (dostęp: 27.01.2022).

* * *

Człowiek kultury
i kultura człowieka.
Jedno drugie przenika
na wskroś, do szpiku.

Ludzka natura
już nie jest dzika.

Dzikość
zanika.

ODBICIE

Schylony nad źródłem
przyjrzałem się sobie.

Więc to ja.
Odbicie

zostało zmącone,
gdy spieczone wargi
zanurzyłem w wodzie.

WYSOKA POPRZECZKA

Wysoko stawiam
poprzeczkę.

Tak, że przejść mogę
pod spodem

z dumnie
podniesionym
czołem.

OCIEPLENIE

Zbudowałem zamek
na lodzie. Odpływa
na krze. To byłem ja,
lecz już tam nie ma mnie.

Mówią: ocieplenie.
Ja na to: czemu nie.

Wolny duch—
tym być chcę.

* * *

Odkąd przestałem gonić czas,
przestał przede mną uciekać.
Żyłem w pośpiechu, byle jak.
Od nowa uczę się życia.

* * *

Niecenzuralny
wyraz twarzy
ma kto w bezmyślnym
świecie myśleć
się odważy.

* * *

To wbrew dyrektywom:
Nasza polska krowa
ma wylot metanu.
Trzeba zaplombować.

NOWA MOWA

Nowa nomenklatura:
Już się nie mówi „chamstwo".
Mówi się „kontrkultura".

W BORÓWKU

Źródełko mojej
młodości
jest w Borówku,
za Żółkiewką.

Chciałem tam wrócić
po latach.
Ścieżka chaszczami
zarosła.

Gdybym znów wypił
tej wody,
może bym jeszcze
odmłodniał.

LAUR POŚMIERTNY

Po śmierci malarza obrazy
rosną w cenie. Po śmierci wiersze
zyskują w krytyków ocenie.
Dobry autor, to martwy autor.
Grób stroją mu w laurowy wieniec.

Andrzej Samborski

Zygmunt Zieliński

Prymas Stefan Wyszyński jakiego znałem (#2)

Ordynariusz, mentor…

Mój kurs, mający święcenia kapłańskie 15 czerwca, liczył na to, że wyświęci nas Prymas. Okazało się jednak, że będzie on w tym czasie w Rzymie, a święceń dokona biskup Lucjan Bernacki. Prymas „na otarcie łez" obiecał, że skoro tylko będzie mógł przyjedzie na nasze spotkania koleżeńskie w rocznicę święceń. Nie pamiętam czy był 2 lub 3 razy i czy ja zawsze uczestniczyłem. Jedno spotkanie pamiętam, choć nie kojarzę miejscowości. Wiem, że było to w wiejskiej parafii jednego z moich kolegów i że były to lata siedemdziesiąte. W pamięci pozostały tylko pewne fragmenty zdarzeń. Utkwiło mi w pamięci, że wychodząc z kościoła pewna starsza kobiecina zapytała mnie, czy jacyś ważni księża przyjechali na konferencję? Coś jej odpowiedziałem, ale nie to, że będzie Prymas, bo domyślałem się, że jest incognito. Bardzo się spieszył, ale po obiedzie nagle powiedział: usiądźmy sobie przy kawie i porozmawiajmy. Jestem to wam winien. Oczywiście Prymas zaczął opowiadać jakie ma problemy z władzą, a następnie pozwolił na zadawanie pytań. Jedno, pamiętam, dotyczyło różnicy w przebiegu rozmów z władzami za czasów Gomułki i Gierka. O Gomułce powiedział tylko, że to człowiek nerwowy i towarzysko mało obyty, a przy tym doktryner. O Gierku mówił podkreślając jego dobre maniery, opanowanie i skłonność do drobnych kompromisów. Zapytany, czy dostrzegł u niego dobrą wolę, stwierdził, że Gierek dał do zrozumienia, iż nie może podejmować wszystkich decyzji samodzielnie. Jeden z kolegów postawił pytanie, czy Prymas dostrzegł u Gierka jakiś ślad religijności, może coś poufnie na ten temat wyznał. To był już koniec spotkania i Prymas nie podjął tematu tylko powiedział, że „wchodzimy na grunt bardzo osobisty, a nadto mówię nie o wszystkim, ale wy możecie o wszystko pytać".

Z naszych spotkań rocznicowych niewiele pamiętam. Jedno, na które zaprosiliśmy biskupa Bernackiego do parafii Wenecja pod Żninem, utkwiło mi szczególnie w pamięci. Gospodarz przyjęcia, miejscowy proboszcz zaprosił biskupa na przejażdżkę łódką, która nagle zaczęła nabierać wody. Było więcej strachu niż zabawy.

Kilka razy do roku odbywały się konferencje rejonowe, zwykle dla południowej części archidiecezji w Jarocinie, dla północnej w Bydgoszczy, z okolic Gniezna w seminarium duchownym. Jako studenci nie byliśmy zobowiązani do uczestniczenia w tych spotkaniach mających charakter czysto duszpasterski. Jednak, będąc w pobliżu, przynajmniej ja lubiłem na takie spotkanie zajrzeć. To, o czym piszę, być może było jeszcze przed studiami na KUL, nie mogę bowiem umiejscowić tego w czasie. Otóż był to czas Wielkiej Nowenny, to pewne, bo Ksiądz Prymas szeroko rozwodził się nad programem kaznodziejskim zobowiązując wszystkich do korzystania ze szkiców kazań drukowanych w Nowej Bibliotece Kaznodziejskiej. Kiedy przyszedł czas na wolne głosy, jeden z kolegów podniósł rękę, a kiedy udzielono mu głosu rzekł: *Eminencjo, ja ślubowałem, że nigdy nie będę czytać Nowej Biblioteki Kaznodziejskiej*. W auli zapanowała cisza. Prymas się uśmiechnął i spokojnie odparł: *to ja niniejszym księdza z tego ślubu zwalniam*.

Już jako studenci na KUL zwyczajowo składaliśmy 2 stycznia wizytę i życzenia noworoczne Prymasowi w Gnieźnie. Był to pomysł biskupa Jana Czerniaka, niezwykle oddanego Prymasowi sufragana gnieźnieńskiego. Było to dla nas uciążliwe, bo trzeba było niekiedy z daleka podążać do Gniezna, właściwie na maximum dwie godziny. Biskup Czerniak odwiedzał nas dość często w Lublinie i przypominał, jak to Jego Eminencja oczekuje tego spotkania i pragnie nas bliżej poznać. Więcej nie musiał mówić, bo życzenie Prymasa było dla wszystkich zobowiązaniem. Pamiętam, kiedy ostra zima rozpoczęła się wraz z nowym rokiem, ale 2 stycznia trzeba było jechać do Gniezna. Miny kolegów były minorowe. Każdy wolałby siedzieć w cieple i korzystać z kilku wolnych dni. Biskup Czerniak był jednak pełen entuzjazmu, gdyż za kilka minut miał się pojawić Ojciec. Kiedy wszedł do jadalni w towarzystwie ks. kanonika Jana Zaręby i jeszcze jednego kapłana, bodajże warszawskiego, widać było na twarzy Prymasa zmęczenie i coś jakby zdziwienie. A więc jesteście – odezwał się. No, cóż posilimy się i pomówimy, co tam wam leży na sercu. Nie było entuzjazmu w tych

słowach. Ks. Nowaczyk, będący kimś w rodzaju seniora naszego zespołu wstał i złożył Prymasowi życzenia. A że był to weredyk, dodał przeprosiny za nasze najście. Ale, powiedział, ks. biskup Czerniak zapraszał nas w imieniu Eminencji, zapewniając, że Ksiądz Prymas jest bardzo zadowolony, kiedy nas może zobaczyć. Prymas w trakcie tej przemowy już się uśmiechał, my też patrząc na mocno zarumienioną twarz biskupa Czerniaka. Prymas, już teraz na dobre rozpogodzony, zapewniał nas, że nie istnieje żaden bardziej go radujący widok, jak kilkunastu młodych kapłanów, na których czeka Kościół. Zatem nie tylko nas serdecznie wita, ale zaprasza ponownie, kiedy tylko pojawi się możliwość spotkania. Atmosfera wyraźnie się poprawiła, a biskup Czerniak gdzieś przy końcu stołu do kogoś szeptał: Ojciec tylko tak mówi, ale zawsze się o was dopytuje. Kapłan siedzący najbliżej Księdza Prymasa tak się ku niemu przysuwał, że obawialiśmy się, iż zepchnie go z krzesła. W pewnym momencie nasz najmłodszy kolega, Wojtek odezwał się dość głośno do sąsiada: czy może masz możliwość postarania o zagraniczną wazelinę, bo ta polska jakoś jest słaba. Chyba wszyscy pojęli aluzję. Nastała kłopotliwa cisza. Prymas jak gdyby nie słuchał, rozmawiając z najbliżej siedzącymi kolegami. W pewnej chwili jednak pogroził palcem w kierunku Wojtka i powiedział: Wojtuś, Wojtuś nie bądź taki dowcipny. Chyba wszyscy pojęli o czym mowa, z wyjątkiem tego, którego dowcip Wojtka dotyczył.

Prymas miał wprost fenomenalną umiejętność odpowiadać na kłopotliwe niekiedy pytania i reagować błyskawicznie na sytuacje go zaskakujące. Będąc w pewnej parafii (nomina sunt odiosa et in versu et in prosa) przy obiedzie zagadnął proboszcza, tytułując go kanonikiem, kim tamten nie był. Jeden z moich kursowych kolegów, proboszcz z sąsiedztwa, wstał i pogratulował starszemu koledze co dopiero uzyskanej nominacji. Prymas zdziwiony zapytał: to ksiądz nie jest kanonikiem? Tamten potwierdził. Prymas na to: mylicie się wszyscy, bo właśnie nim został. A do mego kolegi: czy ksiądz nim zostanie, to się jeszcze okaże.

W czasie spotkań z księżmi poruszał niemal zawsze kwestie związane z polityką władz wobec Kościoła i z nachodzeniem księży przez SB. Sam słyszałem, kiedy, ostrzegając przed takimi kontaktami, bardzo oględnie wypowiadał się o samych funkcjonariuszach. Nie suponował u nich złej woli. Ale uważał, że kiedy okazywało się, iż naiwnego księdza można wykorzystać, żaden się przed tym nie cofnie. Wtedy też powiedział, że w przypadku szantażu należy powiedzieć, że delictum już zostało zgłoszone do ordynariusza i on wyznaczy karę. Każdy człowiek jest ułomny, ale nie errare (błądzenie) ale perseverare (trwanie w błędzie) jest najgorsze. Gdy chodziło o kary za punkty katechetyczne i inne wykroczenia, to kazał Prymas obciążać siebie, bo ksiądz działa tylko z polecenia biskupa. Koledzy z niektórych diecezji nie mogli się pochwalić takimi pasterzami.

Kiedy się starałem o pozwolenie na czytanie tzw. ksiąg zakazanych, Prymas kazał zwrócić się do kurii i powiedział, że mogę z pozwolenia korzystać niezależnie od tego, czy i kiedy dostanę je na piśmie. Koledze jednak podobnego zezwolenia dać nie chciał, twierdząc, że najpierw trzeba przeczytać to, co konieczne dla zbawienia dusz, a dopiero potem pozostałe pisma. Wyjaśnił też, że pisma mające cenzurkę jako szkodliwe nie przyniosą pożytku komuś, kto własnych zasad dobrze nie poznał. Nie znaczy wcale, że tamte niedozwolone pisma są absolutnie złe, bo to tak jak z pokarmem, nie każdemu wszystko służy.

Ksiądz Prymas miał niezwykle sugestywny sposób argumentacji. Nie sięgał do jakichś wyrafinowanych argumentów, mawiał, że prawda jest bardzo prosta i sama się broni. Bywało, że powoływał się na swoje rozmowy z władzą komunistyczną. O wiele bardziej był krytyczny wobec tzw., katolików postępowych, czy jak dziś się mówi, otwartych. Kompromis wchodził u niego tylko w tym przypadku, kiedy chodziło o tzw. res circa sacra – sprawy spoza sfery sacrum. Kiedy go spytałem, czy mogę drukować w pismach świeckich, państwowych, odpowiedział, że w ramach tematyki danego pisma owszem, zaraz dodając, że nie dotyczy to pism reklamowanych jako katolickie, usiłujących pouczać nas, jak mamy chwalić Boga. Nie musiał wymieniać tytułów. Każdy wiedział, o jakie chodzi.

Na temat KUL-u usłyszałem tylko raz od Kardynała kilka słów, ale utkwiły mi one w pamięci, jak się okazuje, uniwersytet albo ich nigdy nie usłyszał, albo je wykreślił z pamięci. Prymas po którejś z inauguracji, na deptaku kulowskim spotkał się z nami gnieźnianami. W pewnym momencie zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy wiem, co jeden z Instytutów KUL-u właściwie robi? Odpowiedziałem jak potrafiłem, ale niewiele z tego wynikało. Pokiwał głową i obiecał się sprawą zainteresować. Pytanie swoje, jakby mimochodem, usprawiedliwił: bo sporo on (Instytut – ZZ) nas kosztuje. Znamienne było jego zachowanie w innej sytuacji. Otóż był to czas, kiedy po rektorze Granacie obejmował rektorstwo o. Krąpiec. Już nie wiem w jakiej sprawie, ale miałem wyznaczoną audiencję u Księdza Prymasa bodajże na godzinę 11.00. Oczywiście byłem o pół godziny wcześniej i siedziałem w poczekalni, kiedy nagle do pomieszczenia wkroczył z impetem o. Krąpiec w wykrochmalonym i wyprasowanym, białym habicie, a za nim ks. Wincenty Granat, jak zwykle skromniutki i może nawet trochę zaaferowany. Zerwałem się z krzesła, by powitać obu moich zwierzchników. O. Krąpiec zapytał mnie, na kiedy mam audiencję. Brakowało →

jeszcze kilkanaście minut. Poprosił, czy nie przepuściłbym ich przed sobą. Odpowiedziałem, że nie jestem samobójcą, a odmowa rektorowi to śmiałość na jaką mnie nie stać. Krąpiec chodził nerwowo po pomieszczeniu, co chwila o coś pytał. A to, czy już widziałem się z Prymasem i w jakim jest nastroju, a to martwił się, czy moja wizyta nie przeciągnie się, a on ma termin w ministerstwie. Ks. Granat nie odezwał się ani słowem, tylko się uśmiechał. W pewnym momencie otwierają się drzwi do gabinetu prymasowskiego, wychodzi z niego jakiś kapłan, a za nim Ksiądz Prymas, do którego dosłownie podskoczył Krąpiec, przyklęknął i pocałował Prymasa w pierścień, czy w rękę. Zaraz przypomniałem sobie, jak kiedyś o. Krąpiec wypowiadał się o konieczności likwidacji gestów feudalnych z praktyki kościelnej. Prymas uczynił gest, jak gdyby chciał pomóc mu wstać. Ks. Granat przywitał się normalnie. O. Krąpiec zwrócił się do Prymasa z prośbą czy by nie mógł być przyjęty przede mną, bo jak rzekł „nasz młodszy kolega nie miałby nic przeciwko temu". Prymas spojrzał na mnie i zapytał na jaką godzinę jestem zaproszony, kiedy powiedziałem, rzekł: *nic na to nie poradzę, serva ordinem ordo te servabit*. Ks. Zieliński wchodzi teraz. O. Krąpiec jeszcze coś wspomniał o ministerstwie, ale Prymas uśmiechnął się i wpuścił mnie do gabinetu. Muszę przyznać, że wolałbym, by Krąpiec wszedł przede mną. Usiadłem na brzeżku krzesła, Ksiądz Prymas wejrzał w jakieś papiery i przypomniał mi sprawę, w jakiej prosiłem o audiencję. Rozmowa trwała niewiele minut, ale ja siedziałem jak na węglach. W pewnym momencie Prymas zapytał mnie czy mi się spieszy? Zaprzeczyłem, a na to on: *bo widzę, że siedzisz na brzeżku krzesła*. No, więc powiedziałem: *Eminencjo, tam czekają moi zwierzchnicy*. Prymas: *cóż z tego, wizyta ich wyznaczona była*, tu podał dość odległy termin. *Dlaczego ksiądz miałby czekać, bo komuś się spieszy?* Widziałem, że przeciąga rozmowę bez szczególnego powodu. W pewnej chwili Prymas wstał i powiedział, *no dobrze, widzę, że się denerwujesz, zatem zawiozę cię na piętro do Józia i tam sobie wypijecie kawę. Przecież się znacie z seminarium.* Pojechaliśmy windą na 2 piętro, tam Prymas jeszcze na chwilę usiadł i zamienił z ks. Glempem kilka słów, po czym powoli zszedł na dół. Glemp, kiedy mu wszystko opowiedziałem, wcale się nie zdziwił. Powiedział: *Prymas nie lubi ludzi, którzy wokoło siebie szum robią*.

Kiedyś wygłaszałem w katedrze gnieźnieńskiej w obecności Prymasa wykład, już w tej chwili nie pomnę na jaki temat. Czułem, że coś jest nie w porządku, bo głos w postaci odbicia wracał do mnie. Jak mi później powiedziano, w prezbiterium, gdzie znajdował się Prymas słychać było coś w rodzaju grzmotów. Powiedział później, że nie może mnie ani pochwalić, ani zganić, a co do tego drugiego, należy się bura proboszczowi. Bo nie dba o nagłośnienie. Było to powiedziane z humorem. Ks. prof. Kłoniecki, który siedział w innej części katedry rzekł na to: *a szkoda wielka, bo było warto słuchać*.

Ja w swoim lubelskim życiu miałem raczej mało okazji, by ocierać się o Prymasa, w ogóle o hierarchię, gdyż hołdowałem zasadzie pozyskanej od doświadczonego kapłana, kiedy dopiero startowałem w duszpasterstwie. A powiedział on: unikaj przełożonych, a kurii w szczególności, a żyć będziesz w spokoju i doczekasz starości. To drugie w moim życiu się sprawdza. Cóż jednak, niekiedy trzeba było zasadę tę złamać.

Ojciec

W tomie 9 *Polskiego Słownika Biograficznego* (1960–61) znalazł się biogram kard. Hlonda autorstwa ks. profesora Mieczysława Żywczyńskiego. Zawierał on pewne informacje niesłusznie krytykujące Kardynała, a nawet całkowicie nieścisłe. Spotkało się to z krytyką wielu środowisk kościelnych. Ja w 1961 r. rozpoczynałem studia na KUL, i to pod kierunkiem ks. profesora Żywczyńskiego. Gdzieś w początku roku 1962 otrzymałem list od ks. kanonika Hieronima Goździewicza, sekretarza Księdza Prymasa, w którym sugerował on, że jako kapłan z archidiecezji gnieźnieńskiej powinienem publicznie potępić ten artykuł. Oczywiście nie mogłem tego uczynić jako początkujący student wobec swego profesora. Odpowiedziałem więc, że najpierw powinienem być odwołany ze studiów, a wyznaję szczerze, że nawet wtedy nie zaprotestuję przeciw artykułowi, gdyż nie potrafiłbym uzasadnić tego kroku, zbyt bowiem mało wiem z tej dziedziny.

Znajomi księża wtajemniczeni w całą sprawę sądzili, że list był napisany z polecenia Księdza Prymasa i mam się spodziewać odwołania z Lublina. Był to czas dla mnie szczególnie trudny, gdyż co dopiero zmarła moja ostatnia siostra, a matka była w tragicznej wprost sytuacji. Ja czekałem na odwołanie ze studiów, ale mijały miesiące, a nic takiego nie następowało. Z biegiem czasu sprawa poszła w zapomnienie. Zdałem licencjat i magisterium, potem w krótkim czasie w grudniu 1965 roku doktorat. O tym ostatnim wydarzeniu poinformowałem Księdza Prymasa, który przysłał kilka słów gratulacji i błogosławieństwo. To mnie już całkowicie uspokoiło. W związku z przygotowaniem tematu habilitacyjnego zamierzałem pojechać do Merseburga do archiwum po potrzebne mi materiały. Rzecz w końcu spaliła na panewce, ale żeby starać się o zaproszenie z NRD i udać się do archiwum musiałem poprosić ordynariusza o zezwolenie na wyjazd zagraniczny. Chciałem wstępnie zorientować się, co należy zrobić w tym kierunku, więc udałem się do Warszawy

i odwiedziłem kolegę Glempa. Józio, jak zwykle z właściwą mu flegmą, pokiwał głową i oświadczył, że postara się to załatwić od ręki. Rzeczywiście poszedł do Prymasa i po chwili wrócił i mnie poprosił. Ksiądz Prymas krótko zapytał, o jakie akta mi chodzi i czy jest nadzieja ich uzyskania, po czym oświadczył, że on nie ma nic przeciwko mojemu wyjazdowi, a z kurii otrzymam formalne zezwolenie, o ile okaże się to w Merseburgu potrzebne. Na odchodnym zapytał jak się ma ks. Żywczyński? Chciałem nawiązać do artykułu o Hlondzie, ale Prymas tylko się uśmiechnął, nie pozwolił mi kończyć i rzekł: ks. Żywczyński to dziwny człowiek, ale doskonały historyk i proszę korzystać z jego wiedzy. Jeszcze coś dodał, ale ja już nawet nie do końca słuchałem. Przecież wiedziałem dobrze, że Ksiądz Prymas wezwał ks. Żywczyńskiego do siebie po ukazaniu się feralnego artykułu, a ten rzekomo pomyliwszy daty pojechał kilka dni później, kiedy wiedział, że Prymasa nie ma w Warszawie.

To wydarzenie wywarło na mnie wielki wpływ. Raz na zawsze przekonałem się, że Ksiądz Prymas nie bierze względu na osobę. Postąpił tu rzeczywiście jak ojciec, a jego zwrot z ambony: „Dzieci Boże, dzieci moje" nie był pustosłowiem. Słyszałem z różnych stron, od ludzi rzekomo mi życzliwych, bym zerwał kontakt z ks. Żywczyńskim, bo Eminencja tego oczekuje, ale chce byś sam o tym zdecydował. Słuchałem tego, ale wiedziałem, że nie od Eminencji to pochodzi, ale od ludzi, którzy w jakikolwiek sposób chcieli się Prymasowi przypodobać. Kiedy o zdarzeniu powiedziałem ks. Żywczyńskiemu, swoim zwyczajem żachnął się, ale niedługo potem, zdarzyła się okazja, by poznać jego reakcję. Pewien starszy kapłan, w którego towarzystwie odwiedziłem Profesora, zaczął rozmowę od pewnej krytyki Księdza Prymasa, że niby niepotrzebnie drażni on rząd, wtrącając się w sprawy społeczne, między innymi w problemy wychowawcze. Ks. Żywczyński słuchał z wielkim zainteresowaniem. Już wiedziałem, że szykuje się do riposty. I rzeczywiście, kiedy ów ksiądz skończył, profesor zapytał: a co właściwie miałby zrobić Prymas? Zdaniem księdza powinien życzyć komunistom powodzenia na drodze ateizacji młodego pokolenia? Prymas wie dobrze co robi i bądźmy zadowoleni, że choć on ma odwagę powiedzenia tego, o czym wielu myśli. Kiedy pożegnaliśmy gościa, Profesor sarkastycznie, jak to on, powiedział: tu chciał zganić Prymasa, a przed nim zapewne klęczy, ale chciał mi zrobić przyjemność. Pomylił się. Biskup Czerniak zapewniał nas, że Ksiądz Prymas przy każdej okazji zapytuje o nas i interesuje się naszymi pracami, a jemu zlecił częste nas odwiedzanie i jego informowanie o naszych postępach. W końcu przecież ordynariusz ma prawo wiedzieć co dzieje się z księżmi, których on wydzielił z pracy duszpasterskiej i którym polecił specjalizować

się po to, by następnie w tej pracy skutecznie się udzielać. Kiedy kończyłem studia w 1964 r. byłem zatem przygotowany do podjęcia pracy w diecezji. Biskup Czerniak zapewnił nas, absolwentów, że każdy otrzyma zapomogę na urządzenie się w Gnieźnie (10 000 zł), a co do miejsca pracy, to mamy być zadowoleni z postanowień Jego Eminencji. Było to trochę dwuznaczne, bo brzmiało nieco jak groźba. Ja, przyznać muszę, nigdy specjalnie nie martwiłem się o to, co będę robił. Raczej liczyłem na parafię, gdyż →

dla wykładowcy historii Kościoła w seminarium nie było widoków. Po jednym z ostatnich seminariów z ks. Żywczyńskim, ten zatrzymał mnie i poprosił, bym pilnie słuchał, co mi powie. Zachęcająco to nie brzmiało. Profesor wypalił wprost: „tworzą instytut historii Kościoła, każą zatrudniać asystentów, jestem temu przeciwny, ale zatrudnić muszę, czy zatem chce ksiądz być asystentem? Nie nalegam i popierać nie będę, ale czekam na odpowiedź". Byłem całkowicie zaskoczony. Podziękowałem i oświadczyłem, że muszę się z tym zwrócić do Prymasa. Na tym rozmowa się skończyła. Niezwłocznie napisałem do Księdza Prymasa i do kurii, przedstawiając cały problem i uzależniając swą zgodę o decyzji władzy kościelnej. Trochę to było niezręczne, ale w tych sprawach nie miałem doświadczenia. Pierwszy raz ktoś proponował mi angaż.

Z kurii przyszło pismo, że Eminencja wyraża zgodę na pracę księdza w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim; coś w tym rodzaju. Kolega, który zjawił się później w Lublinie powiedział, że w kurii cieszył się tylko kanclerz, ks. kanonik Palewodziński, a w seminarium rektor, ks. Kazimierz Więckowski, bo jak mi ów kolega oznajmił, byłem przeznaczony na prokuratora w seminarium, czyli takiego od spraw gospodarczych. Nie wiem czy Opatrzność miała w swej opiece seminarium czy też mnie. Jedno z dwóch z całą pewnością.

Zaraz na wstępie mojej pracy na KUL zaszła nieprzyjemna dla mnie okoliczność, bo oskarżono mnie o bezprawne pobranie poborów. Jasne było, że ktoś usiłuje mnie z KUL-u wyrzucić, co zresztą potwierdził ówczesny rektor, ks. Marian Rechowicz, znający mnie i mi bez wątpienia życzliwy. Ważne było stanowisko Prymasa, którego o sprawie zaraz powiadomiono. Złodziejem nie byłem, a startować z takim piętnem, nie było dla mnie wyobrażalne. Żyłem zatem w oczekiwaniu na werdykt Księdza Prymasa. Biskup Czerniak, który nas wkrótce odwiedził, do sprawy mojej nie nawiązał, a kiedy spytałem go o decyzję Eminencji, powiedział tylko: *Eminencja ma na ten temat własne zdanie.*

W czasie kolejnego spotkania noworocznego, było to gdzieś na przełomie roku 1969/70 Ksiądz Prymas zapytał mnie, jak mi się pracuje z ks. Żywczyńskim? Odpowiedziałem, że dobrze, ale zbliża się jego emerytura, a ja muszę się przed jego odejściem habilitować. Kłopot w tym, że trzeba wydać książkę habilitacyjną. KIK warszawski zgłosił wprawdzie opcję na jej wydanie, ale jeśli można chciałbym w tej chwili zapytać Eminencję, czy można tam książkę wydawać? Prymas spytał, czy to bardzo pilne. Nie było, zatem prosił bym się zjawił w Warszawie, kiedy nadejdzie pora. Tłumaczyłem, że nie chciałbym Eminencji obarczać takimi drobiazgami, ale on powiedział, że to dla niego żadne drobiazgi i że jest po to, by w miarę możliwości pomagać.

Tak się złożyło, że moja wizyta na Miodowej zbiegła się z negatywną decyzją KIK-u, bowiem otrzymali mniej papieru niż się spodziewali. Oznajmiłem to prymasowi na wstępie naszej rozmowy, a on machnął ręką i powiedział mniej więcej tak: „Tam jest kupa śmiecia i nie ma się czym przejmować". Pozwoliłem sobie zauważyć, że jest laikat katolicki, ale Prymas zdecydowanie odradził mi starać się o wydanie w tym środowisku jakiejkolwiek książki. Co innego artykuły w „Więzi", tam od czasu do czasu można. Na zakończenie rozmowy Ksiądz Prymas powiedział, niech ksiądz kończy pracę jak najszybciej, a ja zadbam o jej wydanie. Ks. Glemp był wprost w szoku. Nie mógł zrozumieć, że Kardynał osobiście będzie interweniował w jakimś wydawnictwie. To pierwszy raz, odkąd tu pracuję ma Miodowej. Z kolei ja opowiedziałem jak to ująłem się za laikatem katolickim, na co Glemp złapał się za głowę. Uznał to za nietakt i brak elementarnej ostrożności. Nie rozumiałem tego i powiedziałem, że Ksiądz Prymas żąda, by mu wszystko szczerze mówić. Nie zrozumieliśmy się, ale dla mnie była to kolejna lekcja, że mówi się zawsze ad beneplacitum domini, czyli to, co pan lubi. Myślę, że w przypadku Prymasa ta maksyma nie sprawdzała się. Chociaż czy całkowicie? Ciąg dalszy edycji mojej pracy był więcej niż skomplikowany. Otrzymałem pismo od ks. Bielerzewskiego z Księgarni św. Wojciecha oznajmiające mi, że „na wyraźne życzenie" Księdza Prymasa jest zmuszony przyjąć do druku moją książkę pod tytułem…itd. Poczułem się upokorzony jak nigdy, bo w dalszym ciągu listu była aluzja co do szukania przeze mnie okrężnych wejść. I moja książka jako praca naukowa będzie deficytowa. Nie wiedziałem co zrobić? Powinienem treść listu dać do wglądu Prymasowi, ale instynkt mnie od tego powstrzymywał. W międzyczasie Towarzystwo Naukowe KUL zgłosiło opcję na wydanie mojej książki. To było dla mnie nieoczekiwane rozwiązanie. Naiwnie sądziłem, że podobnie odbierze to Ksiądz Prymas, toteż napisałem list pełen serdecznych podziękowań za tak łaskawe zainteresowanie moją pracą i tak skuteczną pomoc. Odpowiedzi nie było i, prawdę mówiąc, takowej nie oczekiwałem. Po habilitacji, ponieważ praca moja w tym czasie była dopiero w druku, a habilitowany byłem, jak to wtedy mówiono za dyspensą od druku rozprawy, zwróciłem się ponownie do Księdza Prymasa i podziękowałem za opiekę nade mną i moimi studiami, dodając, że praca habilitacyjna niebawem ukaże się drukiem. Ksiądz Prymas tym razem pogratulował mi, jak zwykle w krótkim odręcznym piśmie i życzył dalszej pracy na KUL-u. To znaczyło, że żadnych planów wobec mnie nie ma. Kiedy po pewnym czasie ukazała się moja książka, nie chcąc nadużywać czasu Eminencji, zapytałem ks. Glempa, czy wypada przez jego ręce dostarczyć ją na Miodową. I chyba

tak trafiła ona do rąk Księdza Prymasa. Potem doszedł do mnie jego komentarz: No tak, ale ks. Zieliński w końcu zawsze postąpi jak chce.

W 1972 r., zaraz po habilitacji otrzymałem trzymiesięczne stypendium do Louvain. To był mój pierwszy europejski wyjazd – odwiedzin w NRD nie liczę. Chciałem być także w Paryżu i Rzymie. Rzecz jasna, bez pozwolenia Księdza Prymasa nie mogło się to odbyć. Trochę się tego obawiałem, pamiętając o sprawie z książką. Okazało się, że korespondencyjnie nie dało się tego załatwić, bo Ksiądz Prymas miał zwyczaj przeprowadzić rozmowę z każdym wyjeżdżającym za granicę. Zatem znowu trzeba było udać się na Miodową. Ksiądz Prymas przyjął mnie bardzo życzliwie, wypytywał o pracę na KUL, a zwłaszcza o cel mej podróży do Louvain i w ogóle za granicę. Ponieważ nie potrafiłem dać jasnej odpowiedzi, zaczął sam, przez dłuższy czas oświecając mnie, co mogę spotkać tam, dokąd się udaję, że pewnie mnie dużo rzeczy zachwyci, ale że wielu uległo urokowi tego świata i źle się to skończyło. Dopiero na miejscu miałem się przekonać, jak mądre to były słowa. Ksiądz Prymas siadł za biurkiem i przez chwilę pisał dwa listy, które w zaklejonych kopertach mi wręczył i rzekł: jeden list jest do ks. Banaszaka w Paryżu, drugi do ks. Mączyńskiego w Rzymie, staraj się o ich względy, bo także od nich zależy, jak moje listy zrozumieją. Dodam zaraz, że pokazując ów list ks. Banaszakowi, usłyszałem, że Ksiądz Prymas jest dla księdza więcej niż życzliwy, co będzie miało swój wyraz w mojej hojności. A więc za gościnę w naszym seminarium ksiądz nie płaci, a mam jeszcze kilka intencji mszalnych. Ks. Mączyński w Rzymie, czytając list kręcił głową i powiedział, no dobrze ugościmy księdza zgodnie z zaleceniami Eminencji. Musiały to być dobre zalecenia, bo i tu sporo zyskałem. Wprost trudno uwierzyć, jak imię Prymasa Polski na Zachodzie otwierało wszystkie drzwi. Nawet w konsulacie włoskim w Paryżu, podobno trudnym do sforsowania bastionie biurokracji.

Po powrocie z zagranicy nie było już jakiejś szczególnej okazji do spotkań z Księdzem Prymasem. Także nie pamiętam już dzisiaj, czy utrzymał się zwyczaj wizyt noworocznych, choć być może tak było, ale to były spotkania ze studentami i chociaż biskup Czerniak zachęcał nas pracowników – było nas dwóch, ja i ks. profesor Ireneusz Pawlak – to jednak obaj raczej z tego zrezygnowaliśmy.

To, co pozostało

Do napisania tego eseju właściwie mnie nakłoniono. Początkowo ani o tym myślałem. Powód był jeden. Nie chcę śpiewać w chórze tych, którzy teraz i zawsze chętnie pokazują się w towarzystwie Ojca św. – rzecz jasna, Jana Pawła II, czy Prymasa Tysiąclecia. Mam pełną świadomość, że zdobienie się takim szyldem jest małostkowe i krępujące. A już najgorsze jest pokazywanie siebie jako kogoś bliskiego tym monumentalnym postaciom. Nawet jeśli tak było. Co do mnie, to moje kontakty z Księdzem Prymasem były zwyczajne jako z kapłanem podległym jego jurysdykcji, był bowiem moim ordynariuszem. Jestem przekonany, że przeciętny kapłan tej archidiecezji pracujący w duszpasterstwie o wiele więcej miał kontaktów ze swym ordynariuszem. Na tle tych zastrzeżeń tym bardziej uzasadnione jest pytanie, po co właściwie było o tym wszystkim pisać? Osobiście widzę tylko jeden powód. Należało uczynić jakiś bilans, choćby po to, by policzyć zyski. Nie powinny być one zaksięgowane w historii i na tym koniec. Dla mnie, a jestem przekonany, że także dla wielu, Prymas jest w dalszym ciągu autorytetem przez nikogo nie zdystansowanym. Coś po nim pozostało. Wcale nie to, co obserwujemy w czasie uroczystości mu poświęconych. Wielu uczestników nie zdaje sobie do końca sprawy z wielkości jego dokonań. A tymczasem spuścizna jego, to dla każdego myślącego Polaka, nieważne – wierzącego w Boga czy w postęp techniczny, a może w jeszcze coś innego, jasne wskazanie drogi, tej jedynej drogi, na której możemy się czuć bezpieczni. Ktoś zapytał mnie z okazji beatyfikacji Prymasa Wyszyńskiego, co powiedziałby on dziś, kiedy w mediach zamiast wartości socjalistycznych jak w jego czasach, promuje się „wartości" zboczone z drogi wytyczonej przez Stwórcę? Cóż można było odpowiedzieć? Za czasów PRL nauczanie z ambony o rodzinie Bogiem silnej, o młodzieży wyrosłej na zdrowych zasadach miłości Boga i Ojczyzny także było piętnowane przez rząd i partię, oraz usłużne media. Dzisiaj więc byłoby piętnowane zalecanie zdrowej rodziny, małżeństwa, miast par partnerskich, wpajanie dziecku zdrowych zasad moralnych, miast deprawacji, jaką niesie ze sobą nowoczesność, uformowana przez ludzi upośledzonych moralnie i psychicznie. Cóż, mówiłby tak jak wonczas, tak samo byłby lżony, wyśmiewany i atakowany. Ale jego odwaga wtedy ratowała Naród, każdego Polaka wiedzącego, co to jest sumienie. I teraz byłoby podobnie. Mój rozmówca przyznawał mi rację, ale lękliwie. Bo przecież mamy XXI wiek? Bo pewnych rzeczy mówić publicznie nie można. Wtedy też tak było. Cały problem polega na tym, by znalazł się ktoś odważny i mający w sobie ducha Bożego nieskażonego tęsknotą za kompromisem.

Jeśli takie wspominki jak niniejsze, mogą się na coś przydać, to właśnie na przypomnienie tego, co pozostało i, da Bóg, by się wszystkim przypomniało, co Błogosławiony Ksiądz Prymas Wyszyński pozostawił po sobie, jako testament i dziedzictwo.

Zygmunt Zieliński

przejście

przystanek tramwaju
Budapester Straße
beton wiaduktu zamiast wieczornego nieba
pod oszkloną wiatą
kwitnie róż
dwie ascetyczne ławki
z niezniszczalnego plastiku
zapraszają
do chłodnego raju

wojna w trakcie
oczekiwania na piętrowy autobus
i koniec deszczu
który burzy symetrię
przychodzi i odchodzi
opalizuje w świetle neonówek
sadza bez czerni i kreda bez bieli

Berlin, Drezno czy Wiedeń
w kałuży
pulsujące światło sygnalizatora
sztylet katedry
przejście
na stronę
oczekiwania i nadziei

zachłanność. erotyk

nie jestem zachłanny
kiedy patrzę
i nie odwracam oczu
(sen, mara)

nie jestem zachłanny
kiedy słucham
grzęznę między dźwiękami
(echo, echo)

kiedy milczę
sypię sól
dotykam ciebie
brakuje mi języka
jestem zachłanny

modlitwa (o dobrą śmierć)

ta mętna rzeka
o bagnistym korycie
w której brodzę
ma twoje imię
Pana czasu i stworzenia
idzie za mną wlokąc
trupi zaduch – oddech śmierci

modlę się do Ciebie
nie oszukuj mnie
obiecując mi szczęście w niebie
wino zamiast chleba
oliwę na rany
fajerwerki i zabawę
od rana do rana

Panie czasu i stworzenia
przez moje trzewia
płynie twoja ciemna rzeka
posadź na jej brzegu kaczeńce
każ weselić się wróblom
muzykować świerszczom
bym uwierzył w Ciebie
że jesteś
by mi było lekko umierać

jaskrawość. erotyk

nie napiszę wiersza o miłości
jaskółka smutku
kolejny zamglony poranek
kiedy zostaje tylko
postna owsianka
na wodzie i wspomnieniach

to co mi dajesz i co mi zabierasz
zamknięte w wierszu
uschnie jak ścięta róża
powieszona głową w dół
straci czerwień, powab, kształty
zamieni się w szelest

nie napiszę wiersza o miłości
zabiorę ze sobą
scherzo oddechów – aksamitu przepaść
rozbłysk na niebie
jaskrawość bez końca

Józef Pestka, budowniczy COP

cieśla z poznańskiego, dziadek Józef
podczas pierwszej walczył pod Verdun
pływał po niebie żabką i kraulem
był żołnierzem wojsk balonowych
spędził rok we francuskiej niewoli
wojna miała dla niego cierpki smak
młodego wina, burzyła się jak wiosna

zaprzysiężony wyznawca drewna
suchy i palny jak wiór niestrudzony budowniczy
podczas drugiej walczył w obronie Warszawy
spędził trzy lata w niemieckiej niewoli
wrócił zmoknięty i chory
wojna pleśniała i gniła jak ser
niosła zapach naftaliny i śmierci

hiena historii
wyssała krew z jego żył
krojczego dachów, poszukiwacza arki
prywatnie
chwalcy czereśni i kochanka antonówki
kronikarza sekretnego
egzotycznych smaków

jeszcze (ziarno snu)

zostałem skazany na to, żeby być ruchliwym robakiem
i pracowicie drążyć w głowie labirynty
w których gubi się rozum
zostałem skazany na to, żeby być trawą na poboczu
rozjechaną kołami rydwanów, zdeptaną przez wędrowców
zdążających za horyzont
zostałem skazany na to, żeby nie być
stanąć za plecami dnia, strząsnąć kurz
obmyć stopy
zabrać pragnienia
błękitną rapsodię
zabrać głodu
wstydliwy wór
zabrać wspomnień
rdzawy płomień
fastryga
na wargach
nici babiego lata
ziarno snu pod powieką

(RED)
CYTATY
Z RECENZJI

NA POCZĄTKU BYŁ MROK...

Jubileusz 35-lecia

Marek Andała – malarstwo

Marek Andała – urodzony w 1957 r. w Ostrowi Mazowieckiej. Studia – Instytut Wychowania Artystycznego UMCS w Lublinie – malarstwo w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS w Lublinie, w pracowniach Andrzeja Kołodziejka, Jana Popka i Ryszarda Winiarskiego oraz grafikę u Maksymiliana Snocha. Dyplom uzyskał w pracowni Ryszarda Lisa w roku 1984. Jest członkiem ZPAP oraz współzałożycielem Stowarzyszenia Pastelistów Polskich z siedzibą w Nowym Sączu, jak także i Kazimierskiej Konfraterni Sztuki. W Kazimierzu Dolnym nad Wisłą prowadzi autorską galerię. Uprawia twórczość w zakresie malarstwa i rysunku. Wziął udział w ponad 60. wystawach w kraju i za granicą.

Mam świadomość, że jest wiele rzeczy, których nie znam, których nie potrafię nazwać, które są poza moim zasięgiem.
W naszym ciągłym przeżywaniu rzeczywistości – tej Wielkiej i tej Małej, codziennej, brakuje nam słów, gestów. Jak nazwać coś, co jest zjawiskiem lub stanem ducha? Moją odpowiedzią są te obrazy. W swoim sposobie przedstawiania zawierzam emocjom, intuicji... I wydaje mi się, że w jakimś małym stopniu materializuję trudno uchwytne stany i idee.

Marek Andała

W obrazach Marka Andały nie ma niczego oczywistego, jednoznaczność rozmywa się przydając nowe znaczenia i sensy pozornie znanym motywom. Zazwyczaj maluje fragment czy wycinek czegoś, ale maluje tak, że pozwala wyobrazić sobie, wręcz wymusza na wyobraźni patrzącego, pełny kształt owego fragmentu.

Waldemar Odorowski

Prace zaprezentowane na nowosądeckiej wystawie świadczą o niepospolitym talencie i konsekwencji w ciągłym doskonaleniu rozwiązań malarskich w technice pastelowej. Jego obrazy są wyraziste i od razu rozpoznawalne, charakteryzują się elegancką prostotą i dyskretną kolorystyką. Głównymi motywami obecnej prezentacji są fragmenty architektury, ale artystę interesuje nie tyle konstrukcja przestrzeni, ile raczej zmieniająca się jej powierzchnia. Marek Andała z pieczołowitością i nostalgią próbuje uchwycić niezauważalny upływ czasu. Inspiracją do stworzenia pięknych obrazów stała się dla niego degradacja materii. W odpadających tynkach, łuszczących się kolejnych warstwach farby, zaciekach czy zagrzybionych wykwitach na ścianach, zmurszałych cegłach i zbutwiałych deskach ujrzał wartości malarskie zachęcające do ciekawych zestawień kolorystycznych i fakturalnych. W planie ogólniejszym widz jest wprowadzony w świat starych zaułków, przejściowych półkolistych bram pełnych tajemniczego półmroku lub majaczących w oddali prześwitów. Artysta kontrastuje

z sobą duże płaszczyzny jasnych lub ciemnych ścian z detalami zauważonych fragmentów ościeżnic, futryn, rynien, podpór, jakichś odpadających blach, płotów czy innych szczegółów. Panoramiczne ujęcia nie ukazują jednak widzowi spodziewanych widoków całości. Ma się wrażenie, że dane mu jest obserwować ukradkiem, podglądając niechcący przez szczelinę czasu coś, co artysta chce mu ukazać. Widzi się ujawniony, obnażony, samotny pejzaż, niepełny, bezludny i opuszczony, pejzaż bez drzew, kwiatów i roślin. Pejzaż kamienny – a więc ten, który trwa najdłużej. Fundamenty, ściany, mury, ruiny skąpane w świetle i mroku przemawiają do wyobraźni dostojnością przemijania, a subtelna kolorystyka i uroda barwnych szarości czy bieli, nastrojowe światłocienie wywołują podziw nad uzyskanymi wartościami plastycznymi. Każdy dowolnie wykadrowany fragment mógłby się stać skończonym, ostatecznym obrazem. Wrażenia doskonałości i panowania nad warsztatem twórczym dopełnia nietypowa, bardzo trudna kompozycja na wydłużonych prostokątnych formatach obrazów. Twórca znakomicie godzi z sobą wyrafinowaną, delikatną gamę kolorystyczną z siłą formy uzyskanej rysunkiem, który zdecydowanymi liniami określa kierunki podziałów kompozycyjnych obrazu. To piękne, poważne i nastrojowe malarstwo w pełni wyraża Marka Andałę, artystę o wysublimowanym poczuciu piękna i filozoficznej refleksji wobec świata i siebie.

KRZYSZTOF KULIŚ

W roku 2016 w warszawskim Muzeum Narodowym otwarto wystawę, którą uznano za wielkie wydarzenie artystyczne, to „Mistrzowie pastelu – od Marteau do Witkacego". Była to pierwsza wystawa pozwalająca prześledzić rozwój tej techniki od samych początków, czyli wieku XVI, aż do drugiej połowy wieku XX.

Słowo „pastel" pochodzi od włoskiego „pasta", oznaczającego ciasto. Wiąże się to z procesem przygotowywania kredek pastelowych: pigment miesza się ze specjalnym spoiwem, dodaje się do niego kredę lub gips i zostawia do wyschnięcia. Wytworzone w taki sposób kredki mają czyste, jaskrawe kolory i dają malarzowi dużą swobodę ze względu na różnorodność zastosowań. To pastele suche, Marek Andała swe ostatnie prace wykonywał w technice pasteli olejnych. Różnią się one, od pasteli suchych, przede wszystkim składem. W skład pasteli olejnych oprócz pigmentów wchodzi: glinka, wosk i olej (który jest spoiwem).

Pastele olejne zostały wynalezione bardzo późno, bo dopiero ok. 1920 roku. Historia ich wywodzi się z Japonii, pod koniec I wojny światowej Kanae Yamamoto zaproponował zmiany w japońskim systemie edukacji a co za tym poszło dwóch nauczycieli, Rinzo Satake i jego brat Shuku Sasaki, opracowali nową formułę tuszu do kaligrafii, a później pomysł ewoluował i powstały kredki na bazie wosku i oleju. Już w 1930 roku kredki te (dziś nazywane pastelami olejnymi) były produkowane na skale masową. Pastele olejne szybko zyskały popularność, ponieważ dały studentom szkół

artystycznych nową swobodę – szybką możliwość wypowiedzi, a cena ich była dużo niższa niż, powszechnie używanych pasteli suchych. Ale nie tylko studentom przypadło do gustu to nowe medium, sam Pablo Picasso rozsmakował się w tej technice. Do tego stopnia, że gdy z powodu II wojny światowej nie mógł zdobyć z Japonii pasteli olejnych, to namówił francuskiego producenta, Henri Sennelier'a do ich produkcji.

Za najciekawszego artystę posługującym się pastelą olejną we współczesnym malarstwie polskim uznaje się Marka Andałę. Mieszka i tworzy w Kazimierzu, który dla niego jest niegasnącą inspiracją. Trudno jednak na jego obrazach doszukać się znanych miejsc: fary, klasztoru czy chociażby Wisły. Artystę wyróżnia oryginalny kadr i detal, który wydobywa na swoich pracach. Jego obrazy są jak historie o zwykłych – niezwykłych miejscach.

Tworzy przestrzeń inną niż wszyscy, dostrzega to co niewidoczne – mówią o tej twórczości znawcy tematu.

Ta praktyka (czy lepiej rzec: ta metoda, technika) wyolbrzymia prezentowany motyw, koncentruje na nim uwagę widza. Zamiast całości widz natyka się na fragmentaryczność, widzi ów detal. Można więc zawyrokować twierdzenie, że fragment muru na obrazach artysty daje większe wyobrażenie całości niż ujęcie całego muru. Artysta kontrastuje z sobą duże płaszczyzny jasnych lub ciemnych ścian z nieefektownymi detalami fragmentów architektury: drzwi, okien, komórek, rynien, stempli, odpadających blach, płotów, furtek i innych drobiazgów. Oszczędna gama kolorystyczna buduje specyficzny nastrój jego obrazów. Miejsca zwykłe stają się niezwykłe.

Jerzy Tomala

Fotografie z wernisażu wystawy 03.02.2022 | godz. 18:00 | Ciche Kąty +1 (foto fujcik) ■

Wściekli sześćdziesięcioletni

(autobiografia) odcinek trzeci

Jerzy Jacek Bojarski

Szkoła Podstawowa Nr 29 im. Adama Mickiewicza (1963–1966)

Dzieciństwo jest kopaniem dołów pod fundamenty człowieczeństwa. Zmiana środowiska czy szkoły to jest wielki problem dla dziecka, ale i jego rodziców. Do tego nie można podejść na luzie. Przy każdej zmianie środowiska zaczyna się masa złożonych wyzwań, ale i problemów. Oczywiście, można stwierdzić, że w nowym środowisku dziecko szybciej się adaptuje do kolejnych okoliczności. W listopadzie zacząłem uczęszczać już do trzeciej swojej szkoły w życiu. Tym razem do Szkoły Podstawowej nr 29 im. Adama Mickiewicza przy ulicy Wajdeloty 1. Rok temu obchodzono jubileusz sześćdziesięciolecia tej placówki oświatowej (1961–2021). Jak na owe czasy była to bardzo nowoczesna szkoła z piękną salą gimnastyczną, przebieralnie i prysznice, z boiskiem do piłki nożnej z trybunami dla „kibicujących" oraz boisko do gry w kosza ogrodzone wysoką siatką. Powstały ogródki klasowe, gdzie uprawialiśmy swoje grządki. Nauka i zabawa – praktyczne podejście do życia. Każda klasa odpowiadała na osiedlu za swój trawnik. Do szkoły uczęszczałem w latach 1963–1966, od klasy drugiej do czwartej.

Dla mnie – jak dla każdego – dzieciaka ważne były szkolne przerwy. Wtedy mieliśmy możliwość w ciepłe i bezdeszczowe dni wychodzić bezpośrednio z korytarza na wyłożone trotuarem placyki. To były wspaniałe pauzy na zaczerpnięcie świeżego powietrza. Miałem dobrych kolegów Romka Kłopotowskiego i Edwina Małeckiego, ten mieszkał ze mną w tej samej klatce schodowej. Z nauczycieli pamiętam Marię Berezowską, Kazimierę Gralewską polonistkę, mieszkała w moim bloku oraz pana od rysunków Konrada Szurowskiego (1941–1977). Chodził w okularach binoklach i nosił brodę. Wizerunkowo to taki prawdziwy artysta. Dyrektorem szkoły był Wiesław Pisarski. Z koleżanek pamiętam Martę Dębską – blondynkę. Mieszkała przy ul. Pana Tadeusza. Bardzo mi się podobała i chyba „deńko" się w niej podkochiwałem? Chodź kiedyś na gg twierdziła, że to było odwrotnie? Bądź tu mądry i pisz wiersze, a tym bardziej autobiografię?

Ostatnio na Targu na Wileńskiej spotkałem swoją nauczycielkę z Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących – Jadwigę Wojciechowską (uczyła mnie geografii), wspomniała, że kiedy byłem uczniem drugiej klasy, ona pracowała w świetlicy, bo nie było dla niej pracy jako nauczycielki.

Z lekcji rysunków zapamiętałem przeuroczy – tak to dzisiaj widzę, wtedy nie zdawałem sobie kompletnie z tego sprawy – dowcip polityczny z okazji 1 maja! Wiadomo, święto komunistyczne! Powiem tak: nie umiałem rysować, ale też nie miałem odwagi przelać na papier tego, co chciałem. W pamięci zakodowałem korepetycję z rysunku zaaplikowaną mi przez starszego ode mnie →

o dwanaście lat brata Henryka. To on nauczył mnie rysować pewne zwierzę domowe. Wystarczyło wykorzystać parę liter: „E, M, e", dwa razy małe „w" oraz małe „o". Po połączeniu tych liter kreską, wypisz – wymaluj powstała niechybnie świnia. Bardzo mi się to spodobało, że to tak sprawnie się rysuje. Kiedy na lekcji rysunku bardzo młody nauczyciel Szurowski podsunął temat, aby narysować pochód 1-majowy łącznie z trybuną, bez wahania narysowałem w pochodzie same świnie z chorągiewkami. Jedne miały flagi biało-czerwone inne czerwone. Ten sam zestaw świń umieściłem na trybunie. Po latach okazało się, że był to świetny pastisz-karykatura polityczna. Same świnie w pochodzie pierwszego maja. Czyż to nie urocze? I to jeszcze jakie! – znakomita karykatura czerwonego święta lat sześćdziesiątych. To było szczere i autentyczne, pierwszomajowe święto oczami dziecka! Sytuacja przypomina nieco hasło z okresu II wojny światowej publikowane w polskiej prasie wojennej: „tylko świnie siedzą w kinie". Tak więc zacząłem moją nieświadomą rolę antykomunistyczną już w trzeciej klasie szkoły elementarnej. Mówiąc krótko – cymes! I tak to trwa do dzisiaj! Jad komunizmu nigdy mnie nie użądlił! Hegel był mi zawsze obcy mentalnie! I Bogu niech będą dzięki za ten dar!

Dla przeciwwagi muszę dodać coś ze sfery ducha. Pierwszą komunię świętą miałem 29 maja 1964 roku przy starej kaplicy u oo. kapucynów na Poczekajce. Tę kaplicę poświęcił w 1948 roku bp lubelski Stefan Wyszyński. W moich czasach dzień przed komunią nie przyjmowało się posiłków. Ponieważ uroczystości były na dworze, a przygrzewało słońce, zasłabłem. Po uroczystościach komunijnych wszyscy mieliśmy wspólne przyjęcie w ogrodach kapucyńskich. Były kanapki, herbata, ciasto i cukierki. To była prawdziwa uczta dla nas. W domu też czekał tort i goście. Impreza była bez alkoholu! Do kapucynów chodziło się na religię, często po lekcji graliśmy z braciszkami w piłkę nożną. Do worków na ciapy zbieraliśmy jabłka z tamtejszego sadu! Dzisiaj przez dawne boisko przechodzi dwupasmowa ulica Monte Cassino. Pozostał jeszcze jego fragment i kilka dawnych drzew.

W mojej pamięci bardzo dobrze zapisała się wizyta w gabinecie stomatologicznym, który znajdował się na parterze. Mieliśmy dobrą opiekę lekarską. Badania i szczepienia obowiązkowe zawsze były na czas. Pani stomatolog wprawiała w ruch wiertło własną nogą, wiercіła w zębie przysłowiową dziurę, oczyszczała z próchnicy pod plombę z amalgamatu (srebrna plomba). Na stoliku stała lampka spirytusowa, która z kolei podgrzewała trąbkę, by można było dmuchać na chory ząb ciepłym powietrzem. Te plomby miałem w zębach najdłużej. Dzisiaj taki gabinet mógłby posłużyć za muzeum stomatologii?

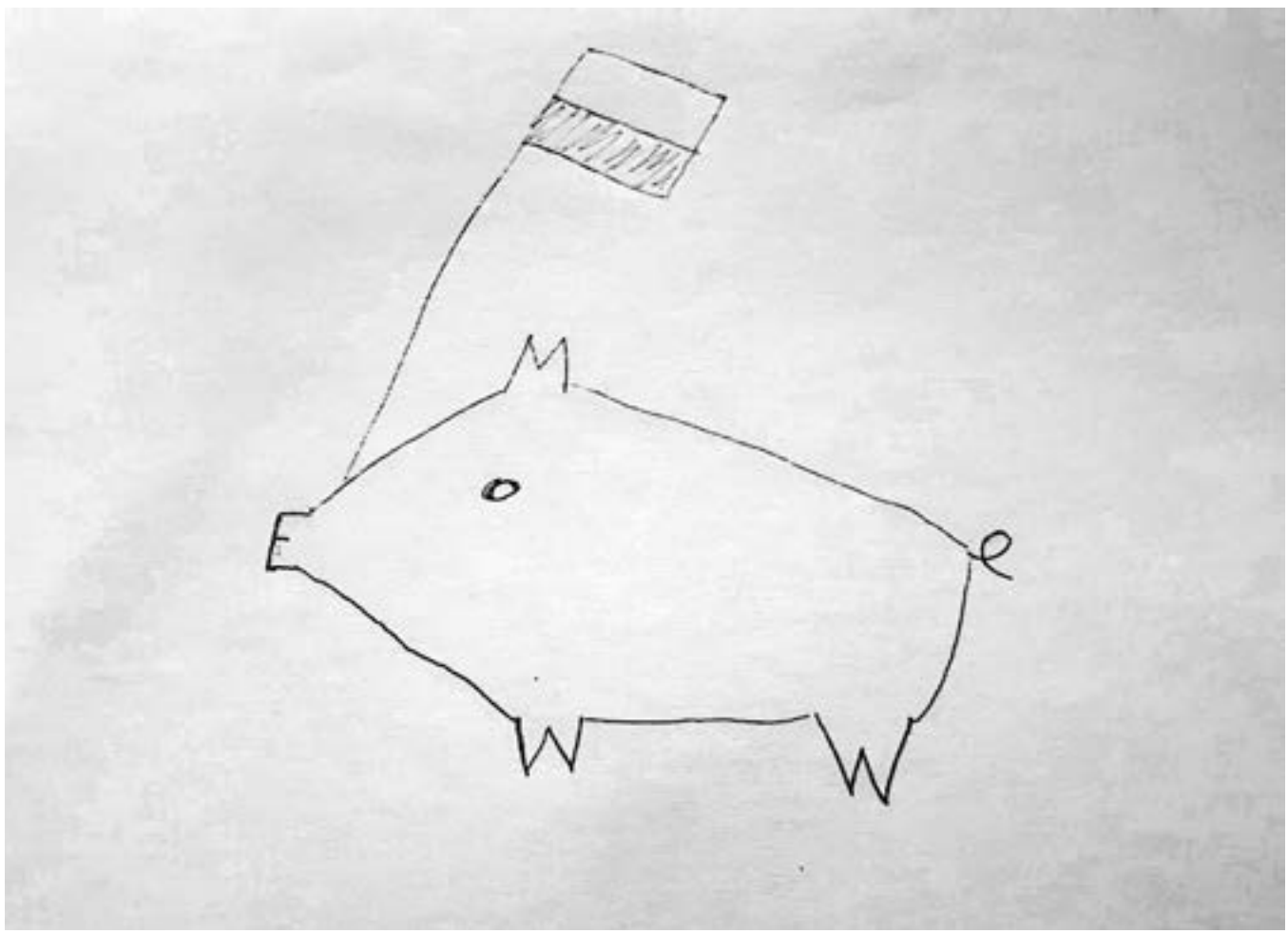

Szkoła Podstawowa nr 29 im. A. Mickiewicza przy ulicy Wajdeloty 1 w Lublinie

Na szkolnym boisku często odbywały się koncerty. Pamiętam występy Kazimierza Grześkowiaka i Piotra Szczepanika. Obaj byli absolwentami Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, pierwszy polonistyki, drugi historii sztuki. W tamtych czasach byli niezwykle popularnymi piosenkarzami.

Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych byłem w Danii, wtedy zrozumiałem, że LSM i moje osiedle w niczym nie ustępuje ekologicznej Kopenhadze. Byłem z tego powodu wyjątkowo dumny – coś ze wschodu dorównywało zachodowi. Rzecz niebywała w siermiężnych latach osiemdziesiątych PRL-u ubiegłego wieku.

Koniecznie muszę dodać, że w wakacje zostałem wujkiem Moniki Czuby mając zaledwie 11 lat – to córka Steni i Staszka Czubów.

Szkoła Podstawowa Nr 35 im. Emilii Plater (1966–1970)

Trzy lata przebywania w nowym środowisku, to poznawanie ludzi i osiedla. Uczeń łatwiej się odnajdywał już w kolejnej szkole. Zaledwie sto metrów od Szkoły Podstawowej nr 29, przy ul. Wajdeloty 12 zbudowano nową placówkę szkolną. Nowe osiedle, dużo młodych małżeństw, więc rodziło się wiele dzieci. Szkoła Podstawowa Nr 29 pękała w szwach, trzeba było wyjść naprzeciw osiedlowym potrzebom. Zauważyłem wówczas, że kiedy zaczęto budować nową szkołę, teren ogrodzono i najpierw pojawiła się na nim jednostka wojskowa! Dlaczego? Zaraz to wyjaśnię. W latach sześćdziesiątych Władysław Gomułka rzucił hasło „1000 szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego". Oczywiście szkoły powstawały, ale gospodarka mająca nadal charakter „wojenny" wymuszała budowę schronów. W każdej chwili liczono się z możliwością wybuchu kolejnej wojny, wobec powyższego szkoły miały zamieniać się w szpitale polowe ze schronami w pobliżu. Także w blokach były metalowe drzwi i były to najprawdopodobniej schrony… Lubiliśmy do nich zaglądać. Do nowej szkoły miałem raptem sto pięćdziesiąt metrów, wcześniejsza też była blisko, również około stu metrów. Pamiętam, że w 1966 roku przybyła do nas młodzież z Debreczyna na uroczystości nadania szkole imienia Emilii Plater. Śpiewałem w chórze, którego dyrygentem był wicedyrektor Kłosiński. Był także chór z Debreczyna. Oba chóry nadały większą rangę uroczystościom. Moim pierwszym wychowawcą był Andrzej Stolarski, nauczyciel wychowania fizycznego. Pod koniec wakacji wszyscy rodzice chodzili do szkoły, by sprzątać klasy po malowaniu. Rok 1996 był rokiem reformy w oświacie – zwiększono liczbę lat nauki w szkole podstawowej z siedmiu do ośmiu klas. Miałem predyspozycje do uprawiania sportu. Brałem udział we wszelkich możliwych dyscyplinach, ze wskazaniem na koszykówkę i lekkoatletykę. W szkole przesiadywałem do późnego wieczora. Wtedy istniał tak zwany SKS (Szkolny Klub Sportowy).

W roku 1966 obchodziliśmy Milenium Państwa Polskiego. Władze kościelne, z prymasem kardynałem Stefanem Wyszyńskim na czele, organizowały uroczystości w całej Polsce. Tysiąc lat temu Książę Mieszko I przyjął chrzest Polski od Czechów. Brałem udział jako →

Pierwsza komunia, rok 1964. Jurek z rodzicami

jedenastolatek w uroczystościach na KUL i pod Katedrą Lubelską. Były niekończące się tłumy wiernych. Natomiast władze państwowe zorganizowały konkurencyjne uroczystości w tych samych miejscowościach, by wykorzystać zebrane tłumy do swoich celów propagandowych.

Ponadto nie dały zgody papieżowi Pawłowi VI (1963–78) na przyjazd do Polski na centralne uroczystości na Jasną Górę do Częstochowy. W tak zwanym międzyczasie po Polsce w podniosłych pielgrzymkach wędrowała kopia obrazu częstochowskiego. Nie podobało się to władzom tak bardzo, że (sic!)... zaaresztowały obraz. Wobec powyższego pielgrzymowano z pustą ramą. Wbrew oczekiwaniom komunistów Kościół, mimo prześladowań, miał bardzo dobry czas, nie tylko wizerunkowy. Przeciwnicy Kościoła coraz bardziej pogrążali się w złych decyzjach, zwłaszcza w kontekście podjętej z nim walki.

Muszę nadmienić, że naukę w nowej szkole rozpocząłem w klasie piątej „b". Tutaj byli zapisywani uczniowie z rodzin robotniczych. Do klasy „a" uczęszczali uczniowie z rodzin o proweniencji profesorskiej, lekarskiej i z wyższym wykształceniem. Wiem jedno, w mojej klasie wszyscy bez wyjątku uczęszczali na lekcje religii, mimo iż niektórzy rodzice pracowali w milicji. W tamtych czasach lekcje religii odbywały się poza szkołą.

Grono pedagogiczne SP nr 35 z tamtych lat to: Maria Wójcik (dyrektor szkoły, uczyła geografii), zawsze lubiła pogłaskać ucznia, z którym miała kontakt, dbała o szkołę i uroczystości patriotyczne, Anna Kruszewska (zastępca dyrektora), Jerzy Kłosiński (dyrektor administracyjny, uczył nas muzyki i był wychowawcą po Andrzeju Stolarskim). Inni moi nauczyciele: Władysław Koszel – wyjątkowy pedagog, prowadził zajęcia techniczne, był surowy, ale wielu rzeczy nas nauczył, choćby o drewnie, metalu i papierze. Potrafił wymierzyć uczniowi listwą „klapsa" w łapę i nikt z tego nie robił problemu. Miał też słabość do piwa. Sam kilka razy dostawałem pieniądze i kankę blaszaną, by przynieść piwa z kiosku spożywczego. W czasie wojny trafił na Majdanek, był voraibaiterem (brygadzistą) – przodownikiem pracy na polu IV. Jako były więzień obozu, propagował budowę Pomnika Walki i Męczeństwa na Majdanku (pełna nazwa: Pomnik Walki i Męczeństwa Narodu Polskiego i Innych Narodów) – pomnik odsłonięty w 1969 roku na terenie byłego obozu koncentracyjnego. Autorami monumentu byli: Wiktor Tołkin artysta rzeźbiarz oraz inż. Janusz Dembke. To jeden z piękniejszych pomników w Lublinie. Monument rozpoczyna się Bramą, a kończy Mauzoleum koło krematorium. Dość powiedzieć, że jest to głęboko przemyślana i zaprojektowana praca oddająca hołd pomordowanym więźniom obozu przez oprawców niemieckich. Gdy zmarł Władysław Koszel, byłem w VII klasie. W lekcjach prac technicznych zastąpił go młody nauczyciel Jerzy Lachowicz. To z nim miałem niezwykłą przygodę na sali gimnastycznej. Tam spędzaliśmy wszystkie możliwe przerwy, a długie na pewno! Rzucaliśmy piłką do kosza. Lachowicz trafił 9 na 10 rzutów. Pamiętam jak dzisiaj, powiedział: „kto rzuci więcej, ma zapewnioną 5-tkę z zajęć technicznych". Byłem kolejnym rzucającym. I nie uwierzycie! Tak! Tak! Trafiłem 9 koszy po kolei i w 10 rzucie okazałem się lepszy. To był mój wielki dzień i sukces – 10 rzutów i 10 trafień! I spokój z zajęciami technicznymi, choć lubiłem ten przedmiot.

Od szóstej klasy naszą wychowawczynią była Krystyna Oszwa, uczyła nas matematyki do klasy VIII włącznie. Była ostra, ale potrafiła nauczyć. Kiedyś na lekcji wychowawczej zapytała mnie, dlaczego nie chcę się zapisać do harcerstwa. Nie chciałem mówić. Dla mnie to była organizacja na usługach partii PZPR. Wówczas mówi do mnie: idziemy do gabinetu lekarskiego, może ty jesteś chory? Odpowiadam: dobrze, idziemy!

Jednak zrezygnowała. Do harcerstwa nigdy się nie zapisałem!

Szkoła Podstawowa nr 35 w Lublinie, klasa VII b. rok 1970

Nie byłem chory. Mama mówiła mi, jak wyglądało harcerstwo przedwojenne: Bóg – Honor – Ojczyzna. Takiego harcerstwa w naszej szkole nie było! Moja wychowawczyni pani Oszwa była fanką samorządu szkolnego. Wszyscy uczniowie mieli przychodzić do szkoły w granatowych fartuszkach z białym kołnierzykiem. Ponadto musieliśmy nosić naszywane czerwone trójkąty z napisem P – przodownik (przewaga czwórek i piątek); NW – naukowy wyższy (przewaga czwórek nad piątkami), NN – naukowy niższy (piątki, czwórki i dostateczne) i O – zerowy (były stopnie niedostateczne).

Tak więc była to stygmatyzacja uczniów w przestrzeni szkolnej – dzisiaj nie do pomyślenia!

Języka polskiego uczyła nas Kazimiera Gralewska, rosyjskiego Maria Komza. To ona na lekcji języka rosyjskiego zwróciła się do Grażyny Tylutki (mojej sympatii): „ – co ty w tym Bojarskim widzisz, to taki słaby uczeń?" Cierpiałem po tym wystąpieniu. Wychowania obywatelskiego i historii uczyła Jagoda Koszałko, geografii dyrektorka Maria Wójcik. Często lekcje z nią przepadały, bo miała do załatwienia „ważne sprawy"! Od fizyki była Anna Lachowicz – młoda i piękna nauczycielka, od chemii, moja sąsiadka z klatki Maria Wójtowicz. Pamiętam jedną komiczną sytuację związaną z nią. Wychodzimy razem z klatki schodowej, pani Wójtowicz do mnie: „Jurek, przeczytaj sobie trzy ostatnie lekcje, odpytam cię dzisiaj". Oczywiście z okazji nie skorzystałem. Teczkę rzuciłem gdzieś pod szkołą i poszedłem na wagary! To wtedy na tych „zajęciach poza szkolnych" z głodu kupiliśmy bułkę i śledzie. Pierwszy raz w życiu jadłem ten słony rarytas.

Wychowania plastycznego uczyła nas Anna Kozłowska, absolwentka historii sztuki na KUL-u. Uwrażliwiała nas na sztukę. Często chodziliśmy na wystawy do BWA przy ul. Narutowicza. Zdarzyło się, że moja praca wisiała na wystawie na korytarzu. Sic! Wychowania muzycznego uczył nas Ludwik Piłat, dobrze grał w hokeja. W tym miejscu wypada mi wspomnieć, że naszą szkołę raz na jakiś czas odwiedzali muzycy Filharmonii Lubelskiej. Profesjonalne wprowadzenie do „Czterech pór roku" Antoniego Viwaldiego zapadło we mnie i tkwi w całej wrażliwości do dzisiaj. Mogłem lepiej zrozumieć to, co było grane. Do dzisiaj muzyka wywołuje we mnie stan →

Lublin Słoneczne Wzgórze rok 1970, Jerzy Bojarski

duchowego uniesienia. Pobudza mnie, czyni wrażliwym na dźwięki, choć słuch muzyczna posiadam marny, co nie przeszkadzało mi się przyjaźnić z wybitnym kompozytorem Andrzejem Nikodemowiczem (1925–2017).

Od wychowania fizycznego był Andrzej Stolarski. To u niego całymi godzinami przesiadywałem w sali gimnastycznej. Graliśmy w kosza i siatkówkę, brałem udział w imprezach lekkoatletycznych. Raz w Zamościu zdobyliśmy drużynowo srebrny medal! To z nim boksowałem się w prawdziwych rękawicach bokserskich, jak równy z równym. Nie ustępowałem mu, choć sztuka bokserska znana mi była tylko z telewizji. Szacun dla mnie. Dostał kilka uderzeń w twarz, byłem szybki i zwinny. Nie obraził się. Biologii uczyła Zofia Sieradzka. W klasie ósmej powiedziała mi: „Bojarski, ty promocji u mnie nie dostaniesz! no chyba... że zajdę w ciążę i mnie nie będzie już w szkole". I tak się stało! Zaliczyłem szkołę podstawową.

I na koniec lekcje języka francuskiego, nietuzinkowe, ba, niezwykłe! Uczyła nas Janina Danielak, osoba po romanistyce na KUL-u. Obok języka liznąłem kultury francuskiej. Po latach tłumaczyła mi kawałki do pracy magisterskiej. Odwiedzałem ją w szpitalu, chorowała na raka! Moim marzeniem było odwiedzenie Paryża. Do dzisiaj tego marzenia nie spełniłem! Mój kuzyn Andrzej Pawelski (obecnie mecenas w Krasnymstawie), który mieszkał u nas, studiował prawo na UMCS, pomagał mi w odrabianiu prac domowych z francuskiego. Nawet byłem niezłym uczniem. Ale nauka umarła śmiercią naturalną, trzy lata to za mało, by się nauczyć języka bez kontaktu z Francuzami. Podczas rozruchów marcowych w 1968 roku byłem na bieżąco, co dzieje się w Lublinie czy Warszawie. Słuchaliśmy Radia Wolna Europa! Andrzej wprowadzał mnie politycznie w temat! Na temat rozruchów marcowych więcej mógłby powiedzieć ich uczestnik – Zbigniew Fronczek. Teraz naczelny redaktor Lublina. Miałem zaledwie trzynaście lat, a byłem już wtedy wyrobionym antykomunistą! Warto w tym miejscu podkreślić, że rok 1968 nie był rokiem antysemityzmu w Polsce, jak się to próbuje czasami nam wmówić, aby wywołać w narodzie psychologię wstydu. Antysemityzm – to nie dotyczyło Polaków jako narodu, być może gdzieś, ktoś był antysemitą, ale przecież nie były to nigdy odczucia masowe! Chodziło o władzę. Rozgorzała na dobre walka we władzach komunistycznych między dwiema frakcjami politycznymi,

Os. Słoneczne Wzgórze, Szkoła Podstawowa nr 35 w Lublinie, rok 1970

na czele których stali: Władysław Gomułka (1905–1982) i Mieczysław Moczar (1913–1986). Potoczyło się, jak się potoczyło.

Po prezentacji nauczycieli – bądź co bądź powierzchownej i pospiesznej, pora przedstawić kolegów z klasy. Zrobię to alfabetycznie, może nie tak zgrabnie i melodycznie jak bard Solidarności Jacek Kaczmarski (1957–2004) w przejmującej balladzie „Co się stało z naszą klasą?"

Bożena Antosiewicz – ładna dziewczyna, córka milicjanta, Tadeusz Baran – mój bliski kolega, mając 17 lat uzyskał prawo jazdy, woził nas, z nim byłem nad Jeziorem Białka! Zbigniew Balcerek – przyszedł do nas w ósmej klasie, mieszkał na Węglinie, Jerzy Jacek Bojarski – to ja, piszący autobiografię, sportowiec pełną gębą, Teresa Biszkont – ojciec milicjant, Jacek Chojnowski – z zamiłowania chemik, kręcił wideo ze spotkania 8 czerwca 1996 roku, zaraz potem zmarł, filmu nigdy nie widziałem. Jego żona była dyrektorem w Wydziale Kultury, ja wówczas pełniłem funkcję radnego w Radzie Miejskiej (1998–2002). Jerzy Dyjak – mieszkał na Węglinie, Jerzy Dubiel – często spotykamy się na targu przy ul. Wileńskiej, handluje tam, mieszka na ul. Balladyny, informuje mnie, kto zmarł ze znajomych! Marek Domagała – klasowy lizus (tak widziany był przez kolegów)! Teresa Grzebuła – mieszkała na Węglinie, Piotr Jerzy Jeziorowski – zmarł młodo. Małgorzata Jakóbczak, Irena Kokowicz, niewiele mogę napisać, bo niewiele pamiętam. Irena Kunc – pracuje w szpitalu przy Al. Kraśnickiej, Krystyna Kijek – pracowała w sekretariacie w Muzeum na Zamku. Marek Kijek – brat Krystyny, informatyk, pracował w „Dzienniku Wschodnim", zmarł. Roman Kłopotowski – mój bliski przyjaciel, zginął w wypadku samochodowym, Waldemar Kowalczyk– zmarł, Maria Kulik – zapraszała mnie na prywatki, ale dla mnie ważniejsza wtedy była koszykówka! Zapamiętałem zabawną sytuację z historii. Marysi zadano pytanie: kto był przywódcą partii faszystowskiej we Włoszech. Odpowiedziała bez namysłu Mississipi. Klasa w śmiech. Marysia szybko się poprawiła na Missouri – wszak to prawy dopływ wymienionej wcześniej rzeki, więc była blisko. Chichot się tylko w klasie wzmógł. Biedny Benito Mussolini w grobie się chyba przewracał, cały jego faszyzm został zmieszany z dwiema rzekami i spłynął jej nurtem!?

Tablica na murze szkoły Podstawowej nr 29

Halina Mochol, Maria Maciec – nie za wiele pamiętam, Waldemar Morszczyzna – mieszkaliśmy w tym samym bloku przy ul. Wileńskiej, słuchał muzyki i nią się fascynował. Robert Mazur– nasze dzieci chodziły razem do szkoły, prowadzi biuro turystyczne, Edwin Małecki – kumpel z klatki schodowej, mieszkałem pod numerem 17, on pod 18 na I piętrze, z nim i Romkiem Kłopotowskim trzymaliśmy sztamę. Raz pojechaliśmy rowerami nad jezioro Firlej, około 45 km. Musieliśmy wrócić do godz. 15-tej, Edwin pożyczył mi rower ojca. Miał drewnianą ramę, ojciec nic nie wiedział o tym! To był chyba jakiś antyk! Innym razem kupiliśmy trzy wina marki „wino" za 19 złotych, tak zwane patykiem pisane. Pojechaliśmy do Dąbrowy, by je wypić, a byliśmy raptem w VI klasie. Koledzy popili się i porzygali, ja byłem dzielny i zaprawiony. U mnie w domu co tydzień była studencka impra i picie alkoholu, który podpijałem! Miałem wprawę! Janina Mąka – niewiele pamiętam, Witold Okulski – klasowy prymus, zawsze dawał odpisać lekcje, a także nas douczał, Anna Podkowa, Czesław Popiołek– mieszkał przy ul. Struga, Sławomir Szala, Krzysztof Szulej – dobrze grali w piłkę, Mirosław Szczucki – świetnie rysował, Grażyna Tylutki – przyszła do nas w VI klasie, przyjechała ze Stalowej Woli, od razu mi się spodobała, sympatyzowałem z nią do końca szkoły podstawowej, miłość platoniczna.. Skończyło LO im. Staszica, została lekarzem laryngologiem. Nasi synowie przez rok chodzili razem do I klasy Szkoły Podstawowej nr 35 w roku szkolnym 1990/91. Po koncercie Budki Suflera przez miesiąc miałem kłopoty ze słuchem i trafiłem do niej jako pacjent. Pracowała w Przychodni Zdrowia przy FSC. Kiedyś znowu spotkałem ją na mieście, raz w LUXMEDZIE na Królewskiej. Andrzej Wielgus – dobry kumpel, dzielił się ze mną kanapkami, niedawno zmarł, ponoć się zapił? Halina Wiśniewska – pracowała w sklepie przy Krakowskim Przedmieściu, dawno jej nie widziałem, Barbara Żydek – nic o niej nie wiem, Halina Żytkowska – wstyd wspominać, powtarzała klasę, jej brat był dobrym koszykarzem. Kazimierz Żyhaluk – został milicjantem, prowadził prywatny biznes, teraz nie wiem, co robi. To dnia 8 czerwca w 1996 roku, po imprezie w Szkole Podstawowej nr 35, zaprosił nas do siebie do prywatnej firmy, mieszczącej się wtedy w Teatrze w Budowie. Impreza trwała do białego rana, ktoś go wtedy okradł z pieniędzy. Bardzo niemiła sprawa!

Szkołę Podstawową ukończyłem w czerwcu 1970 roku. I co tu dalej ze sobą robić? Miałem dylemat, gdzie składać papiery, do jakiej szkoły?

Jerzy Jacek Bojarski

Danuta Szymonik

O poezji ukraińskiej przed wojną

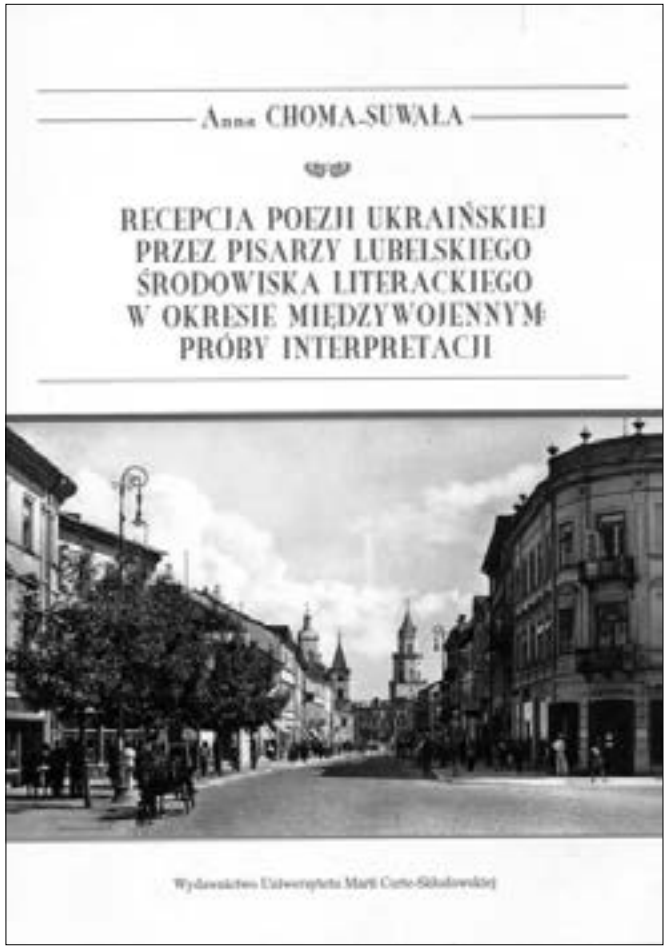

Anna Choma-Suwała, *Recepcja poezji ukraińskiej przez pisarzy lubelskiego środowiska literackiego w okresie międzywojennym: próby interpretacji*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2019, ss. 326.

W Polsce poezja ukraińska jest znana, ceniona i tłumaczona od dawna przez znanych polskich poetów, takich jak Mieczysław Jastrun, Włodzimierz Słobodnik, Jerzy Litwiniuk, Lucjan Siemieński, Piotr Trochanowski i in. Duże zasługi w dziedzinie przekładu literatury współczesnej naszych wschodnich sąsiadów położył Andrzej Nowak, wydawca i tłumacz zbioru wierszy „Pierwszej Damy" poezji ukraińskiej – Liny Kostenko. Zbiór utworów poetyckich *I dzień, i noc, i mgnienie* został opublikowany w języku polskim i ukraińskim przez Oficynę Literacką i Fundację św. Włodzimierza w 1997 roku, w Krakowie. Współczesna poezja ukraińska przyciąga również poetę, prozaika i krytyka literackiego Bohdana Zadurę, który z powodzeniem przekłada wiersze współczesnych poetów ukraińskich. Zadura jest tłumaczem utworów Dmytra Pawlyczki, Marianny Kijanowskiej, Ostapa Sływinskiego, Bohdana Matyjasza, Oleha Łyszechy, Ilii Strongowskiego, Jurija Wynnyczuka, Wasyla Machno, Serhija Żadana, Hryhorija Semenczuka i in.

Dowodnym przykładem zainteresowania poezją ukraińską jest też cykliczny konkurs poezji ukraińskiej „Poznaj nasz kraj", organizowany przez Zespół Szkół z Ukraińskim Językiem Nauczania w Bartoszycach (woj. warmińsko-mazurskie). Dzięki zaangażowaniu miłośników tej poezji, przez wiele już lat, na scenicznych deskach wybrzmiewa poezja znanych ukraińskich klasyków, m.in. Łesi Ukrainki – patronki bartoszyckiej szkoły, Iwana Franki, a także poetów współczesnych. W obecnym czasie nie można też nie wspomnieć o licznych imprezach kulturalnych (z udziałem radia telewizji) i wielu przedsięwzięciach pomocowych, organizowanych w ostatnich miesiącach w Polsce na rzecz walczącej o swoją suwerenność Ukrainy. Listę podobnych przedsięwzięć kulturalnych, jak i listę tłumaczy współczesnych poetów ukraińskich można by omówić szerzej, ale nie o to w mojej wypowiedzi chodzi. Przedmiotem refleksji w niniejszym tekście jest książka Anny Chomy-Suwały pt. Recepcja poezji ukraińskiej przez pisarzy lubelskiego środowiska literackiego w okresie międzywojennym: próby interpretacji.

Należy zauważyć, że mimo dużego zainteresowania literaturą ukraińską, w dziedzinie literaturoznawstwa niewystarczająco zbadana pozostaje historia odbioru poezji ukraińskiej w polskiej przestrzeni kulturowej. Lukę tę w dużym stopniu wypełnia wspomniana pozycja naukowa, poświęcona recepcji poezji ukraińskiej okresu międzywojennego i zawierająca interpretację przekładów tejże poezji, tłumaczonej przez trzech znanych polskich poetów, których autorka określa mianem poetów środowiska lubelskiego. Chodzi tu o Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Józefa Czechowicza oraz Józefa Łobodowskiego. A. Choma-Suwała podjęła temat ciekawy i mało zbadany, zebrała ogromny materiał historyczno-literacki, dotyczący działalności kulturalnej wymienionych twórców, głównych przedstawicieli środowisk literackich, związanych z Chełmem i Lublinem. Jej książka prezentuje zjawiska kulturowe, fakty i sytuacje, odzwierciedlające związek literatury, krytyki literackiej i publicystyki z życiem społecznym Polaków i Ukraińców.

Metodologia pracy opiera się na poszerzonym niejako rozumieniu estetyki recepcji; w jej ramach Autorka odnosi się do interpretacji poezji ukraińskiej przez pisarzy lubelskich, w okresie międzywojennym. Owo poszerzone rozumienie estetyki recepcji, jako strategii metodologicznej w literaturoznawstwie XX wieku, w ujęciu A. Chomy-Suwały polega na wyborze tekstów odpowiadających indywidualnym preferencjom i zainteresowaniom lubelskich poetów, odczytywaniu przez nich poezji ukraińskiej i wreszcie na wyborach technik translatorskich.

Podstawowym założeniem książki jest zatem recepcja poezji ukraińskiej, zarówno przez indywidualne odczytanie przez wymienionych wyżej pisarzy z lubelskiego środowiska literackiego, jak i przez ich przekłady, stanowiące poetyckie odzwierciedlenie owego odczytania. W związku z powyższym, w części teoretycznej Autorka opracowania sięga do dobrze rozwiniętej na gruncie polskim teorii przekładu, w celu dostosowania się do jej założeń w części empirycznej. Autorka monografii odwołuje się zarówno do pionierskich teorii przekładu z 1948 roku (Stefan Szuman, Seweryn Pollak), do autorów i ich prac z lat 60-ch i 70-ch XX wieku (poznańska, warszawska i łódzka szkoła przekładu) oraz do studiów na ten temat, powstałych w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku (Jerzy Ziomek, Edward Balcerzan, Stanisław Barańczak, Anna Legeżyńska, Ewa Kraskowska i wielu innych), jak też do prac, powstałych w dwóch dekadach wieku obecnego (Roman Lewicki, Krzysztof Hejwowski, Krzysztof Lipiński, Barbara Kielar i in.). Tematem rozważań we wspomnianym rozdziale są kwestie terminologiczne, strategie translatorskie, problemy nieprzekładalności oraz toczące się wokół nich dyskusje. Jak wspomniałam wyżej, propozycje wymienionych, jak i nie wymienionych przeze mnie teoretyków przekładu, posłużyły jako punkt wyjścia do opisu strategii translatorskich, stosowanych przez lubelskich pisarzy, jak i towarzyszących im transformacji.

Jednakże praca Anny Chomy dotyczy, przede wszystkim, ważkiego zagadnienia recepcji literatury ukraińskiej w Polsce. Recepcja literacka jest bowiem istotną dziedziną badań literaturoznawczych. Jak pisze krakowska badaczka Anna Jarmuszkiewicz:

> ...pytanie o odbiór i o czytelnika zawsze pozostanie podstawowe dla literaturoznawstwa, choćby temat ów chwilowo nie wysuwał się na główny plan zainteresowań naukowych. Recepcja literacka nieodmiennie znajduje się więc w kręgu kwestii fundamentalnych dla omawianej dyscypliny[1].

Świadomość tę posiada również Autorka omawianej księgi. Głównymi kierunkami Jej badań jest z jednej strony, omówienie oraz interpretacja poezji ukraińskiej, tłumaczonej przez wybitnych przedstawicieli „szkoły" lubelskiej, z drugiej zaś – problematyka translatologiczna. Takie podejście metodologiczne jest ze wszech miar uzasadnione. A. Choma wyraźnie akcentuje, iż zależy Jej na prezentacji działalności kulturalnej lubelskiego środowiska literackiego i jego związków z poezją ukraińską. Oczywiście zasadniczym przejawem owych powiązań jest recepcja literatury ukraińskiej, realizująca się m.in. poprzez przekłady. Na fundamentalne znaczenie obu wymienionych aspektów wskazuje pierwszy rozdział książki, zatytułowany *Zarys teorii recepcji i teorii przekładu*, poruszający problem estetyki recepcji w ujęciu takich wybitnych jej przedstawicieli, jak: Hans Robert Jauss, Wolfgang Iser, Roland Barthes i in. Autorka podaje trafną diagnozę powojennej myśli literackiej, rozwijającej się w kierunku estetyki recepcji:

> Krystalizujący się program teoretyczny estetyki recepcji wiązał się ze znaczną reorganizacją priorytetów i odejściem od dotychczas panującego modelu odbioru dzieła literackiego. Zmiany polegały na rezygnacji z estetyki produkcji polegającej na analizie utworu, jego struktury i genezy, która była ukierunkowana na autora, na rzecz estetyki odbioru, koncentrującej się na czytelniku (s. 20).

Anna Choma pokazuje również wkład polskich literaturoznawców do badań nad kwestią odbioru dzieła literackiego, wskazując na takie nazwiska jak: Michał Głowiński, Kazimierz Bartoszyński, Jerzy Madejski, Andrzej Skrendo i in.

W dalszej części rozdziału teoretycznego Autorka pracy prezentuje swoją wiedzę na temat teorii przekładu, bowiem – jak słusznie zauważa – „translacja jest specyficzną formą przekazu, która daje dziełu nowe życie i oddziałuje na czytelnika docelowego, na jego estetyczne osądy i refleksje" (s. 25). Podkreślając rolę tłumacza A. Choma powołuje się na pracę Jerzego Jarniewicza (*Tłumacz jako twórca kanonu*), który wyodrębnia dwa „gatunki tłumaczy", są nimi: tłumacz-ambasador oraz tłumacz-legislator. A. Choma w ślad za Jarniewiczem wyjaśnia specyfikę obu translatorskich postaw, przytacza stosowne fragmenty ze wspomnianej pracy tegoż autora, w celu ich konfrontacji.

Podjętą w pracy problematykę traktuje A. Choma szeroko, nie tylko w aspekcie estetycznym, ale także politycznym, społecznym, moralnym oraz po części filozoficznym. Dostrzega związek pomiędzy literaturą a epoką, związek twórczości badanych poetów z konkretnym etapem historycznym, kierunkami literackimi i w ogóle problematyką historycznoliteracką. Naturę myślenia artystycznego rozpatruje jako sposób i formę opanowania rzeczywistości, toteż wiele wierszy, przełożonych przez pisarzy z lubelskiego środowiska dotyczy – jak stwierdza – spraw trudnych: skomplikowanych relacji pomiędzy sąsiadującymi ze sobą narodami oraz dążeń wolnościowych Ukraińców. Na aktualność tych kwestii, wskazują obecne wydarzenia na Ukrainie. A. Choma nie pomija również publicystyki, w której sprawy te wybrzmiewały jeszcze wyraźniej. O sprawach trudnych Autorka książki stara się mówić w sposób merytoryczny i wyważony, nie dążąc wszakże do pogłębionych analiz i nie zaznaczając wyraźnie własnego stanowiska, zarówno na temat kwestii dyskusyjnych w stosunkach polsko-ukraińskich jak i w kwestiach

1 A. Jarmuszkiewicz, *Recepcja literacka – jak może być rozumiana we współczesnym literaturoznawstwie*, „Pamiętnik Literacki" 2019, nr 1, s. 140.

sensu stricto literaturoznawczych. Uwagę tę można odnieść do całej pracy, która zawiera zbyt dużo wiadomości o charakterze ogólnym, podręcznikowym, swego rodzaju skrótów myślowych, niedookreśloności i niedopowiedzeń, zaś czytelnik oczekiwałby pogłębienia dotychczasowych sądów, bardziej ścisłych reguł rozumowania oraz silniejszych i syntetyzujących elementów poznawczych. Usprawiedliwiając po części Autorkę, chcę zauważyć, że pogłębione analizy w znacznym stopniu zwiększyłyby objętość i tak obszernego opracowania, które legitymuje się przecież wieloma zaletami, m.in. takimi jak swobodne operowanie terminologią naukową; przy czym praca nie jest nią przeładowana. Ma to miejsce zarówno w części teoretycznej, jak i empirycznej, Na podkreślenie zasługuje także bogactwo wykorzystanego materiału, staranne przygotowanie przypisów, które bywają prawdziwą „zmorą" wielu prac naukowych, o czym przekonałam się, recenzując książki i artykuły oraz redagując przez 12 lat czasopismo naukowe „Conversatoria Litteraria". Na pochwałę zasługuje również obszerna i starannie przygotowana Bibliografia, w której dokonano porządkującego podziału na literaturę źródłową (s. 293–295), literaturę polskojęzyczną (s. 295–305), literaturę ukraińskojęzyczną (s. 305–309) oraz publikacje elektroniczne (309–310). Bibliografię poprzedzono krótkimi biogramami poetów ukraińskich, których utwory przekładali lubelscy poeci. Dużą zaletą omawianego opracowania jest też siedmiostronicowy Indeks nazwisk. Indeks osób oraz Bibliografia świadczą o oczytaniu i wykorzystaniu przez Autorkę książki prac wielu badaczy. Ponadto właściwie sporządzona Bibliografia oraz Indeks nazwisk w znacznym stopniu ułatwiają lekturę, pozwalając odbiorcy na dotarcie do konkretnych twórców i badaczy.

Oczytanie Autorki opracowania znajduje odzwierciedlenie w treści całej pracy. Przejdźmy zatem do krótkiego jej omówienia. Po inicjującym pracę rozdziale teoretycznym, w rozdziale drugim Anna Choma prezentuje polsko-ukraińskie stosunki literackie (i nie tylko literackie) w latach 1918–1939, podkreślając fakt, iż mimo licznych antagonizmów, kontakty literackie i w ogóle współpraca kulturalna układała się bardzo dobrze. Początkowo głównymi ośrodkami życia kulturalnego były Warszawa i Lwów, potem dołączyły się Tarnów i Kalisz – ważne ośrodki emigracji ukraińskiej. W Tarnowie organizowano spotkania poświęcone pamięci Tarasa Szewczenki. A. Choma-Suwała podkreśla rolę ukraińskiego badacza literatury Pawło Zajcewa, autora książki *Szewczenko i Polacy* oraz redaktora polskich przekładów i pierwszego pełnego wydania dzieł ukraińskiego poety. Pisze również o ukraińskiej działalności wydawniczej na terenie Kalisza, organizowanej przez Jewhena Małaniuka i Michajła Sałehija. Liczne czasopisma wychodziły w Warszawie i jak słusznie zauważa Autorka omawianej książki, wiązało się to głównie z nową falą emigracji ukraińskiej. W zakończeniu rozdziału podkreślono rolę literatury, jako istotnej płaszczyzny współpracy Polaków z Ukraińcami. W omawianym okresie literatura była swoistym barometrem, reagującym na wydarzenia historyczne i nastroje społeczne – konkluduje A. Choma. Rozdział trzeci dotyczy przyczyn i źródeł zainteresowań tłumaczy lubelskich poezją ukraińską. Według Autorki opracowania główną przyczyną sięgania do poezji ukraińskiej były fakty natury biograficznej Wszyscy bowiem omawiani w książce autorzy byli mocno związani z Ukrainą, przez pewien czas zamieszkiwali jej tereny, czerpali z kultury ukraińskiej i nawiązywali relacje z mieszkańcami owych terenów. A. Choma-Suwała dość szczegółowo przedstawia koleje losu, kontakt z przedstawicielami kultury i kulturą miejsc, w których przebywali polscy poeci, późniejsi tłumacze poezji ukraińskiej: Kazimierz Jaworski, Józef Czechowicz i Józef Łobodowski. Kontakty kulturowe oraz sentyment wskazanych twórców i tłumaczy do literatury ukraińskiej nie zostały przerwane po docelowym osiedleniu się wszystkich trzech pisarzy w Polsce. Jak czytamy w podsumowaniu omawianego rozdziału,

> każdy z nich podkreślał potrzebę popularyzacji literatury ukraińskiej w Polsce. Chcąc sprostać temu zadaniu, podejmowali różne działania, nie ograniczali się jedynie do przekładów. Spod ich pióra wyszło szereg artykułów publicystycznych i krytyczno-literackich, poświęconych ukraińskiej literaturze i jej twórcom, w których podobnie jak w poezji autorskiej, poruszali problematykę ukraińską (s. 111).

Rozdziały: czwarty, piąty i szósty omawianej książki poświęcono przekładom i interpretacji poezji ukraińskiej przez K. Jaworskiego (rozdz. IV), J. Czechowicza (rozdz. V) i J. Łobodowskiego (rozdz. VI). Wymienione rozdziały stanowią zasadniczy trzon pracy, ujawniający bogactwo materiału i umiejętność poruszania się Autorki książki w gąszczu faktów, zjawisk i sytuacji odzwierciedlających związek literatury, krytyki, literackiej i publicystyki z życiem społeczno-kulturowym Polaków i Ukraińców.

Rozdział omawiający recepcję i działalność translatorską K. A. Jaworskiego obejmuje swoim zasięgiem wczesną poezję Pawła Tyczyny, poezję Jewhena Małaniuka, lirykę Bohdana Ihora Antonycza, poezję Maksyma Rylskiego, lirykę więzienną Bohdana Krawciwa, lirykę Światosława Hordyńskiego, Ołeha Ołżycza, a także adaptacje wierszy Tarasa Szewczenki, Bohdana Łepkiego, Ołeksandra Ołesia, Jurija Fedkowycza i Dmytra Falkiwskiego. Rozdział ten, jak i dwa następne zostały podzielone na podrozdziały, pozwalające Autorce na tak ważne w opracowaniu naukowym uporządkowanie ich treści. Anna Choma-Suwała →

wyraża uznanie dla działalności translatorskiej Jaworskiego; w jego warsztacie translatorskim podkreśla dbałość o właściwy dobór polskich ekwiwalentów semantycznych, akcentuje też dbałość o odpowiednią rytmikę, skłonność do poetyzacji i dynamizacji polskojęzycznego tekstu oraz wzbogacanie tekstu docelowego celną, trafiającą do polskiego czytelnika metaforą.

Do poetów tłumaczonych przez K. Jaworskiego sięgał również Józef Czechowicz, który przekładał poezję klarnetyczną P. Tyczyny, wczesną poezję O. Ołżycza, lirykę J. Małaniuka i B. Łepkiego. Ponadto w kręgu zainteresowania Czechowicza znalazła się jeszcze poezja Leonida Mosendza i Mykoły Bażana. Analizując przekłady przedstawiciela Lubelskiej Awangardy, Anna Choma wysnuwa wniosek, iż Czechowicz poszukiwał utworów zbliżonych nastrojowo i tematycznie do jego własnej twórczości. „Bliskość symboliki, podejście do warsztatu pisarskiego, melodyjność poezji, poszukiwanie nowych dróg wyrazu artystycznego – to tylko niektóre z cech łączących poezję Czechowicza z twórczością ukraińskich poetów" – konkluduje Badaczka, uznając tłumaczenia Czechowicza za przykład ekwiwalencji dynamicznej, zorientowanej bardziej na odbiorcę niż na tekst źródłowy. W przekładach Czechowicza odnotowano też różnorodność obieranych strategii translatorskich: m.in. adaptacji, udomowienia, archaizacji, egzotyzacji i in.

Problemy recepcji Szewczenki, Ołżycza i Małaniuka podjęto w ostatnim, szóstym rozdziale niniejszego opracowania. Oprócz wymienionych poetów Łobodowski tłumaczył wiersze patriotyczne Natalii Lewyckiej-Chołodnej oraz poezje Jurija Kosacza. Jak w przypadku Jaworskiego i Czechowicza, Anna Choma odnotowuje najważniejsze właściwości poetyki translacyjnej Łobodowskiego, takie jak: zdolności interpretacyjne i umiejętność zachowania głównych znaczeń oryginałów. Autorka książki sygnalizuje również fakt unikania przez Łobodowskiego tekstów antypolskich oraz skłonność do przekładania poezji rewolucyjnej oraz jej aspektów związanych z walką o niepodległość Ukrainy.

Należy dodać, że przedstawione wyżej trzy rozdziały zawierają liczne analizy przekładów dokonywanych przez lubelskich pisarzy. Dużą dogodnością dla odbiorcy książki jest umieszczenie obok siebie tekstów oryginalnych oraz tłumaczeń. Dzięki temu czytelnik ma możliwość konfrontacji analiz Autorki książki z własnym odczytaniem wierszy i oceny strategii translatorskiej poszczególnych autorów.

W konkluzji pragnę podkreślić, że mimo częściowego opracowania zawartej w pracy problematyki przez innych badaczy (np. przekłady Łobodowskiego były analizowane w pracach Ludmiły Siryk), Pani Anna Choma-Suwała podjęła temat ważny, aktualny, zarówno w aspekcie naukowym (księga wnosi wiele do współczesnej nauki o literaturze i świadczy o aktualności takich aspektów literaturoznawstwa, jak estetyka recepcji, translatoryka oraz badająca związki literackie komparatystyka). W związku z powyższym, pracę lubelskiej Autorki można polecić nie tylko polonistom i ukrainistom, ale również innym filologom i osobom zainteresowanym problemami recepcji literatury obcej, komparatystyki i translatoryki (jak już zaznaczyłam, praca zawiera analizę i interpretację wielu przekładów Jaworskiego, Czechowicza i Łobodowskiego).

Danuta Szymonik

Klemens Podsiadło

Osiem tomów Franciszka

Franciszek Hipolit Piątkowski (1946–2016) dziennikarz, reportażysta, krytyk teatralny, wykładowca. Laureat kilku ogólnopolskich konkursów na reportaż m.in. krakowskiego Konkursu im. A. Polewki, Turnieju Reporterów „Miesięcznika Literackiego". Twórca Wakacyjnej Akademii Reportażu imienia Ryszarda Kapuścińskiego.

Do Lublina przybył na studia prawnicze w roku 1964, które ukończył pięć lat później. W czasie studiów zaangażował się w organizowanie życia literackiego, rozwijał także swoje zdolności dziennikarskie, działał w Radiu Akademickim pisywał w „Konfrontacjach", popularnym dodatku studenckim do „Kuriera Lubelskiego". Był korespondentem studenckiego miesięcznika „Itd.", twórcą i liderem grupy KEKS (Krąg Entuzjastów Kultury Studenckiej), jak również uczestnikiem wielu innych studenckich przedsięwzięć, współpracował z popularnym teatrem studenckim Gong 2. Po studiach pracował w redakcji „Sztandaru Ludu", był (m.in.) kierownikiem Działu Nauki, Oświaty i Kultury. Powierzono mu trudne zadanie organizowania Społecznych Oddziałów „Sztandaru Ludu" w Biłgoraju, Krasnymstawie, Tomaszowie Lubelskim.

W roku 1973 porzucił Lublin, wybrał Białystok, znalazł zatrudnienie w „Gazecie Białostockiej". Cztery lata później został zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika literatury faktu „Kontrasty", gdzie kierował działem reportażu. Miesięcznik „Kontrasty" były pierwszym i jedynym tego typu miesięcznikiem w Polsce, skupiających najlepszych reporterów kraju. Był również współtwórcą i wykładowcą białostockiego oddziału warszawskiej PWST. W latach 1980–1982 pracował w białostockiej „Gazecie Współczesnej", jako dziennikarz i zastępca sekretarza redakcji.

W roku 1982 powrócił do Lublina i „Sztandaru Ludu", został również kierownikiem Działu Publicystyki Kulturalnej i Krytyki Teatralnej w „Akcencie". W latach 1988–1991 był twórcą i redaktorem naczelnym Tygodnika Wschodniego „Relacje".

Satysfakcję i radość czerpał z organizowania przedsięwzięć o charakterze dyskusyjnym, naukowym i artystycznym. Na Lubelszczyźnie zorganizował doroczną imprezę o charakterze artystycznym i naukowym „Z Rejem do Siennicy", a także Wakacyjną Akademię Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego w Siennicy Różanej.

Dwa lata po śmierci Franciszka jego małżonka Jadwiga zdecydowała się opublikować reportaże męża. W roku 2019 ukazał się tom *17 lat z PRL. Wybór reportaży*. Na okładce znalazł się fragment recenzji Stanisława Jadczaka, przyjaciela autora, „W reportażach zamieszczonych w tomie Franek uratował od zapomnienia wielu wybitnych lubelskich działaczy kultury z lat PRL, drążył też historię i problemy małych miasteczek Lubelszczyzny i Podlasia, odkrywając ich bogate dzieje i ludzi starających się w siermiężnych latach PRL obudzić nadzieję na lepsze czasy. Wzruszył mnie powrót do lektury tekstów Franciszka, z którym miałem wielką przyjemność się przyjaźnić". Publikacja wywołała zainteresowanie. Jadwiga Piątkowska podjęła decyzję o publikacji zbioru reportaży z okresu przełomu, po 1989 roku, tom nosi tytuł: *Spacer Aleją Niepotrzebnych. Polska w transformacji. Reportaże i relacje*, zamyka go tekst *Jak Mikołaj Rej do Siennicy wraca. Rozmowa z Leszkiem Proskurą wójtem gminy Siennica Różana*. Wywiad był publikowany w naszym „Lublinie" (1(7)/2006). Pani Jadwiga, co budzi podziw i uznanie, znalazła siły i środki na opublikowanie kolejnych tomów, były to *Co jest grane* (3 tomy recenzji teatralnych) *Spotkania i rozmowy* (wybór wywiadów), *Trochę inaczej* (felietony kulturalne i gawędy kulinarne), *Pamiętajmy. Jesteśmy* (wiersze i piosenki). Gratulujemy! ■

Zbigniew
Włodzimierz
Fronczek

Zdarzyło się
w Lublinie

Kula za kartofle

Aleksander Fredro, najwybitniejszy polski komediopisarz, w latach 1809–1811 był ułanem 11 pułku, kwaterował w Lublinie, Tyszowcach, Krasnymstawie. W roku 1810, w Lublinie, Fredro jako referent-raporter sądu wojskowego otrzymał rozkaz odczytania wyroku śmierci jednemu ze swych kolegów. Uczynił to w areszcie, zaś w dniu egzekucji ogłaszał wyrok siedząc na koniu, wobec oddziałów pułków – jak zapisał w swym pamiętniku *Trzy po trzy* – zgromadzonych „na tę okropną uroczystość".

Działo się to na placu Litewskim przed kościołem Kapucynów. Przebrzmiały słowa Fredry, rozległa się salwa plutonu egzekucyjnego, w pobliskich oknach zatrzęsły się szyby, przyszły autor zabawnych komedii popadł w chorobę. Dwa dni nic nie jadł, na tańce, w których gustował, udał się dopiero trzeciego dnia.

Tyle o heroldzie-Fredrze, teraz o procesie i skazańcach.

Pamięć o nich przetrwała dzięki zapiskom Fredry. W swym pamiętniku odnotował, jak to pewien kapral z kilkoma kompanami udali się na „łówkę" kartofli. Skradli pełen worek, wracali koło karczmy, doszła ich woń anyżku. Drzwi były już zamknięte, więc się włamali. Rozbudzonemu Żydowi kazali nalewać gorzałkę, a kiedy się już dobrze uraczyli, zażądali pieniędzy. Otrzymali, ale następnego dnia karczmarz złożył skargę.

Zapadł najsurowszy wyrok. Fredro przyznaje, że czasy były wyjątkowo ciężkie, głód panował zarówno w wojsku, jak i po wsiach. Żołnierzy należało więc trzymać w ryzach. Za napełnienie worka cudzymi kartoflami i wyłudzenie paru groszy dostawało się kulę w łeb.

*

W „Ziemi Lubelskiej", w dniu 27 lutego 1907 roku, zamieszczono króciutki artykulik „Rozstrzelanie bandytów". Donoszono: „W dniu dzisiejszym o godz. 6-ej z rana, na polach koło majątku Tatary, rozstrzelano trzech bandytów z wyroku sądu polowego za napad Hersza Frydmana dokonany przy ulicy Nadstawnej i połączony z rabunkiem. Nazwiska rozstrzelanych są następujące: Józef Galiński, mieszkaniec gminy Modliborzyce, Stanisław Sierpień, mieszkaniec Mełgwi i Franciszek Chorecki, mieszkaniec miasteczka Piaski Luterskie".

Za napad z rabunkiem kara śmierci?

Dnia 10 listopada 1905 roku wprowadzono w Królestwie stan wojenny. W oparciu o jego przepisy za kradzieże i rozboje karano śmiercią. Polityczna – niepodległościowa, antycarska – działalność też nie uchodziła na sucho.

W styczniu 1906 roku bez sądu stracono 16-letniego Jana Markowskiego, robotnika, za rzekomy udział w zabójstwie naczelnika stacji kolejowej w Lublinie, Wawiłło Szpakowa.

Doszło do demonstracji, grupy robotników wyszły na ulice, wznoszono buntownicze okrzyki przeciw władzy, odważono się powiewać czerwonymi flagami. Minęło parę dni, protesty ustały, ale wrzenie rewolucyjne nie wygasło. Grób Markowskiego znajduje się na cmentarzu przy Lipowej, w kwaterze żołnierskiej, w pobliżu ulicy Białej.

Dwa miesiące później, 23 marca 1906, w „Ziemi Lubelskiej" odnotowano: „Warszawa. Wczoraj na wokandzie warszawskiego sądu wojennego była sprawa robotników z Lublina Adama Ochyna i Józefa Boryszkiewicza oskarżonych z art. 279 ust. woj. o usiłowanie zabójstwa patrolu kozackiego na przedmieściu Lublina, Bronowicach.

Ochyna bronił adw. Michał Berson, Boryszkiewicza adw. przys. Paszkiewicz. Sąd uznał winę za dowiedzioną i skazał obu podsądnych na śmierć".

Ale – jak się można domyślać – Lublin żył nie tylko rewolucją. W teatrze szedł francuski wodewil *Żona paszy* z panią Zimajer-Rapacką w roli Anny. „Miło nam – pisano w »Ziemi Lubelskiej« – podzielić się z czytelnikami wiadomością, że p. Helena Zimajer-Rapacka przeznaczyła 20% od dochodu ze swego benefisowego przedstawienia, które będzie miało miejsce w czwartek, na wypisy dla niezamożnych uczniów Lubelskiej Szkoły Handlowej. Jesteśmy tedy pewni, że w czwartek teatr będzie wypełniony do ostatniego miejsca".

Teatr był pełen, pani Helena – jak zawsze – urocza, grupa niezamożnych uczniów usatysfakcjonowana. Wracamy do napadu na mieszkanie Frydmana przy Nadstawnej nr 616. Opisany został także w „Ziemi Lubelskiej", w numerze z 17 lutego. Trzej bandyci – jak relacjonował reporter lubelskiej gazety – wdarli się do mieszkania bogatego kupca żydowskiego, handlującego drewnem. Właściciela nie zastali w domu, od jego żony – zastraszonej rewolwerami – zażądali pieniędzy. Wystraszona kobieta nie mogła wydobyć głosu, trzęsły się jej ręce, zdołała jedynie wyszperać sto rubli. Była to niemała sumka, można było za nią nabyć parę dobrych koni, nie satysfakcjonowała jednak rabusiów, spodziewali się większej zdobyczy. Poczęli więc sami przetrząsać mieszkanie, wyrzucili ubrania z szaf, bieliznę z kufrów, naczynia z kredensów, znaleźli dwadzieścia rubli. I ani kopiejki więcej.

Mieli prawo być zawiedzeni. Od kogoś z domowej służby otrzymali sekretną wiadomość, iż Frydman przetrzymuje w domu większą ilość gotówki. Była to wiadomość prawdziwa, ale tamtego dnia handlarz, rankiem, ubijał pewien interes i opuścił mieszkanie ze zgromadzonymi pieniędzmi.

Rabusie nie byli zamaskowani, domownicy następnego dnia złożyli zeznania, policja zajęła się sprawą i – jak byśmy powiedzieli dzisiaj – sporządziła portrety pamięciowe rabusiów. Portrety okazały się nad wyraz precyzyjne, sprawców po dwóch dniach ujęto w karczmie „Rzym". Karczma cieszyła się złą sławą, spotykali się tam więksi złodzieje i mniejsi złodziejaszkowie, koniokrady, nożownicy, włóczędzy, a wśród nich szpicle, agenci ochrany. Bez trudu wytropiono Galińskiego i Sierpnia, ci nie kryli się przecież przed kompanami, że weszli w posiadanie rubli, nie skąpili sobie i innym napitku.

Tamtego wieczoru siedzieli w kilku za stołem.

Sierpień wyszedł za swoją potrzebą. Długo nie wracał. Galiński niezręcznym ruchem przewrócił flaszkę, gorzała ciekła na brudny blat, zalewała salceson i kiełbasę.

– Zły znak – rzekł któryś z biesiadników. – Uciekaj – zwrócił się do Galińskiego i jeszcze wskazał mu kuchenne drzwi.

Karczmy już nie ma, przestroga przetrwała.

Powtarzam więc te słowa, z pozoru błahe, ale i dramatyczne. Słowa, które mogły ocalić życie. Słowa, które przetrwały w legendzie.

Zlekceważył je, zlekceważył życie.

Ujęli go i związali – jak Sierpnia – przed karczmą.

Mogli sobie wyobrazić, że mają przed sobą jeszcze 10 dni życia?

Choreckiego wywleczono z mieszkania pewnej wdówki mieszkającej w okolicy ulicy Rusałka. Na śmierć prowadzono ich pod eskortą kilkudziesięciu konnych kozaków, na ulicach Lublina żegnali ich bywalcy karczmy „Rzym" i owa wdowa, dama serca Choreckiego.

Lublin został za nimi, teraz na miejsce stracenia szli niebrukowanym traktem, po grudach ziemi ściętej nocnym mrozem. W krzakach zaskrzeczała sroka, spod miedzy śmignął zając, któryś z kozaków chciał za nim wystrzelić, lecz dowódca zabronił.

Skazańcom pozwolono odmówić modlitwy, po czym zdjęto im z rąk łańcuchy i przywiązano do pali wkopanych w ziemię. Galiński, po uwolnieniu z okowów, tuż przed przytroczeniem do pala, zdołał się wyrwać i począł uciekać. Tamci byli na koniach, nie miał – jak się wydaje – szans. Ale uciekał. O każdą chwilę ucieczki przedłużał życie.

Rozstrzelanych pogrzebano w miejscu egzekucji, niezbyt głęboko, ziemia była zmarznięta.

Rodzina Sierpniów, zamożna i szanowana, uzyskała zgodę na przeniesienie ciała na cmentarz w Mełgwi. Ich syn Stanisław nosił ślady dwudziestu kul. Ponoć jedno ciało nie było naruszone przez pociski. Powiadano, że ojciec Franciszka Choreckiego dokonał ekshumacji bez zgody władz. Niewykluczone, że do zbiorowego grobu podrzucił zwłoki jakiegoś bezdomnego nieszczęśnika czy samobójcy. Tak na wszelki wypadek.

Jeszcze do drugiej wojny w miejscu egzekucji stał drewniany krzyż. Dziś szare kłębowisko bloków podzielonych ruchliwymi ulicami.

Od tamtych wypadków oddziela nas niewiele ponad sto lat, tylko sto lat… ■

Zbigniew Włodzimierski

Przysłowia i powiedzenia lubelskie

Z węża lekarstwo

I z węża lekarstwo! – mawiał mój nauczyciel historii w sytuacji, kiedy jakiś uczeń-psotnik nieoczekiwanie wykonał rzecz pożyteczną, dla dobra ogólnego. Po tej kwestii uczniowie wybuchali śmiechem. Broń Boże nie z dokonań swego kolegi, ale z wygłoszonej kwestii. Było to – jak wiele innych powiedzeń mojego Profesora – przysłowie prywatne. Może sam je wymyślił, może sparafrazował jakieś porzekadło, niewykluczone że przytoczył frazę z którejś komedii Fredry, bo nie krył zachwytu dziełami wybitnego komediopisarza. Nie zapomniałem o moim Profesorze, często Go wspominam, myślę, że grał dla nas rolę pana Jowialskiego, gawędziarza-humorysty, bohatera jednej ze sztuk mistrza Aleksandra.

Komedie Fredry bawią już kolejne pokolenie Polaków. Nasz genialny komediopisarz uważał się za potomka Andrzeja Maksymiliana Fredry (1620–1679) pisarza, moralisty, pedagoga, mówcy zwanego polskim Tacytem, autora dzieła *Przysłowia mów potocznych*. To w tej księdze komediopisarz wyszukiwał powiedzenia i przysłowia, które wykorzystywał jako motta swych utworów. I tak *Dożywocie* poprzedzone jest myślą „U skąpego lub chciwego – cała w mieszku dusza", wspomniany *Pan Jowialski* powiedzeniem „Głodnego żołądka bajką nie zabawić, racją nie odbyć", zaś znana wszystkim *Zemsta* intrygującym wierszykiem „Nie masz nic tak złego, żeby się na dobre nie przydało. Bywa z węża dryjakiew, złe często dobremu okazyją daje". Owa tajemnicza dryjakiew w staropolszczyźnie to maść, lekarstwo. A więc z węża lekarstwo!

Jeden z moich kolegów, młodzieniec pozornie naiwny, zapytał profesora, jaką myśl skrywa jego powiedzenie. – Optymistyczną! – brzmiała odpowiedź. – I uraczył nas opowieścią, którą w skrócie przytaczam. Wszystko, co wydaje się nic nie warte, przydatne jedynie psu na budę, nieoczekiwanie może okazać się potrzebne, zbawienne! Nawet niekorzystne zdarzenie może przynieść pozytywne skutki, bo jak spostrzegł już sam Fredro: „nie masz nic tak złego, żeby się na dobre nie przydało!" I tu przypomniał intrygę Cześnika z *Zemsty*, która wbrew planom intryganta okazała się korzystna dla bohaterów utworu.

Profesor nie doczekał chwili, kiedy ukazało się dzieło Aleksandra Sołżenicyna *Oddział chorych na raka*, w powieści pojawiło się znane nam przysłowie, w przekładzie z rosyjskiego na polski brzmi: *nie ma tego złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło*.

Ciekawe, jaką interpretację myśli rosyjskiego pisarza przedstawiłby mój Profesor. ■

Fraszki

Choroba rosyjska

Chełpliwe mity o wielkości zbladły,
fałszywe maski z twarzy opadły,
świat przerażony oczy otwiera,
nie wiedząc, jaka choroba Rosję pożera.
To znów szaleje tam nieuleczalna,
zabójcza mania imperialna.

Postrzeganie Polski w Rosji

Kpiono z Polski w Rosji sowieckiej:
Kurica nie ptica,
Polsza nie zagranica.
(Czas ten nareszcie już przeminął).
Wcześniej zwano tam Polskę „młodszą siostrą",
a częściej też „podstępną zdrajczynią".

2022, 3 maja

O dumie rosyjskiej

Każdy Rosjanin jest z tego dumny,
że Rosja jest niezwyciężona,
gdyż każdy wróg, kto chciałby ją pokonać,
sam wcześniej musi z głodu skonać.

Sąsiedztwo z Rosją

Czy można z Rosją ułożyć
przyjazne modus vivendi?
Tak, jeśli ona wobec sąsiadów
porzuci zaborcze swe zapędy.

Oparcie Targowicy

Nasi dawni „targowiczanie"
mieli oparcie w carycy Katarzynie.
A gdzie je mają ci współcześni?
Widać wyraźnie, że w Berlinie.

Jan Jesion

Ulica Stara, pastel olejny, 65 x 20 cm, 2013

Ściana, pastel olejny, 95 × 30, 2012 r.

Marek Andała

Na początku był mrok... MALARSTWO

Próg, pastel olejny, 95 × 30, 2013.

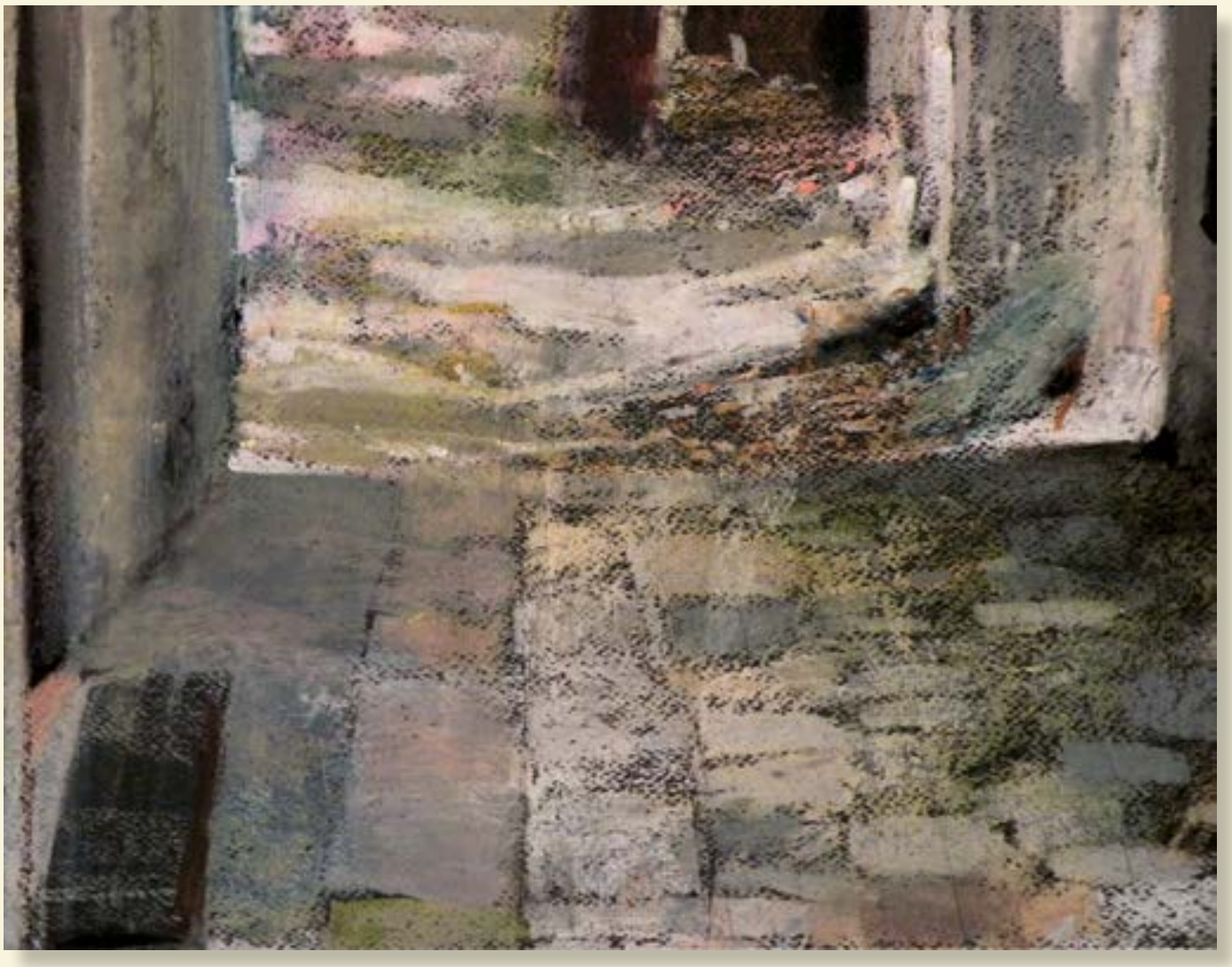

Schody, pastel olejny, 50 x 40 cm, 2012

Drzwi, pastel olejny, 95 x 50 cm, 2021

Bez tytułu, kolaż, 85 x 165 cm, 1999

Bez tytułu, kolaż, 85 x 165 cm, 1999

Nocą, pastel olejny, 95 x 30 cm, 2015

Wejście II, pastel olejny, 95 x 30 cm, 2013

Wejście, pastel olejny, 95 x 30 cm, 2013

Zamknięte drzwi, pastel olejny, 95 x 30, 2013.

Wejście, pastel olejny, 95 x 30 cm, 2012

Klasztor, pastel olejny, 90 x 40 cm, 2010

Płot, pastel olejny, 95 x 30 cm, 2015

Kościół, pastel olejny, 86 x 40 cm, 2012

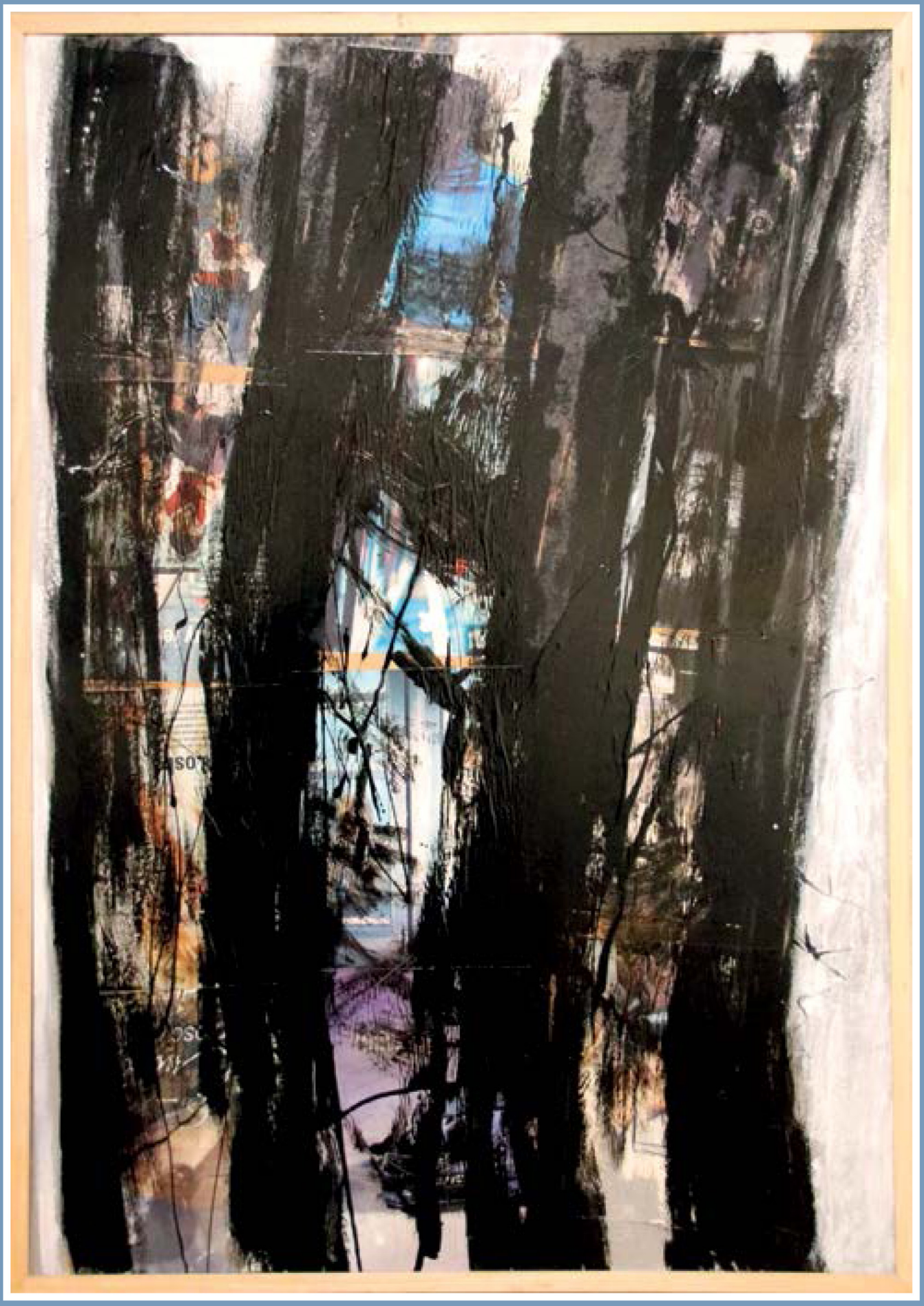

Marek Andała, *Bez tytułu*, kolaż, 85 × 125 cm, 2000

ISSN 1733-4330
9 770173 343303 87